

BIULETYN IPN

nr 9 (54)/2016

# pamięć



## Czwarty rozbiór Polski

„Robotnik” – pismo KOR

Solidarność pod lupą SB

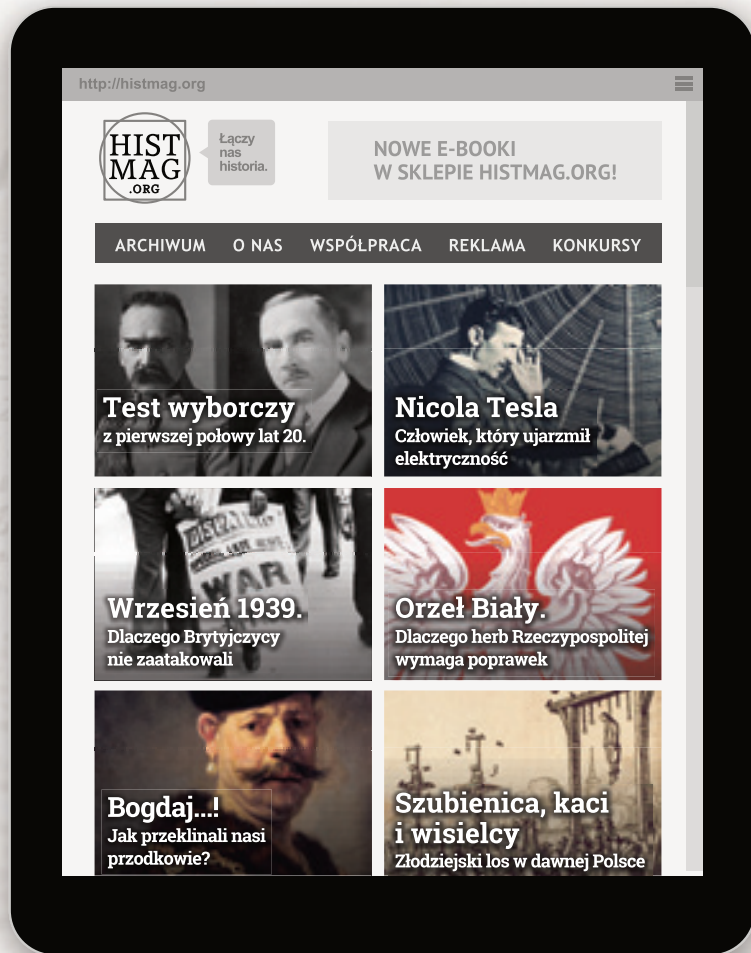
Cena 6 zł (5% VAT)



numer indeksu 284521  
nakład 11 500 egz.



Dodatek specjalny:  
karty do gry *ZnajZnak Sport*



# Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!  
www.histmag.org

## MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 58 lat!

TEMAT MIESIĄCA:

### JAK MOCARSTWA DZIELIŁY BLISKI WSCHÓD

- 1916–1920 – wielki podział Imperium Osmańskiego
- Deklaracja lorda Balfoura
- Lawrence z Arabii – między mitem a rzeczywistością

PONADTO:

- Zdrada: kazirodztwo czy uzurpacja. Plotka na dworze karolińskim
  - Czy gospodarka Rzeczypospolitej Obojga Narodów kończyła się na folwarku szlacheckim?
  - Westerplatte – siedem dni walki, 77 lat mitu
  - Powstanie Warszawskie jak Gwiezdne wojny. Rozmowa z dr. hab. Marcinem Napiórkowskim
  - Na ratunek Palmyrze
- oraz recenzje i nowości historyczne

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronach: e-kiosk.pl, egazety.pl, nexto.pl.

Zamów prenumeratę: [prenumeratamw@gmail.com](mailto:prenumeratamw@gmail.com)

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: [www.mowiawieki.pl](http://www.mowiawieki.pl) oraz [www.facebook.com/mowiawieki](https://www.facebook.com/mowiawieki)



**2 AKTUALNOŚCI IPN**

**4 KALENDARIUM**

**6 Z PIERWSZEJ STRONY**

**STOP-KLATKA**

**8** Robert Szcześniak, *Obrona Warszawy*

**Z ARCHIWUM IPN**

**11** Grzegorz Majchrzak, *Doniesienie agenturalne*

**WYWIAD**

**14** *Masowe groby w próżni prawnej*  
– rozmowa z Franciskiem Ferrándizem

**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU**

**19** Tomasz Ceran, *Restpolen 1939*

**24** Marcin Przegiętka, *Nieufni sojusznicy*

**30** Katarzyna Sokół, Jarosław Wasilewski,  
*Przekroczeni przez granicę*

**35** Artur Pasko, *Okupacyjny futbol*

**38** Krzysztof Łągojda, *Stalinowski gołąbek pokoju*

**43** Jan Olaszek, *„Robotnik” dla robotników*

**48** Grzegorz Majchrzak, *Kryptonim „Sejmik”,  
czyli zjazdowa konfrontacja*



Fot. ze zbiorów  
Tomasza Zawistowskiego



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. Michał Mackiewicz



Fot. FilMOTEKA Narodowa

Fot. AIPN

**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**

**52** Jerzy Eisler, *Orzeł*

**ORZEŁ BIAŁY**

**56** Tomasz Zawistowski, *Orły „złotych huzarów”*

**Z BRONIĄ W RĘKU**

**60** Michał Mackiewicz, *Wojsko Polskie kontra Wehrmacht*

**STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI**

**64** Sylwia i Andrzej Szafrąscy, *Dwa brzegi – jeden przyczółek*

**HISTORYCZNA OPINIA PUBLICZNA**

**68** Andrzej Zawistowski, *Odważne zaufanie*

**EDUKACJA HISTORYCZNA**

**70** *Twarze ofiar totalitaryzmów* – rozmowa z Magdaleną Gawin

**72 RECENZJE**

**73 BIBLIOTEKA IPN**

## Szanowni Czytelnicy!

„Powiedźcie babci, że zachowałam się jak trzeba” – takie słowa znalazły się na grypsie przekazanym przez uwięzioną w katowni UB Dankę Siedzikównę. Niespełna osiemnastoletnia dziewczyna, stojąc przed złowrogim obliczem totalitaryzmu, wiedziała, gdzie znajdują się prawdziwe wartości. Dała jednocześnie dowód skromności: „powiedźcie babci”. Nie dowódcy, nie Polsce – ale babci. Dla niej to nie był heroizm, lecz po prostu przyzwoitość. Kiedy trwają uroczystości pogrzebowe „Inki” i „Zagończyka”, ten numer jest jeszcze w przygotowaniu. Ale na naszych łamach nieraz przypominaliśmy o ludziach im podobnych – bo były ich tysiące – którzy „zachowali się jak trzeba” w chwili próby.

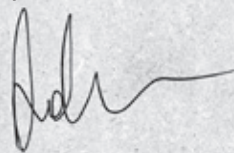
W numerze wrześniowym wspominamy m.in. pierwsze dni II wojny światowej, kiedy dwóch wrogów Polski zawarło pakt (choć – jak pisze Marcin Przegiętka – była to umowa obarczona wzajemnym brakiem zaufania) zmierzający do jej zniszczenia. W tych wrześniowych okolicznościach Polacy zachowali się jak trzeba – stawiając opór i nie idąc na współpracę ze zbrodniczymi reżimami. Wyjątki, które występują zawsze i które trzeba uznać i napiętnować, rzecz jasna się zdarzyły. Ale jako naród, *en masse*, nie przynieśliśmy wstydu babci. Nie znalazł się polski Quisling. O pomysłach utworzenia *Restpolen*, czyli szczytowego państwa polskiego, pisze Tomasz Cerań.

W wrześniu mija także rocznica utworzenia Komitetu Obrony Robotników. W 1976 roku grupa inteligentów stanęła w obronie prześladowanych przez władzę robotników, oferując im pomoc prawną i materialną. Korowcy także zachowali się jak trzeba, solidaryzując się z represjonowanymi i pokazując, że wspólna walka o wolność, prawa człowieka i demokrację ma sens. Jednym z rezultatów tych działań było podziemne czasopismo „Robotnik”, o którym w tym numerze pisze Jan Olaszek. To jednocześnie początek cyklu o drugo-obiegowej prasie w PRL. Działalność środowiska KOR była jedną z cegiełek, z których zbudowano fundament dla powstania NSZZ „Solidarność”. O tym, jak bardzo obawiały się go władze i w związku z tym jak uważnie inwigilowały jego pierwszy zjazd – w artykule Grzegorza Majchrzaka.

W numerze rozpoczynamy jeszcze jeden interesujący cykl. Nikomu nie trzeba udowadniać, jak ważne dla polityków są słupki rysowane przez sondażownie. W PRL takie badania również były przeprowadzane i analizowane. Ich wiarygodność, a także kwestia dostępności wyników – to zupełnie inna historia. W pierwszym artykule Historycznej Opinii Publicznej Andrzej Zawistowski prezentuje badania Centrum Badania Opinii Społecznej dotyczące zaufania do instytucji, organizacji i ugrupowań politycznych w 1985 roku.

Dziś, kiedy w wolnej Polsce możemy samodzielnie dokonywać wyborów, nawet się o nie spierać – pamiętajmy o naszych bohaterach, którzy nie szukali poklasku, lecz wiedzieli, jak trzeba się zachować. Pamiętajmy o tym, abyśmy mogli potem spojrzeć w oczy babci. I własnym wnukom.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,  
dr Krzysztof Kaczmarek, dr Maciej Korkuć,  
dr Bartosz Kuświk,  
dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,  
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,  
dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:  
Andrzej Czyżewski, dr Dawid Golik,  
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,  
Agnieszka Jaczyńska,  
dr Konrad Rokicki,  
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,  
dr Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,  
dr Daniel Wicenty  
Redakcja: Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,  
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska  
Sekretariat: Maria Wiśniewska  
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl  
tel. 22 581 88 19  
Korekta: Magdalena Pabich  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska  
Skład i łamanie: Iwona Kuśmirowska  
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,  
Warszawa  
Adres do korespondencji:  
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl  
Druk: „Legra” sp. z o.o.  
ul. Albatrosów 10c,  
30-716 Kraków  
Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ Od 21 września w stołecznym Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki (ul. Marszałkowska 21/25) można będzie oglądać **wystawę „Dni Powstania – Warszawa 1944”**. Ekspozycja odwołuje się do pojęć i symboli charakteryzujących zryw sprzed 72 lat. Ukazuje bohaterską walkę powstańców i zbiorowy wysiłek mieszkańców stolicy, nadające głęboki sens pojęciom takim jak solidarność, bohaterstwo i ofiarność.



Mówi też o odsieczy oddziałów AK, o nadziei na pomoc ze strony aliantów, o zmarowanym wysiłku żołnierzy armii Berlinga poległych na przyczółku czerniakowskim, o zdradzie „sojusznika naszych sojuszników”, czekającego na agonię miasta. Zamiarem organizatorów było oddanie atmosfery, która towarzyszyła dramatycznym miesiącom Powstania Warszawskiego.

■ 24 sierpnia prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek i minister edukacji narodowej Anna Zalewska podpisali **list intencyjny o współpracy IPN i MEN**. Dokument zakłada upowszechnianie rzetelnej wiedzy o najnowszej historii Polski. W deklaracji jest mowa m.in. o ścisłej współpracy obu instytucji przy opracowywaniu podstaw programowych kształcenia ogólnego dla szkół. Ponadto IPN i MEN mają m.in. „współpracować przy opracowywaniu projektów różnych form doskonalenia nauczycieli w zakresie wiedzy z najnowszej historii Polski” oraz wpływać „na aktywny udział młodzieży w przedsięwzięciach patriotycznych i edukacyjnych Instytutu Pamięci Narodowej na wszystkich poziomach nauczania szkolnego”. Doktor Szarek wyjaśnił, że chodzi o pogłębienie i sformalizowanie już istniejącej współpracy z MEN. – Instytut Pamięci Narodowej jest obecny w szkole od pierwszego dnia swojego istnienia, czyli od 16 lat – przypomniał prezes.

### Uzupełnienie

W numerze 7-8/2016, w artykule *Wolne państwo w sercu puszczy*, zabrakło wyjaśnienia, że autorami zdjęć są żołnierze kompanii por. „Lawy”, Lech Gąszewski i Eugeniusz Widlicki. Fotografie do zbiorów archiwum IPN przekazali bezpłatnie spadkobiercy. Przepraszamy za brak tej informacji.

■ 28 sierpnia na cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku pochowano **Danutę Siedzikówną „Inkę”** (1928–1946) i **Feliksa Selmanowicza „Zagóńczyka”** (1904–1946), bohaterów konspiracji antykomunistycznej, zamordowanych dokładnie 70 lat wcześniej w gdańskim areszcie przy ul. Kurkowej. Ceremonia, której organizatorami były IPN i NSZZ „Solidarność”, miała charakter pogrzebu państwowego. Wzięli w niej udział, obok rodziny, m.in. prezydent RP Andrzej Duda, premier Beata Szydło, władze i szeregowi pracownicy IPN oraz tłumy uczestników z całej Polski. Wcześniej w bazylice Mariackiej odprawiono mszę żałobną pod przewodnictwem metropolity gdańskiego, abp. Sławoja Leszka Głódzia. Selmanowicz został pośmiertnie awansowany na stopień podpułkownika, Siedzikówna zaś – podporucznika. Szczątki obojga odnalazł we wrześniu 2014 roku – pod płytami chodnika na cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku – zespół specja-

listów pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, dziś wiceprezesa IPN. – Wiele lat od upadku komunizmu [...] możemy powiedzieć, że upomnieliśmy się o naszych bohaterów, spełniliśmy swój obowiązek – stwierdził Szwagrzyk w trakcie gdańskiej uroczystości.

Fot. Piotr Życieński



■ Znamy już **laureatów 7. edycji konkursu „Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy...”**,

organizowanego przez IPN we współpracy z Fundacją PKO Banku Polskiego oraz Muzeum Katyńskim. Zadaniem uczestników – uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych – było stworzenie karty z albumu poświęconej wybranej ofierze Zbrodni Katyńskiej. Komisja konkursowa, oceniając nadesłane prace, brała pod uwagę m.in. ich stronę merytoryczną, projekt graficzny, estetykę i oryginalność pomysłu. Nagrodą I stopnia, którą jest udział w wyjeździe edukacyjnym na Białoruś i Litwę, uhonorowano autorów 46 najlepszych prac. Nagrodą II stopnia – w postaci gier i publikacji IPN – wyróżniono 24 prace. Pełna lista laureatów jest dostępna na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) w zakładce Edukacja/Konkursy. W tym roku konkurs cieszył się dużym zainteresowaniem. Wzięło w nim udział niemal 600 osób, które przygotowały 318 prac konkursowych.



■ Do 5 października w siedzibie Fundacji Konrada Adenauera w **Berlinie** (Tiergartenstraße 35) można oglądać **wystawę „Vertriebene 1939...”**, przygotowaną przez Związek Miast Polskich oraz IPN. Jest to niemieckojęzyczna wersja ekspozycji „Wypędzeni 1939...”, poświęconej deportacjom obywateli polskich z ziem wcielonych do III Rzeszy. Na wielkoformatowych planszach zostały zaprezentowane poszczególne etapy polityki realizowanej w czasie II wojny światowej przez okupanta niemieckiego. Kilkaset fotografii, plakatów i dokumentów zebranych w polskich i niemieckich archiwach przybliży wywózki ludzi zmuszonych do opuszczenia swoich domów, ich dalsze losy, a także ukazuje szerszy kontekst polityki prowadzonej przez hitlerowskie Niemcy pod hasłami Lebensraum, Generalplan Ost i Heim ins Reich, w tym terror stosowany wobec Polaków i Żydów oraz przesiedlenia tzw. etnicznych Niemców z terenów sowieckich do okupowanej Polski. Nie zabrakło również odniesień do paktu Ribbentrop–Mołotow.



■ 1 września, w 77. rocznicę wybuchu II wojny światowej, w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki w Warszawie zostały podsumowane dotychczasowe rezultaty **programu dokumentacyjnego „Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką w latach 1939–1945”**, zainicjowanego w 2006 roku przez Instytut Pamięci Narodowej oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Program weryfikuje dotychczasowe informacje o stratach polskich w trakcie II wojny światowej i pokazuje skalę terroru niemieckiego wobec obywateli państwa polskiego. – Zebrane w ramach programu informacje znajdują się w ogólnodostępnej bazie danych [www.straty.pl](http://www.straty.pl) – wyjaśnił w trakcie konferencji prasowej dr Mateusz Szpytma, wiceprezes IPN. Do tej pory do bazy trafiły nazwiska ok. 4,9 mln osób, które zginęły lub były represjonowane w latach 1939–1945. Wciąż jednak brakuje wielu nazwisk. Na stronie [www.straty.pl](http://www.straty.pl) ofiary represji ich bliscy mogą wypełnić kwestionariusz, który pomoże wypełnić luki w dokumentacji archiwalnej. – Jeżeli ktoś ma w rodzinie dziadka, który zginął podczas wojny, był na robotach przymusowych, w więzieniu czy obozie koncentracyjnym, chcemy to nazwisko poznać – zaapelował Dariusz Pawłowski, prezes Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie, która realizuje program.



Fot. Piotr Życieński

## POSTAĆ MIESIĄCA

**27 września 1981:** Z inicjatywy Wojciecha Ziemińskiego powstały Kluby Służby Niepodległości. Podczas okupacji niemieckiej Ziemiński współpracował z konspiracją niepodległościową. W 1942 roku, w trakcie próby przedostania się na Zachód, został aresztowany i trafił na roboty przymusowe. W latach 1945–1947 był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Powrócił do Polski, studiował prawo na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i Uniwersytecie Warszawskim, pracował m.in. jako redaktor. Po 1956 roku zaangażował się w tworzenie niezależnego ruchu kombatanckiego. W latach siedemdziesiątych był inicjatorem mszy patriotycznych i obchodów rocznic niepodległościowych. Na przełomie 1975 i 1976 roku protestował przeciwko planowanym zmianom w konstytucji PRL, w tym zapisowi o nierozdzielalnym sojuszu z ZSRR. We wrześniu 1976 roku był wśród współzałożycieli Komitetu Obrony Robotników, a pół roku później – Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Redagował niezależne



Fot. AIPN

▶ Wojciech Ziemiński (1925–2001)

pisma „Opinia” i „Rzeczpospolita”. Wielokrotnie był represjonowany. W 1953 roku stracił pracę za odmowę uczczenia śmierci Józefa Stalina, piętnaście lat później – za krytykowanie nagonki antysemickiej. Kilka razy był więziony. Gdy w marcu 1981 roku wyszedł na wolność, zaangażował się w obronę innych więźniów politycznych i tworzenie Klubów Służby Niepodległości, mających prowadzić działania „na rzecz wolności człowieka i niepodległości narodowej”. Deklarację założycielską KSN podpisali m.in. Aleksander Hall, Jarosław Kaczyński, Bronisław Komorowski i Antoni Macierewicz. Ziemiński ukrywał się po wprowadzeniu stanu wojennego. W kwietniu 1982 roku został aresztowany. Po siedmiu miesiącach wyszedł na wolność i kontynuował działalność opozycyjną. Był przeciwnikiem porozumień Okrągłego Stołu. Przez długi czas angażował się na rzecz upamiętnienia Polaków pomordowanych na Wschodzie. Był m.in. przewodniczącym rady Polskiej Fundacji Katyńskiej (1993–2000). W 2006 roku Wojciech Ziemiński został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

**2 września 1966:** Funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej „aresztowali” kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jasnogórski wizerunek Maryi z Dzieciątkiem od średniowiecza jest otoczony szczególnym kultem przez wiernych Kościoła katolickiego. W 1957 roku wykonano kopię obrazu, która następnie – poświęcona przez papieża Piusa XII – miała odwiedzić kolejno wszystkie polskie parafie, przygotowujące się wówczas do Milenium Chrztu Polski. Przy trasach, którymi przemieszczał się samochód przewożący wizerunek Maryi z Dzieciątkiem, gromadziły się tłumy wiernych, co irytowało komunistyczne władze. Od maja 1966 roku utrudniano przejazdy. W piątek 2 września 1966 roku pod Będzinem samochód z kopią obrazu został zawrócony przez MO; obraz „uwięziono” na Jasnej Górze, gdzie pozostał przez prawie sześć lat. Milicjanci przez całą dobę pilnowali, aby wizerunek Czarnej Madonny nie został wywieziony z klasztoru ojców paulinów. Sprawdzano w tym celu bagażniki samochodów wyjeżdżających z Częstochowy. W tym czasie po parafiach wędrowały puste ramy, co było wymownym świadectwem braku swobód religijnych w PRL. „Milenijna batalia pokazała siłę Kościoła i bezradność władz państwowych w próbach panowania nad »duszami Polaków«” – pisze w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Adam Dziurok.



Fot. AIPN

**8 września 1981:** I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” przyjął *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*.

W pierwszych miesiącach istnienia Solidarności jej liderzy starali się nie stwarzać wrażenia, że ich ambicją jest „eksport” ideałów wolnego ruchu związkowego do innych krajów socjalistycznych. Wynikało to z uznania realiów Układu Warszawskiego i niechęci do drażnienia „sowieckiego niedźwiedzia”. *Posłanie do ludzi pracy...* było odejściem od tego samoograniczenia i wyzwaniem rzuconym Moskwie. Adresowane do robotników Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, Węgier i „wszystkich narodów Związku Radzieckiego”, wyrażało wsparcie dla tych, którzy „zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy”, a także nadzieję, że „niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń”. Pomysłodawcą *Posłania do ludzi pracy...* był Henryk Siciński z zarządu kaliskiej Solidarności. Wsparli go Bogusław Śliwa, Antoni Pietkiewicz, Jan Lityński, a już na sali obrad – m.in. Andrzej Gwiazda. Duża część kierownictwa Solidarności była zaskoczona treścią dokumentu. Zdecydowana większość delegatów opowiedziała się jednak za jego bezzwłocznym uchwaleniem. Bardzo ostro zareagowała na to prasa krajów bloku wschodniego. Przywódca ZSRR Leonid Breżniew nazwał deklarację zjazdu Solidarności „niebezpiecznym i prowokacyjnym dokumentem”. Nadzieje wyrażone w *Posłaniu do ludzi pracy...* spełniły się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy w Europie Środkowo-Wschodniej runął system komunistyczny.



Fot. AIPN

Fot. Janusz Krzyżewski/  
ze zbiorów Ośrodku KARTA



**23 września 1976:** Powstał Komitet Obrony Robotników.

Za protesty społeczne Czerwca '76 wielu ich uczestników zapłaciło utratą pracy, a niekiedy aresztowaniem i procesem. W reakcji na te represje zawiązał się Komitet Obrony Robotników, skupiający zarówno intelektualistów starszego pokolenia, jak i młodszych działaczy opozycji demokratycznej – łącznie początkowo kilkanaście osób o różnej orientacji ideowej. Inicjatorami powołania KOR byli Antoni Macierewicz, Piotr Naimski i Wojciech Onyszkiewicz, wsparci przez Jacka Kuronia i Jana Józefa Lipskiego. Podstawowym zadaniem komitetu była początkowo – jak deklarowano – „pomoc prawna, finansowa i lekarska” dla prześladowanych i ich rodzin. Niebagatelną rolę odgrywała też działalność informacyjna. KOR wydawał poza cenzurą „Komunikat” i „Biuletyn Informacyjny”, zdając sprawę ze swoich działań i dokumentując przypadki łamania prawa przez władze PRL. Komitet Obrony Robotników stawiał na funkcjonowanie jawne, co było *novum* na tle dotychczasowej aktywności opozycji w Polsce postalinowskiej. Osoby związane z KOR były represjonowane. „Inwigilacja, obelgi, groźby, zatrzymania w aresztach i rewizje, złośliwe szykany, wyrzucanie z pracy, w kilku wypadkach pobicia były formą »dialogu« [władz] z KOR-em” – wylicza w książce *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* prof. Andrzej Friszke. Po roku działalności Komitet Obrony Robotników przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, stawiający sobie za cel także walkę o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich.

**26 września 1946:** Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pozbawił polskiego obywatelstwa gen. Władysława Andersa i innych wyższych oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Większość oficerów PSZ nie zdecydowała się na powrót do Polski, rządzonej po II wojnie światowej przez komunistów. Władze brytyjskie powołały Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, który miał przygotować tych ludzi do życia w cywilu. Dla warszawskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, dominowanego przez komunistów, działalność korpusu stała się pretekstem do pozbawienia obywatelstwa polskiego 75 oficerów PSZ, w tym zasłużonych generałów dywizji – Stanisława Kopańskiego i Stanisława Maczka. W osobnej uchwale tego samego dnia odebrano obywatelstwo gen. Władysławowi Andersowi, który nie przystąpił do korpusu. W kłamliwym uzasadnieniu czytamy o działalności „zagrożającej najżywością interesom Państwa Polskiego, zagrażającej Jego bezpieczeństwu i ciągłości granic”. Dla Andersa, zwycięzcy spod Monte Cassino, szczególnie bolesny był udział w podjęciu tej decyzji Stanisława Mikołajczyka, wcześniejszego premiera RP na uchodźstwie. Generalowi obywatelstwo przywrócono dopiero w marcu 1989 roku (pośmiertnie), pozostałym oficerom – na początku lat siedemdziesiątych. Obowiązująca dziś ustawa o obywatelstwie z 2 kwietnia 2009 roku obie uchwały z 1946 roku uznaje za nieważne od samego początku.



Fot. AIPN

► General Władysław Anders (1892–1970)

Fot. AIPN



► Aleksander Krzyżanowski „Wilk” (1895–1951)

**29 września 1951:** W szpitalu więziennym zmarł płk Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, komendant Okręgu Wileńskiego AK.

Był synem powstańca styczniowego. Brał udział w I wojnie światowej, wojnie z bolszewikami oraz walkach we wrześniu 1939 roku. Później działał w konspiracji: kolejno w Służbie Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Od 1941 roku był komendantem Okręgu Wileńskiego ZWZ/AK. W lipcu 1944 roku dowodził akowską operacją „Ostra Brama”, mającą doprowadzić do zdobycia Wilna. 17 lipca został podstępnie aresztowany przez Sowietów. Był więziony w Wilnie i Moskwie, a następnie przetrzymywany w obozach NKWD w Diagilewie i Griazowcu. Z tego ostatniego uciekł i powrócił do Wilna. Tam znów został aresztowany i przewieziony do więzienia na moskiewskich Butyrkach. W październiku 1947 roku pozwolono mu na powrót do Polski. Choć nie włączył się do konspiracji, 3 lipca 1948 roku został aresztowany przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu. Trafił do stołecznego więzienia mokotowskiego. Władze komunistyczne kłamliwie zarzucały mu m.in. współpracę z Niemcami w okresie okupacji i mordowanie działaczy komunistycznych. Mimo tortur nie przyznawał się do zarzucanych mu czynów. Zmarł na gruźlicę, nie doczekawszy procesu. Jego ciało zakopano w tajemnicy między cmentarzem komunalnym a wojskowym na warszawskich Powązkach. W roku 1957 szczątki zostały ekshumowane i uroczystie złożone na Powązkach Wojskowych. W 1994 roku Aleksander Krzyżanowski został pośmiertnie awansowany przez prezydenta Lecha Wałęsę do stopnia generała brygady, a osiemnaście lat później – odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski

# WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY

WYCHODZI CODZIENNIE RANO

Wydawca: Drukarnia Państwowa Warszawa, ul. Miodowa 10. Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. Cena numeru 20 groszy. Kwartalnik 60 groszy. Rok I

## 2 września 1935 roku

Dokładnie cztery lata przed napaścią Niemiec na Polskę, w niedzielę 1 września 1935 roku, we wszystkich kościołach katolickich w III Rzeszy został odczytany list biskupów, w którym potępił rasistowską ideologię rządzącego już od dwóch lat Adolfa Hitlera i jego wrogie działania wobec katolików, jednoznacznie stwierdzając, że Kościół nie ulegnie nowemu pogaństwu, które uznawało rasę, narodowy socjalizm oraz władzę państwową za miary wszelkich wartości.

Polskim czytelnikom list episkopatu niemieckiego przedstawił „Warszawski Dziennik Narodowy” 2 września. Zwrócił uwagę na to, że „liczba wrogów Kościoła katolickiego w Niemczech ogromnie wzrosła” i że biskupi uskarżają się na coraz wyraźniejszą propagandę antyreligijną oraz na „zakaz zgromadzeń o charakterze religijnym poza obrębem kościołów”. Referując dalej orędzie biskupów niemieckich, dziennik zaznaczył ich opinię, że co prawda czwarte przykazanie „domaga się poszanowania i posłuszeństwa wobec władzy państwowej”, ale jeśli „ustawy państwowe staną w sprzeczności z prawem przyrodzonym i boskim, wówczas należy bardziej słuchać Boga niż ludzi”. Stając w obronie moralności małżeńskiej, biskupi potępił rasizm i prawodawstwo rasowe wprowadzane przez parlament niemiecki: „Ze stanowiska moralności byłoby rzeczą fatalną, gdyby małżeństwo traktowano wyłącznie pod kątem zachowania rasy”. Ponieważ rząd Hitlera dążył do oderwania Kościoła niemieckiego od Stolicy Apostolskiej i założenia Kościoła narodowego, biskupi przestrzegli wiernych: „O ile przestaniecie być wyznania rzymsko-katolickiego, nie będziecie wcale katolikami. Nauka o prymacie [papieża] jest artykułem wiary i w tej sprawie nie ma kompromisu”. List zakończyli: „Nie jesteśmy przejęci troską o nasz Kościół, ale wielką troską napawa nas los naszej ojczyzny. Kościół pokonał stare pogaństwo [kulturkampf z czasów Bismarcka] i nie pozwoli się również opanować nowemu pogaństwu”.

Półtora roku później z inicjatywy kard. Eugenia Pacellego (późniejszego papieża Piusa XII) papież Pius XI wydał encyklikę *Mit brennender Sorge* (Z palącą troską), w której potępił niemiecki nazizm.

## 18 września 1949 roku

18 września 1949 roku w „Dzienniku Polskim” (nr 256) zamieszczono na pierwszej stronie kolejny odcinek kroniki wojny polsko-niemieckiej 1939 roku. W rubryce „10 lat temu” opisano wydarzenia z 17 września. „W obliczu szybkiego posuwania się wojsk niemieckich w kierunku południowym sanacyjny rząd opuścił walczących żołnierzy i naród broniący swego honoru. Sanacyjni »wodzowie« uciekli na terytorium Rumunii. [...] W tej sytuacji, po całkowitym załamaniu się wszelkich planów obrony, w obliczu klęski militarnej i rozbitcia przez Niemców organizmu państwowego Polski, oddziały Armii Czerwonej przekraczają granicę polsko-radziecką dla ochrony interesów Białorusinów i Ukraińców – znakomitej większości mieszkańców terenów zabuzańskich” – przekonywał autor kroniki. Stwierdził on również, że działanie wojsk radzieckich miało na celu „nie dopuszczenie do zajęcia tego terytorium przez Niemców, co niebezpiecznie zbliżałoby oddziały armii niemieckiej do centrów przemysłowych w Związku Radzieckim”. Interwencja Armii Czerwonej wywarła, jak można przeczytać, „ogromny wpływ na późniejszy bieg wypadków”, zatrzymała bowiem „wojska niemieckie o 300 km od dawnej granicy polsko-radzieckiej”. W tekście znajdziemy jednak jeszcze bardziej kuriozalne tłumaczenia napaści ZSRR na Polskę. Działania Sowietów rzekomo pozwoliły „Ukraińcom i Białorusinom, a także i uchodźcom Polakom zamieszkałym na tych terenach uniknąć pierwszej fali teutońskiej furii i prześladowań, które rozszalały się na okupowanych przez Niemców częściach Polski”. Polscy mieszkańcy Kresów byli więc dla redaktora krakowskiej gazety tylko przybyszami i uchodźcami. ZSRR został też przedstawiony w rubryce jako obrońca narodów wschodniosłowiańskich: „17 września likwiduje także wiekową krzywdę Ukraińców i Białorusinów, pozwala im na połączenie się w jednym organizmie państwowym ze współbraćmi w Związku Radzieckim”. Kolejny fragment pokazuje, dlaczego w polskiej gazecie zamieszczono tak kłamliwy tekst. „Fakt, że nie ma już więcej ucisku białoruskiego i ukraińskiego chłopca przez polskiego obszarnika, umożliwi po wojnie oparcie polityki nowej Polski o głęboki sojusz ze Związkiem Radzieckim, z którym nie dzieli nas już sporne kwestie” – pisał autor. Kłamliwy tekst propagował komunistyczną narrację o „sprawiedliwym” ZSRR, który zniszczył „pańską Polskę”.

Przewiera  
Kościół  
List  
BERLIN, 1.9 (PAT). Na obzarcie całej Rzeszy odczytano dziś z ambon list pasterski, wystosowany przez konferencję biskupów katolickich w Fuldie i podpisany przez cały episkopat niemiecki. Kościoły wypełnione były po brzegi.  
LICZBA WROGÓW KOŚCIOŁA ROSNIE  
List pasterski podkreśla, że liczba wrogów Kościoła katolickiego w Niemczech ogromnie wzrosła, przyczem uskarża się na propagandę antyreligijną w literaturze, na zakaz zgromadzeń o charakterze religijnym poza obrębem kościołów. List pasterski stwierdza m. in., że „wolność rasy jest tak dalece ograniczona, iż byłym niemiecom katolickim nie wolno się

...ej niż inni dla odbudowy  
Dziś na stronie 6: Laureaci konkursu: „Ojciec i syn na w...  
Dzisiaj Słowa Polskiego

...er i lud  
...ię d  
...znają się  
...udowej

BERLIN, 1.9 (PAT). Na obzarcie całej Rzeszy odczytano dziś z ambon list pasterski, wystosowany przez konferencję biskupów katolickich w Fuldie i podpisany przez cały episkopat niemiecki. Kościoły wypełnione były po brzegi.

### LICZBA WROGÓW KOŚCIOŁA ROSNIE

List pasterski podkreśla, że liczba wrogów Kościoła katolickiego w Niemczech ogromnie wzrosła, przyczem uskarża się na propagandę antyreligijną w literaturze, na zakaz zgromadzeń o charakterze religijnym poza obrębem kościołów. List pasterski stwierdza m. in., że „wolność rasy jest tak dalece ograniczona, iż byłym niemiecom katolickim nie wolno się

wówczas należy bardziej słuchać Boga, niż ludzi. Orędzie potępia zarówno wszelkie wykroczenia przeciw obowiązującym ustawom, jak i „stosowanie podwójnej miary i obarczanie ogołu katolików niemieckich winą za przekroczenia, popełnione przez poszczególne jednostki”.

### SPRAWA RASY

Mówiąc o moralności małżeńskiej, orędzie biskupów porusza sprawę ustawodawstwa rasowego: „Ze stanowiska moralności byłoby rzeczą fatalną, gdyby małżeństwo traktowano wyłącznie pod kątem zachowania rasy”. Orędzie odpiera kategorię zarzutu, jakoby moralność chrześcijańska miała spowodować upadek kultury niemieckiej. Odnośnie do zarzutu

działny byłby zakaz chrześcijańskich przy tolerowaniu wyjątkowych. Konferencja biskupów walczyła do kanclerza Rzeszy w którym zwraca uwagę czerstwo nadużycia nowo ograniczenie swobody ko... „ucisk sumień chrześcijańskich”.

List przypomina rodzicom obowiązek zapewnienia dzieciom nauki religii oraz wyraża uznanie dla związków młodzieży katolickiej, za to, że służą narodowi niemieckiemu i odczytanie, odrzucając wszelką działalność antypaństwową. Katolickie związki młodzieży nigdy nie otrzymywały oferty sojuszu z młodzieżą komunistyczną. Oferta taka została by na

### Narodowego, który brał udział w przyjęciu księdza biskupa.

Po przesłuchaniu p. B. odsławiono do aresztu policyjnego w Grodzisku. W piątek aresztowała policja na Rynku w Lesznie kierownika Młodych w Lasociach p. Andrzejewskiego i doprowadziła do aresztu. W areszcie w Lesznie przebywają oprócz tego, od blisko dwóch tygodni dwaj działacze Str. Narod. pp. kierownik Al. Hatas i Edm. Werner.

### 10 lat temu

17 IX. 1939

W obliczu szybkiego posuwania się wojsk niemieckich w kierunku południowym sanacyjny rząd opuścił walczących żołnierzy i naród broniący swego honoru. Sanacyjni »wodzowie« uciekli na terytorium Rumunii. Trwają dalsze walki wyniszcz...





W czerwcu tego roku Sejm uchwalił ustawę o utworzeniu Urzędu Ministra ds. Kombatantów oraz na wniosek premiera powołał na to stanowisko gen. dyw. MIECZYSLAWA GRUDNIA. Uzasadniając projekt ustawy premier stwierdził m. in., iż projekt ten jest wyrazem wagi jaką partia i rząd przywiązują do spraw ludzi, którzy w najtrudniejszych chwilach historii narodu polskiego walczyli o jego ocalenie i niepodległość.

W kolejną rocznicę wybuchu II wojny światowej przeprowadziliśmy rozmowę z ministrem Mieczysławem Grudniem o sprawach kombatantów, którym społeczeństwo dłużne jest szacunek i zapobiegliwą opiekę.

### 3 września 1972 roku

W 33. rocznicę wybuchu II wojny światowej tygodnik „Przekrój” w numerze z 3 września 1972 roku opublikował wywiad z gen. Mieczysławem Grudniem (1922–2010), szefem resortu ds. kombatantów – ministerstwa utworzonego niespełna trzy miesiące wcześniej. Prowadząca wywiad Wilhelmina Skulska zapytała na początek, czy powołanie dodatkowej instytucji „w dobie ograniczania aparatu administracji” nie przeczy tej tendencji. Jak nietrudno zgadnąć, minister tak nie uważał: „Zaistniała potrzeba, co więcej, konieczność, stworzenia centralnego, państwowego urzędu, który będzie się zajmował, decydował i odpowiadał za problemy związane z sytuacją kombatantów”. Zaprzeczył, jakoby wystarczającą do tego była działalność Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (którego wiceprezesa rady naczelnej został zresztą dwa lata później): „ZBoWiD jest organizacją społeczną. Tak samo jak Związek Inwalidów Wojennych czy Związek Ociemniałych Żołnierzy. Organizacje społeczne [...] nie mogą zastąpić państwa, które ma konkretne zobowiązania”. Zapewnił też, że formuła urzędu jest „nader skromna” – trzy zespoły złożone z kilkudziesięciu urzędników. Pytany o plany działalności, odpowiedział, że pierwszym zadaniem będzie zewidencjonowanie wszystkich kombatantów, również tych nienależących do trzech wymienionych wcześniej organizacji, „niezależnie od nieba, pod którym przyszło im walczyć”. Zapewnił, że zostaną do tego zastosowane „nowoczesna technika i sprzęt”. Dopytywany o sposoby pomocy kombatantom – wówczas na ogół pięćdziesięcio-, siedemdziesięcioletkom – mówił o podstawach: specjalnych uprawnieniach, opiece medycznej i domach pomocy społecznej. Ale to nie wszystko. „Widzimy na przykład w kombatantach znakomitą kadrę wychowawców i opiekunów młodzieży. Potrzebni są nam kuratorzy, członkowie sądów społecznych, ludzie dojrzały, doświadczeni, którzy służyć mogą jako wzór moralności społecznej i obywatelskiej. [...] Organizacje te [kombatantkie] we współpracy z harcerstwem, ZMS-em [Związkiem Młodzieży Socjalistycznej] i Związkiem Młodzieży Wiejskiej powinny prowadzić batalię o podniesienie poziomu moralności socjalistycznej, kultury życia codziennego. [...] Słowem, aktywność społeczna jako najskuteczniejsze remedium przeciwko starości”.

Urząd Ministra ds. Kombatantów na prawach ministerstwa funkcjonował do 1981 roku. Wtedy przekształcono go w urząd centralny podległy bezpośrednio premierowi. Mieczysław Grudzień kierował tą jednostką aż do jej likwidacji w 1987 roku, kiedy sprawy kombatantów przejęło Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej. W 1991 roku został powołany Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

### 5–6 września 1981 roku

7 września 1981 roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych NRD w trybie pilnym wezwało na dywanik berlińskiego korespondenta „Życia Warszawy” i attaché prasowego ambasady PRL. Poszło o artykuł Janusza Reitera *Solidarność na Placu Aleksandra*, opublikowany w weekendowym wydaniu „ŻW” z 5–6 września (nr 206). Autor – notabene późniejszy ambasador RP w zjednoczonych Niemczech – wytknął władzom i mieszkańcom socjalistycznej NRD niechętny stosunek do NSZZ „Solidarność”. „Ze znacznym »Solidarności« wpiętym w klape marynarki nie ma co liczyć na przekroczenie granicy. W dyskusjach z władzami granicznymi i celnymi NRD turysta z Polski stoi na straconej pozycji” – pisał Reiter. „Miejscowa prasa nie szczędzi jej [Solidarności] mocnych słów krytyki [...]. Powtarzane w tym kontekście słowa o »kontrewolucji«, którą jedni widzą w natarciu, inni już u władzy, nie są tylko propagandowym sloganem, lecz oddają prawdziwe przekonanie wielu ludzi. [...] Podatność na idee polskiej »Solidarności« okazała się nikła w społeczeństwie, które ma poczucie dumy ze zdobytego (względnie, być może) dobrobytu i nie zamierza go tracić” – czytamy w innym miejscu. Dziennikarz zauważył, że równocześnie w Niemieckiej Republice Demokratycznej szerzy się „stereotyp Polaka wiecznie strajkującego, a więc nie bez przyczyny żyjącego w biedzie”. Na dowód przytoczył powtarzany w Berlinie żwigny dowcip: „Dwaj Polacy spotykają się przy pracy”. Reiter nie ukrywał, że wielu mieszkańców NRD z zadowoleniem przyjęło zahamowanie ruchu turystycznego z Polską (jesienią 1980 roku władze w Berlinie zawiesiły umowę z PRL o bezpaszportowym i bezwizowym ruchu granicznym), bo odebrano to jako „pozbycie się uciążliwych konkurentów na rynku wewnętrznym”, którzy masowo wykupywali towary we wschodniemieckich sklepach.

Miejscowe MSZ uznało, że tekst Reitera stanowi „zniesławienie NRD” i „działa na szkodę dobrych stosunków Polski i NRD”. Maciej Wirowski, ambasador PRL w Berlinie, w depeszy do centrali wyraził jednak przekonanie, że artykuł „Życia Warszawy” był tylko pretekstem, a gospodarzom chodziło o zwrócenie uwagi na całą serię polskich publikacji krytycznych wobec NRD. Tyle że gazety wschodniemieckie same nie przebierały wówczas w środkach. Bez pardonowo atakowały Solidarność, a polskim komunistom zarzucały zbytnią pobłażliwość wobec „kontrewolucji”. Ton prasy enerderskiej zmienił się dopiero po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego.



▶ Zdjęcie lotnicze  
płonącej Warszawy  
we wrześniu 1939 roku

Fot. APN

# Obrona Warszawy

Robert Szcześniak

**We wrześniu 1939 roku Niemcy liczyli na to, że stolicę Polski uda im się zdobyć z marszu. Krwawe walki o miasto trwały jednak niemal do końca miesiąca.**

**P**rzed wybuchem wojny Warszawa była ważnym ośrodkiem przemysłowym i węzłem komunikacyjnym. Stanowiła również centrum życia politycznego, kulturalnego i społecznego państwa polskiego. Ponadto była symbolem niepodległości Rzeczypospolitej oraz siedzibą najwyższych władz państwowych i wojskowych. Dlatego może dziwić, że w planie wojny z Niemcami (kryptonim „Zachód”), którego opracowanie rozpoczęto w marcu 1939 roku (do wybuchu wojny ukończono jedynie część dotyczącą pierwszej fazy działań wojennych), naczelne dowództwo Wojska Polskiego nie wyznaczyło Warszawie żadnej roli militarnej. Konsekwencją był brak planów naziemnej obrony stolicy, co skutkowało tym, że

do wybuchu wojny nie wyznaczono żadnych jednostek wojskowych do obrony miasta. Ponadto na przedpolu Warszawy nie było żadnych umocnień poza przestarzałymi fortami, pamiętającymi zabory, w dodatku nieobsadzonymi przez wojsko. W planie „Zachód” przewidziano jedynie zapewnienie stolicy osłony lotniczej, za którą miały odpowiadać Brygada Pościgowa, dowodzona przez płk. pil. Stefana Pawlikowskiego (ponad pięćdziesiąt przestarzałych samolotów P.7 i P.11), oraz kilka baterii artylerii przeciwlotniczej. Przydział ten był spowodowany głównie koniecznością osłony przebywających w mieście naczelnich władz wojskowych i cywilnych.

Odmienne Warszawę potraktowali Niemcy. Dla nich stolica Polski była

od początku działań wojennych celem militarnym. Zgodnie z założeniami niemieckiego planu ataku na Polskę (kryptonim „Fall Weiß”), Wehrmacht miał uderzyć z Pomorza i Górnego Śląska na Warszawę i w jak najkrótszym czasie opanować miasto oraz otoczyć i zniszczyć armie polskie znajdujące się na zachód od Wisły. Realizacja tego scenariusza miała z jednej strony spowodować wypełnienie przez ZSRR zobowiązań zawartych w tajnych protokołach paktu Ribbentrop–Mołotow, a z drugiej – zniechęcić zachodnich aliantów Polski do udzielenia jej pomocy.

Warszawa od pierwszych dni wojny była jednym z głównych celów uderzeń niemieckiego lotnictwa. Pierwsze bomby na miasto spadły już 1 września. W ciągu kolejnych pięciu dni, czyli do 6 września, główny wysiłek militarny po stronie polskiej spoczywał na barkach czynnej i biernej obrony przeciwlotniczej. W tym czasie podstawowy komponent tej obrony – Brygada Pościgowa – zestrzelił 43 samoloty wroga (ponadto odnotowano 9 zestrzeleń prawdopodobnych) i uszkodził 20 (fot. 1). Ceną za to była utrata 38 maszyn, tj. 70 proc. stanu wyjściowego. 6 września – wobec opuszczenia stolicy przez naczelne władze wojskowe i cywilne – marsz. Edward Śmigły-Rydz wydał rozkaz przebazowania brygady w rejon Lublina. Miasto opuściła także część artylerii przeciwlotniczej. Pozostałe nieliczne baterie przeciwlotnicze nie były w stanie powstrzymać kolejnych fal niemieckich bombowców, jednak sprawne i ofiarne działanie członków biernej obrony przeciwlotniczej pozwalało na chociaż częściową likwidację szkód, zapobieganie rozprzestrzenianiu się pożarów czy ratowanie ludzi zasypanych pod gruzami.

3 września – wobec przełamania ugrupowania armii polskich pod Czystochową i realnego zagrożenia zajęcia Warszawy z marszu przez kolumny pancerne nieprzyjaciela – marsz. Śmigły-Rydz polecił ministrowi spraw

wojskowych, gen. Tadeuszowi Kasprzyckiemu, powołanie improwowanego dowództwa obrony Warszawy. Na czele tegoż dowództwa stanął gen. Walerian Czuma, komendant Straży Granicznej, a szefem sztabu został naczelny komendant Legii Akademickiej, płk Tadeusz Tomaszewski.

Rozpoczęło się gorączkowe organizowanie obrony. Działania te miały charakter pełnej improwizacji. Do miasta pospiesznie ściągano jednostki wojskowe. Były to głównie oddziały marszowe i tyłowe. Obok jednostek regularnych tworzone formacje ochotnicze, organizowane z rezerwistów, którzy nie mieli przydziałów i w tym momencie znajdowali się na terenie Warszawy. Ze składnicy w Palmirach zwożono do miasta amunicję. Na obrzeżach zwartej zabudowy miasta – tj. na terenie Woli i Ochoty, dzielnic najbardziej narażonych na atak nieprzyjaciela – prowadzono prace ziemne przy budowie umocnień polowych. Arterie komunikacyjne zamknięto barykadami i umocnieniami przeciwpancernymi (fot. 2). Na apel komisarzycznego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego o pomoc w budowie umocnień odpowiedziały tysiące mieszkańców stolicy. Sił wojskowych w Warszawie znacznie przybyło, ale to i tak nie zaspokajało potrzeb.

3 września warszawiacy entuzjastycznie zareagowali na wypowiedzenie wojny Niemcom przez Wielką Brytanię i Francję. Pod ambasadami obu państw pojawiły się tłumy mieszkańców wiwatujące na cześć sojuszników (fot. 3). Entuzjazm wkrótce przygasł, bo 6 września stolicę opuściły naczelnne władze wojskowe i cywilne. Ewakuacja odbywała się w nerwowej atmosferze i chaotycznie, czego przykładem może być pozostawienie w Forcie Legionów wielu materiałów Oddziału II Sztabu Generalnego, które ułatwiły Niemcom po zakończeniu działań wojennych rozbić siatek polskiego wywiadu na terenie Rzeszy. Chaos ewakuacyjny pogłębiła odezwa szefa propagandy Naczelnego Wodza,

płk. Romana Umiastowskiego, wygłoszona przez radio 6 września wieczorem, w której nawoływał mężczyzn zdolnych do noszenia broni do opuszczenia miasta. Przemówienie spowodowało wybuch paniki. Dzięki energicznym działaniom gen. Czumy oraz prezydenta Starzyńskiego 7 września o 3.00 ogłoszono w radiu rozkaz Naczelnego Wodza wstrzymujący ewakuację mężczyzn z miasta, mimo to część osób opuściła stolicę.

Po południu 8 września na przedpola stolicy dotarły pierwsze oddziały 4. Dywizji Pancerniej gen. Georga Reinhardta (ze składu XVI Korpusu Pancernego 10. Armii) i ok. 17.00 z marszu uderzyły na Ochotę. Atak zakończył się niepowodzeniem, co nie przeszkodziło dowództwu Wehrmachtu w podaniu przez radio informacji o zdobyciu miasta. Przez kolejne dwa dni niemieckie oddziały bezskutecznie atakowały polskie pozycje na Woli i Ochocie. 10 września 4. DPanc. została zluzowana przez niemiecką 31. Dywizję Piechoty, która rozpoczęła blokadę miasta od zachodu. Odejście 4. DPanc. spod Warszawy było spowodowane rozpoczęciem przez armie „Poznań” (dowódca – gen. Tadeusz Kutrzeba) i „Pomorze” (dowódca – gen. Władysław Bortnowski) zwrotu zaczepnego nad Bzurą. Walki nad tą rzeką spowodowały, że nacisk niemiecki na Warszawę na pewien czas zelżał. Oddziały 31. DP poza lokalnymi próbami ataku nie przejawiały większej inicjatywy, skupiając się jedynie na blokowaniu miasta, które regularnie było bombardowane i ostrzeliwane przez artylerię. Również garnizon stolicy zachowywał się biernie. Co prawda przygotowano plany wsparcia walczących nad Bzurą wojsk polskich, jednak ostatecznie do ataku nie doszło.

15 września oddziały atakujące z Prus Wschodnich 3. Armii gen. Georga von Kuchlera dotarły na przedpola Pragi i Grochowa. Ostatecznie 16 września pierścień okrążenia wokół Warszawy został ▶



1  
▶ Szczątki niemieckiego bombowca Heinkel He 111 rozbitego na skarpie nad ulicą Dynasy w Warszawie



2  
▶ Budowa zapory przeciwczołgowej na Pradze, 10 września



3  
▶ Demonstracja na cześć Wielkiej Brytanii i Francji na ul. Marszałkowskiej w Warszawie po wypowiedzeniu przez te kraje wojny Niemcom



Fot. AIPN

4

► General dywizji Tadeusz Kutrzeba (siedzi tyłem z prawej) i inny oficer polski w trakcie pertraktacji kapitulacyjnych w niemieckim autobusie sztabowym na terenie Polskich Zakładów „Skoda” S.A. na Rakowcu, drugi z lewej siedzi dowódca 8. Armii, gen. Johannes Albrecht Blaskowitz

zamknięty. Tego samego dnia Hitler nakazał wysłać do dowództwa obrony Warszawy parlamentarzysty z żądaniem kapitulacji miasta. Żądanie zostało odrzucone.

17 września lotnictwo niemieckie dokonało jednego z najcięższych bombardowań miasta. Zniszczeniu uległy m.in. Zamek Królewski i katedra św. Jana. Przez kilka następnych dni stolica była sukcesywnie bombardowana oraz ostrzeliwana przez artylerię. Poza lokalnymi wypadkami nie dochodziło natomiast do starć oddziałów lądowych. W tym czasie dogasała bitwa nad Bzurą. Rozbite oddziały armii „Poznań” i „Pomorze” w ciężkich bojach przebijały się do Warszawy. Nieliczne z nich zasilały załogę miasta. Z kolei strona niemiecka podciągała pod miasto nowe oddziały, które przygotowywały się do ostatecznego szturmu na stolicę Polski.

23 września na Warszawę ponownie spadł grad bomb i pocisków artyleryjskich – było to preludium do wydarzeń kolejnych dni. Wobec zakończenia bitwy nad Bzurą (22 września) niemieckie dowództwo miało pełną swobodę w działaniu i mogło skupić gros sił do walk przeciwko załodze Warszawy. W tym

momencie obrona miasta była podzielona na dwa odcinki: „Zachód”, dowodzony przez płk. Mariana Porwita (pododcinki: „Północ” – Powązki, Żoliborz; „Zachód” – Wola, Ochota, „Południe” – Czerniaków, Mokotów), oraz „Wschód” (Praga, Saska Kępa, Grochów), dowodzony przez gen. Juliusza Zulaufą.

25 września około czterystu niemieckich bombowców dokonało niszczycielskiego nalotu na Warszawę. Operacja miała sterroryzować mieszkańców i obrońców miasta przed decydującym szturmem.

Zniszczeniu uległy m.in. elektrownia i wodociągi, płonęły całe dzielnice. Z ogniem ofiarne walczyli członkowie biernej obrony przeciwlotniczej, starając się gasić pożary piaskiem, ponieważ wody z powodu zniszczenia wodociągów nie było.

26 września wojska niemieckie przystąpiły do decydującego szturmu na miasto. Najcięższe walki toczyły się na Mokotowie i Ochocie. W innych rejonach odnotowano jedynie słaby nacisk nieprzyjaciela. Mimo lokalnych sukcesów oddziałom niemieckim nie udało się przerwać polskiej linii obrony. Na Pradze poza intensywnym ogniem artyleryjskim nie doszło do poważniejszych walk z racji tego, że zadaniem oddziałów niemieckich na tym odcinku było jedynie blokowanie oraz absorbowanie sił polskich. Powyższy scenariusz powtórzył się 27 września. Mimo od-

parcia kolejnych ataków nieprzyjaciela sytuacja w mieście była coraz gorsza. Brakowało wody, prądu, kończyła się żywność. W związku z tym dowództwo obrony Warszawy podjęło decyzję o rozpoczęciu rozmów kapitulacyjnych. W ich wyniku 28 września gen. Tadeusz Kutrzeba w imieniu dowództwa obrony Warszawy podpisał akt kapitulacji miasta (fot. 4). Zakończył się czterotygodniowy heroiczny bój o stolicę (fot. 5, 6). W jego wyniku zginęło ok. 6 tys. żołnierzy i ok. 25 tys. mieszkańców, rannych zostało 50 tys. cywilów i żołnierzy, a 12 proc. zabudowy miasta uległo zniszczeniu. 🇵🇵

Robert Szcześniak – pracownik Archiwum IPN



5

► Żołnierze polscy oddają broń po kapitulacji Warszawy



6

► Wyjście żołnierzy polskich do niewoli po kapitulacji Warszawy

Fot. AIPN

# Doniesienie agenturalne

**Jednym z zadań aparatu bezpieczeństwa było zdobywanie informacji o osobach i zdarzeniach. Wykorzystywano do tego osobowe źródła informacji, czyli agenturę.**

**D**o 1955 roku wymagano, aby doniesienia (donosy) miały formę pisemną. Później ten wymóg zniesiono. Wprowadzono zasadę, że mogą być sporządzane przez osobowe źródło informacji własnoręcznie podczas spotkania z funkcjonariuszem, przez funkcjonariusza w trakcie spotkania (tzw. dyktat) lub już po jego zakończeniu. W 1960 roku przyjęto, że „notatki spisane ze słów tajnego współpracownika [...] stanowią odpowiednik doniesień”. W kolejnych latach pozostawiono esbekom dowolność w dokumentowaniu informacji uzyskanych od agentury, zalecając jednocześnie, aby w miarę możliwości pozyskiwać je w formie pisemnej. W zależności od kategorii osobowego źródła informacji uzyskane od niego dane były przechowywane w różnych miejscach. I tak np. w przypadku kontaktu poufnego w latach 1945–1955 były to zazwyczaj teczka sprawy, do której został pozyska-

ny, oraz teczki spraw, których dotyczyło doniesienie (w odpisach), z kolei w okresie 1955–1970 – teczka sprawy, na której potrzeby został zwerbowany, oraz teczka kontaktu poufnego (o ile takowa istniała).

Donosy i notatki ze spotkań z agentem powinny być ułożone chronologicznie w teczce danego tajnego

współpracownika (np. w jego teczce pracy). W przypadku doniesień spisanych odręcznie przez osobowe źródło informacji dołączano do nich zazwyczaj kopie napisane na maszynie przez funkcjonariusza prowadzącego. W ich lewym górnym rogu podawano źródło informacji (pseudonim agenta), nazwisko przyjmującego ją funkcjonariusza i miejsce spotkania. Tam też lub w górnym prawym rogu umieszczano datę, a czasem nawet godzinę odbytego spotkania. Oprócz danych uzyskanych od osobowego źródła informacji lub przez nie spisanych na doniesieniu znajdowały się informacje od funkcjonariusza. Składały się na nie ocena agenta (m.in. jego zachowanie w trakcie rozmowy, stopień gotowości do informowania bezpieki, a przede wszystkim wywiązania się ze zleconych przez nią zadań), dane o kolejnych przydzielonych agentowi zadaniach, ocena doniesienia oraz spis przedsięwzięć planowanych w wyniku uzyskanych danych. W razie potrzeby – również informacja o przekazanym osobowemu źródłu informacji wynagrodzeniu lub środkach na wydatki związane z realizacją zleconych mu zadań.

Warto wspomnieć, że doniesienia pisane przez agenta na samego siebie w trzeciej osobie, niekiedy nawet poświęcone mu w całości, nie należą do rzadkości. Pozornie więc wydaje się, że taka osoba nie była tajnym współpracownikiem, lecz wręcz przeciwnie – ofiarą donosów. Z drugiej strony w niejednym przypadku w tych doniesieniach nie pojawia się w ogóle nazwisko osobowego źródła informacji. Niekiedy ten brak paradoksalnie pozwalał ofiarom donosów na identyfikację danego tajnego współpracownika. Tak było choćby w sprawie Lesława Maleszki, współpracownika Komitetu Obrony Robotników

i współzałożyciela Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie, a razem cennego agenta SB.

Na str. 12–13 zamieszczono doniesienie „Stefana”, przyjęte przez Romana Wieczorka, funkcjonariusza Wydziału II (czyli kontrwywiadu) Komendy Milicji Obywatelskiej m.st. Warszawy. Zostało spisane przez funkcjonariusza na podstawie wypowiedzi jego agenta, zapewne już po zakończeniu spotkania z nim. Owym „Stefanem” był znany wówczas dziennikarz sportowy Stefan Rzeszot, wieloletni współpracownik aparatu bezpieczeństwa. Został zwerbowany do współpracy przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie pod koniec 1945 roku w charakterze informatora o pseudonimie „Czarny”. Miało się to rzekomo odbyć „na zasadzie dobrowolności”. To standardowa formułka. Niewykluczone, że w tym przypadku nie odpowiadała prawdzie – informacje uzyskane od niego przez UB urywają się w roku 1946, kolejne pochodzą już z 1950 roku. Cztery lata później, w 1954 roku, Rzeszot został – żeby użyć resortowego żargonu – „wyeliminowany z sieci agenturalnej” z powodu przynależności do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz z racji zajmowania stanowiska redaktora naczelnego „Sportowca”. Nie oznaczało to jednak bynajmniej zakończenia jego współpracy z aparatem bezpieczeństwa – w latach 1954–1956 utrzymymano z nim „luźny kontakt jako kontaktem poufnym”, najprawdopodobniej jednak bez formalnej rejestracji w tym charakterze. W tym czasie miał być wykorzystywany przy okazji swych licznych wyjazdów zagranicznych i składać „sprawozdania z zachowania się poszczególnych członków ekip sportowych”. Na początku 1960 roku przeprowadzono z nim rozmowę, aby pozyskać go do współpracy w charakterze kontaktu poufnego. Próba zakończyła się powodzeniem i od tej pory rozpoczął regularną współpracę z SB, tym razem jako „Stefan”. ➤

Stefan Rzeszot (1923–1987), od lat czterdziestych do siedemdziesiątych współpracownik aparatu bezpieczeństwa (w latach 1945–1954 o pseudonimie „Czarny”, a od 1960 roku – „Stefan”), w tym czasie był traktowany przez Urząd Bezpieczeństwa/Śłużbę Bezpieczeństwa jako tzw. kontakt poufny (kp)

Określenie wieloznaczne, w tym przypadku chodzi o tajnego współpracownika

Źródło: „Stefan”

Roman Wieczorek (ur. 1935) – w latach 1954–1985 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, od 1961 do 1964 roku starszy oficer operacyjny Grupy VII Wydziału II Komendy MO m.st. Warszawy

Przyjął: Wieczorek R.  
Miejsce: l.k. „Brzoza”

Lokal kontaktowy „Brzoza”

**D o n i e s i e n i e**  
/ze słów/

Jerzy Budny (1930–1993) – dziennikarz sportowy, od 1957 roku zatrudniony w Redakcji Sportowej Telewizji Polskiej

Budny Jerzy – znam tego człowieka od dawna i mogę stwierdzić, że jego postawa życiowa i poglądy polityczne pozwalają określić tego człowieka jako osobę do, której można mieć pełne zaufanie. Sądzę, że zrozumiał by zainteresowania tego resortu problemami TV a także jak się orientuje na stały kontakt z ludźmi pracującymi w Ośrodku Filmowym, gdyż z ramienia TV zamawia u nich bardzo dużo filmów i jest częstym gościem Wójcickiewicza.

Telewizja Polska była „operacyjnie ochroniana” przez SB, w ramach sprawy obiektywnej prowadzonej „na” Komitet ds. Radia i Telewizji, w którego skład (na szczeblu centralnym) wchodziła

Spróbuję z nim sam porozmawiać i po zorientowaniu się na ile zna problemy dotyczące Ośrodka będę mógł powiedzieć co rozmowa z nim da i czy jest wogóle konieczna. Jest to moja propozycja do rozpatrzenia.

Konrad Gruda (1915–2012) – od 1953 roku dziennikarz, a w latach 1954–1957 kierownik Redakcji Sportowej Polskiego Radia, pomysłodawca „Kroniki Sportowej” w Programie I PR, w 1969 roku wyemigrował do Republiki Federalnej Niemiec

Budny wyjeżdża do USA z ekipą naszych dziennikarzy na mecz Polska–USA z ramienia TV. Należy dodać, że z racji swej pracy jest bliskim znajomym Konrada Grudy, gdyż pracują w jednej komórcie. Budny jest zastępcą Grudy.

Chodzi o trzeci mecz lekkoatletyczny Polska–USA w Chicago w dniach 30 czerwca – 1 lipca 1962 roku

NOWALINSKI Andrzej, młody dziennikarz, który do niedawna pracował w „Expressie Wieczornym”.

Andrzej Nowaliński (1934–1980) – do 1962 roku dziennikarz „Expressu Wieczornego”, a później redaktor „Dziennika Telewizyjnego” oraz korespondent TVP i PR w Londynie i Nowym Jorku

Od miesiąca czasu zatrudniony na stałe w Telewizji/TV/ jako prowadzący dziennik telewizyjny. Byłem z nim kilka dni temu na wódcie i w toku prowadzonej rozmowy zorientowałem się, że jest to niegłupi chłopak, który ma bardzo interesujące powiązania na terenie TV a ponadto zna wielu akredytowanych w Warszawie dziennikarzy zagranicznych.

Według mnie NOWALINSKI to człowiek, który zna nie wiem skąd wszystkich tych ludzi, których znać trzeba aby pracować w TV i mieć na tym terenie dobrą pozycję.

Jak się orientuję najbliższą zna spośród dziennikarzy KRAMERA i GAWROŃSKIEGO.

„Stefan”

Informacja

„Dziennik Telewizyjny” – główny program informacyjny TVP, nadawany w latach 1958–1989

Dziennik popołudniowy ukazujący się w latach 1946–1999

Była to spora suma, w 1962 roku przeciętne miesięczne wynagrodzenie wynosiło niespełna 1700 zł

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

96

"Stefan" na spotkaniu tym nic nowego na tematy nas interesujące nie był w stanie powiedzieć, gdyż zaledwie kilka dni minęło od spotkania ostatniego a w tym czasie był zajęty sprawami zawodowymi. Na spotkaniu obecnym także nie było czasu na omówienie wielu spraw gdyż nagle został wezwany do KC PZPR w sprawach presy sportowej. Usgodniliśmy, że na dłuższe spotkanie umówimy się na dzień 2.VI.

Omawiając na spotkaniu obecnym osobę HUDNEGO I NOWALINSKiego dał mi do zrozumienia, że te dwie osoby mogły by się nam przydać przy bliższym poznawaniu problemów nas interesujących odnośnie Telewizji i Ośrodka Filmowego.

Na spotkaniu tym wręczyłem "Stefenowi" sumę tysiąc złotych na wydatki związane z rozmowami jakie ma przeprowadzić z ludźmi pracującymi w Ośrodku m.in. w dniu jutrzejszym będą rozmawiał z WOJCIKIEWICZEM.

Przedsięwzięcia

Bliżej zainteresowałem się osobą HUDNEGO I NOWALINSKIEGO podpracowałem ich i zdecydowałem się na przeprowadzenie z nimi rozmów operacyjnych.

St.of.oper. Wydz. II Grupy VII  
*[Signature]*  
 / Wieczorek R.ppor. /

Jedną z podstawowych metod pracy operacyjnej SB, mogły mieć różny charakter: poznawczy, profilaktyczny, manipulacyjny, werbunkowy, instruktażowy, śledczy

Na szczeblu Komendy Wojewódzkiej MO jednostka odpowiedzialna w tym czasie za kontrolę międzynarodowego ruchu osobowego (monitorująca przybyszów z Zachodu oraz Polaków wyjeżdżających za granicę), zajmowała się także obozami uchodźców oraz przypadkami odmowy powrotu do PRL

W tym przypadku: zebrać na ich temat więcej danych

Dokumentacja dotycząca jego współpracy z bezpieką (Urzędem Bezpieczeństwa, a później Służbą Bezpieczeństwa) jest dość pokaźna – liczy dwa tomy, blisko trzysta kart. Zachowało się m.in. jego własnoręczne zobowiązanie do współpracy, w którym pisał: „Zobowiązuję się szczerze i dokładnie donosić o działalności wrogich organizacji i ludzi”. W aktach są oczywiście jego liczne doniesienia (zarówno pisane odręcznie przez niego samego, jak i spisane na podstawie jego słów przez funkcjonariuszy), jego charakterystyki jako osobowego źródła informacji, dokumenty dotyczące jego wynagradzania czy też refundowania mu kosztów ponoszonych w związku ze współpracą – najciekawszy z nich dotyczy biletów na koncert legendarnych Rolling Stoneów w Polsce w kwietniu 1967 roku.

Stefan Rzeszot informował funkcjonariuszy UB/SB zarówno o wydarzeniach w kraju, jak i za granicą. Przekazywał dane (niekiedy cenne, stające się podstawą do dalszych działań) nie tylko o rodakach, lecz także obcokrajowcach. Były to głównie osoby ze środowisk, w których się obracał, zwłaszcza dziennikarskiego, ale też sportowego, a wcześniej (w latach czterdziestych) – akademickiego. W raporcie z lutego 1977 roku stwierdzano: „Był wykorzystywany do operacyjnego rozpoznania i kontroli osób związanych ze środowiskiem sportowym – utrzymujących kontakty prywatno-służbowe z k[rajami] k[apitalistycznymi]. Ponadto do rozpoznania cudzoziemców przebywających czasowo w PRL”. Wnioskując wówczas o złożenie do archiwum materiałów kontaktu poufnego „Stefan”, krok ten uzasadniano jego „znikomymi możliwościami” uyskiwania danych istotnych z „kontrywiadowczego punktu widzenia”. Rzeczywiście – jak wynika z zachowanych materiałów – ostatnie informacje uzyskano od niego najprawdopodobniej w styczniu 1974 roku.

# Masowe groby w próżni prawnej

Czterdzieści lat po upadku dyktatury Franco Hiszpania wciąż ma prawne problemy z rozliczeniem zbrodni tamtego okresu i upamiętnieniem ofiar – mówi **Francisco Ferrándiz Martín** z hiszpańskiej Głównej Rady Badań Naukowych, realizującej projekt „Polityki pamięci”, w rozmowie z Natalią Jarską



## „Polityki pamięci” – co to takiego?

To jest projekt, który powstał w jakimś sensie z powodu osierocenia instytucjonalnego spraw ekshumacji, z powodu braku wsparcia ze strony jakichkolwiek instytucji. Zaczęłam pracę w roku 2003. Interesowałam się procesem odkrywania i wydobywania ciał ofiar represji okresu wojny domowej i rządów gen. Francisca Franco, realizowanym trzydzieści lat po wprowadzeniu demokracji. To było pytanie, które zadawaliśmy sobie wszyscy: Dlaczego Hiszpania, która dawała lekcje światu, jak przeprowadzić miękko transformację, nie potrafi sobie poradzić z rozliczeniem zbrodni? Coraz uważniej zacząłem czytać gazety, tak jak wszyscy. W roku 2002 czy 2003 było dużo emocji...

## Ekshumacje zaczęły się w roku 2000?

Te współczesne – tak. Tuż po wojnie ekshumowano wprawdzie na wielką skalę, ale skupiano się na ofiarach ze strony narodowej [chodzi o tych, którzy walczyli po stronie gen. Franco – red.]. Te działania miały wsparcie finansowe, stworzono odpowiednie procedury, starano się unikać spontanicznych ekshumacji, byli medycy sądowi. Nawet były formularze: „Zwracam się z prośbą, żeby rząd ekshumował mojego męża, który zginął...” etc. Wielu ekshumowanych to żołnierze frontowi, ale spora część to także ofiary represji. Nazywamy to nekropolityką, ponieważ te szczątki były wykorzystywane politycznie przez władzę do budowania reżimu narodo-katolickiego. Pojawił się motyw męczennika, poległego za Hiszpanię – wszystko to miało źródło w wydobywanych szkieletach. Dlatego te ekshumacje są tak ważne; ale właściwie mało kto w Hiszpanii wie, że miały miejsce. Mamy nawet badaczkę, która zajmuje się ekshumacjami z czasów wojny. Przeprowadzali je republikanie [przeciwnicy Franco] w Barcelonie, gdzie były ostre represje. Republikanie ekshumowali narodowców, żeby oddać ich ciała rodzinom.

Niespełna dwie dekady później, w zupełnie innym momencie „nekropolitycznym”, powstała Dolina Poległych. Miał tam stanąć pomnik – mauzoleum. Ponieważ

jednak nie było kogo pochować – nie było szczątków – w 1958 roku zapoczątkowano procesy administracyjne, które w założeniu miały służyć upamiętnieniu ofiar obu stron konfliktu. Jednak w przypadku ciał republikanów robiono to bez wiedzy i zgody rodzin. Nie znamy nikogo, kto wnioskowałby o przeniesienie do mauzoleum Franco. Wiemy też, że było wielu bliskich zamordowanych narodowców, którzy nie chcieli przeniesienia. Wystosowano pisma do wszystkich ratuszów, proszono w nich o ciała, które miałyby spocząć w Dolinie Poległych. Jako że w tym momencie reżim zaczynał się już otwierać, ustalono, że dotyczy to obu stron konfliktu, jeżeli byli katolikami. Na przykład muzułmanie, których walczyło 80 tys., nie mieli zostać uwzględnieni. Czasem przenoszono tam całe cmentarze, np. cmentarz wojskowy w Madrycie. W sumie szczątki ponad 33 tys. osób. Zdarzało się, że lokalne władze nie miały szczątków ofiar strony republikańskiej,



► Specjaliści zaangażowani w projekt „Polityki pamięci” podczas ekshumacji





więc – z powodu presji – ekshumowały i przekazywały do Doliny ofiary narodowców, bez wiedzy ich rodzin. Nie wiemy, ile było takich przypadków, ale mamy kilka udokumentowanych. Ekshumowano masowe groby i okazywało się, że te groby już wcześniej otwierano i zabrano część szczątków. To wzbudziło wielkie protesty. Nie znamy skali, ale spośród szczątków 33 tys. osób w Dolinie Poległych 12 tys. to szkielety niezidentyfikowane. Po śmierci dyktatora [zmarł w 1975 roku] doszło do kolejnych ekshumacji. Członkowie rodzin republikanów – ofiar cywilnych – poszli do masowych grobów i łopatami własnoręcznie je odkopali, bez jakiegokolwiek wsparcia instytucjonalnego. Takich ekshumacji były setki. Chcąc je opisać, musimy chodzić niemal po każdej wiosce i pytać, jak to się odbywało.

W roku 2000 Emilio Silva, który miał swojego dziadka w masowym grobie, zdecydował o jego ekshumacji. Nawiązał kontakt z archeologami i medykami sądowymi. Bo ekshumacje z lat siedemdziesiątych odbywały się bez żadnego wsparcia technicznego. Na fotografiach widać stopy kości, czaszki osobno. Nie było identyfikacji. Ponieważ Silva jest dziennikarzem, temat zaczął przenikać do mediów. Wszystko to się działo w roku 2000 i dlatego uważa się, że właśnie wtedy rozpoczęto ekshumacje (a to był już co najmniej trzeci ich etap). 90 proc. z nich dotyczyło cywilów, ofiar represji na zapleczu frontu. Było to wynikiem polityki eksterminacji wszystkich, którzy piastowali stanowiska w czasach republikańskich. Prawie wcale nie odkopuje się żołnierzy, chociaż np. mamy taki przypadek w Kraju Basków.

#### Kto dokonuje tych ekshumacji?

Jest to ruch oddolny. Do roku 2005 były to głównie organizacje pozarządowe, niektóre o zabarwieniu politycznym, inne po prostu skupiały członków rodzin ofiar. Były takie, które zawiązywały się jedynie

po to, by odkopać jakiś jeden masowy grób. Emilio Silva założył Stowarzyszenie na rzecz Przywracania Pamięci Historycznej (Asociación para la Recuperación de la Memoria Histórica – ARMH), które jest najbardziej znane. Potem wiele organizacji zaczęło siebie nazywać „Stowarzyszenie na rzecz Przywracania Pamięci w Valladolid, León...”, ale te podmioty nie są ze sobą powiązane. Jest też organizacja o nazwie Federación Estatal de Foros por la Memoria, mocno związana z partią komunistyczną. Oni rozumieją cały proces w kompletnie inny sposób i jest wiele napięć między nią a fundacją Silvy. Ekshumację i ponowne pogrzebanie te organizacje realizują zupełnie inaczej z punktu widzenia politycznego. ARMH wsłuchuje się w głos rodzin, jeśli chodzi o organizację pogrzebów, nie urządza manifestacji politycznej. Dla Forum natomiast ekshumacja jest aktem politycznym – a jeśli nim się nie staje, jest zdradzaniem ofiar. Jest tu napięcie między „rodziną biologiczną” a „rodziną polityczną”.

W Andaluzji powstało dwadzieścia, trzydzieści różnych organizacji. Był to ruch, który wzrastał od dołu do góry. Przez pierwszych kilka lat prace prowadzono dzięki wolontariuszom. Członkowie rodzin prosili o pomoc stowarzyszenia, które kontaktowały się z zespołami technicznymi. Ale to zależało od szczęścia. Najważniejszą rolę odegrał tu lekarz sądowy, Bask, Francisco Etxeberria, który też jest w naszym zespole badawczym. Brał udział w sekcji zwłok prezydenta Chile Salvadora Allende, noblisty, poety Pabla Nerudy i piosenkarza Victora Jary, pracował dla Czerwonego Krzyża w Kolumbii. Jest naukowcem, ale postanowił wesprzeć rodziny ofiar, żeby znowu nie robiły tego tak, jak w latach siedemdziesiątych



**prof. Francisco Ferrándiz Martín** (ur. 1963) – antropolog, interesuje się studiami kulturowymi, religijnością ludową, antropologią wizualną, medycyną, ciałem, a także antropologią przemocy, ze szczególnym naciskiem na badania związane z pamięcią i traumą społeczną; szef projektu „Polityki pamięci”

– gołymi rękami. Więc użył Protokołu z Minnesoty (dokument dotyczący ekshumacji i badania pozasadowych egzekucji, zalecany przez ONZ) „zrecyklingował” go dla Hiszpanii, opublikował i powiedział: „To się robi tak”. I to wszystko, co było. W tych pierwszych latach popełniono wiele błędów. Jeżeli stowarzyszenie знаło zespół Etxeberri i ten zespół miał czas, jechał, ale to był wolontariat. Byłem tam wiele razy. Spaliliśmy w domach rodzin, dawali nam śniadanie, zrzucali się na obiad.

### Ale to było legalne?

To jest podstawowa sprawa. Masowe groby znajdują się w próżni prawnej. Niektóre są na terenie cmentarzy, wtedy trzeba prosić o pozwolenie władze lokalne. Czasem leżą na ziemi prywatnej, często kupionej wiele lat po wojnie. Tutaj, z powodu czasu, jaki minął od egzekucji do momentu odkopania szczątków, nigdy nie było prawnego parasola. Hiszpania oczywiście podpisała traktaty dotyczące zbrodni przeciw ludzkości, ale w praktyce ucieka od stosowania tej kategorii na swoim podwórku. W hiszpańskim prawie karnym przestępstwo przedawnia się po upływie 20 lat. Ponadto była ustawa o amnestii. Sędzia Baltazar Garzón, który próbował pomagać rodzinom ofiar, także stwierdził, że nie ma żadnej legalnej możliwości zabrania tych ciał. Tak więc ekshumacje miały charakter pozaprawny. To różni Hiszpanię od Argentyny i Chile, gdzie to się robi na podstawie procesów sądowych, gdzie są osoby, na których ciążyą zarzuty popełnienia tych przestępstw, tak więc poszukuje się dowodów. W naszej sytuacji ekshumacje są ryzykowne. Na przykład, jak jedziemy, w pewien sposób udajemy legalność, zakładamy identyfikatory z napisem ARMH albo CSIC (Consejo Superior de Investigaciones Científicas – Rada Główna Badań Naukowych) i postronny może się wydawać, że mamy władzę. Jednak może przyjść jakiś fotograf i fotografować wszystko, bo my nie mamy prawa mu powiedzieć, żeby tego nie robił.

### Ale dlaczego przez piętnaście lat nie uchwalono żadnej ustawy?

Ustawa o pamięci historycznej jest słaba. Przygotował ją rząd socjalistyczny José Zapatera, którego dziadek był żołnierzem i został rozstrzelany. To pokolenie wnuków tego wszystkiego dokonało. To jest generacja, która kwestionuje zasady trans-

Wojna domowa w republice Hiszpanii wybuchła latem 1936 roku w wyniku spisku części wojskowych. Szybko okazało się, że nie zyskali przewagi, i próba zamachu stanu przerodziła się w długotrwały konflikt. Starty się w nim zjednoczone siły prawicowe – pod wodzą zyskującego coraz wyższą pozycję gen. Francisca Franco, z obrońcami II Republiki. Po stronie republiki stanęły zróżnicowane środowiska lewicowe – anarchistyczne, komunistyczne, socjalistyczne – oraz demokratyczne i narodowe (Baskowie, Katalończycy). Konflikt był bardzo krwawy, ucierpiała ludność cywilna. Po oby stronach doszło do masowych represji – strona zwana narodową (Franco) mordowała byłych urzędników i zwolenników II Republiki, strona republikańska – księży i działaczy prawicowych. Po zwycięstwie Franco w Hiszpanii nastąpiła dyktatura, która trwała aż do śmierci generała w 1975 roku. Ofiary represji szacuje się na w sumie 200 tys., w tym 50 tys. ze strony republikańskiej, 100 tys. – ze strony narodowej, oraz 50 tys. po zakończeniu wojny (represje reżimu gen. Franco).

formacji, którą przeprowadzili nasi rodzice. Dlatego że pozostawiono za sobą tamte zbrodnie. Frankizm pozostał bezkarny. W 1977 roku uchwalono amnestię, której domagała się lewica. Na demonstracjach krzyżano: „Amnestia, wolność!”. I teraz Hiszpania już wie, że była to amnestia dla zbrodni frankistowskich. Także dla lewicowych więźniów politycznych, ale było ich bardzo mało w porównaniu ze skalą zbrodni dyktatury. To była ustawa dogodna dla prawicy, ale na początku wydawało się, że dla lewicy. W tej chwili ci, którzy bronią ustawy o amnestii, to prawica. Rząd Zapatera musiał jakoś odpowiedzieć na presję społeczną związaną z masowymi grobami. Państwo nie mogło milczeć w tej sprawie, więc w 2006 roku zaczęły przygotowywać ustawę o pamięci historycznej. Odpowiedzialna za to była María Teresa Fernández de la Vega, ówczesna wicepremier. Wkrótce jednak stowarzyszenia zdały sobie sprawę z tego, że ustawa nie zaspokaja ich żądań. Na przykład oni chcieli przywrócenia godności w wymiarze politycznym. Wielu ludzi było sądzonych przez trybunały wojenne, które nie respektowały prawa do obrony, i zostało skazanych na śmierć. Chciano, by te wyroki śmierci zostały anulowane. Rząd powiedział, że to skomplikowane, bo ustawodawstwo frankistowskie przewidywało takie właśnie procedury. Ustawa zatem mówi, że wyroki są niesłuszne, ale nie są nielegalne. To jest zasadnicza różnica. Niesłuszne oznacza „nie podoba nam się”, nielegalne oznacza – „anulujemy je”. To bardzo obraziło wiele organizacji, mówili: „Mój dziadek ma być nadal przestępcą według prawa hiszpańskiego, ponieważ był sądzony przez trybunał wojenny, przed którym się wylicza jego przestępstwa i to wszystko jest kłamstwem, to wszystko było zmyśnione”. Dlatego oni zdecy-



dowali, ponieważ Garzón był cieszącym się uznaniem sędzią, wносить skargi do Audiencia Nacional [rodzaj sądu niemający odpowiednika w Polsce – przyp. red.]. To jest instytucja, która w największym stopniu bierze pod uwagę prawo międzynarodowe w zakresie praw człowieka. Przyjęli taką strategię, że zawsze szli zgłosić zaginięcie itp. wtedy kiedy była kolej sędziego Garzona, żeby sprawa trafiła na jego biurko. Garzón w 2008 roku zdecydował się sporządzić rodzaj tłumaczenia prawa międzynarodowego w zakresie praw człowieka dla przypadku hiszpańskiego, a przede wszystkim wprowadził pojęcie „przymusowego zaginięcia”, które stało się zbrodnią przeciwko ludzkości w 2007 roku, gdy Hiszpania podpisała traktaty o przeciwdziałaniu takim zaginięciom. Przymusowe zaginięcie jest bardzo silną kategorią prawną, ponieważ nie przedawnia się, dopóki nie pojawi się osoba zaginiona, żywa bądź martwa. Trzeba szukać i sprawcy są nadal sprawcami. Garzóna wyrzucano z sądownictwa, nie z powodu sprawy frankizmu, bo to byłoby zbyt oczywiste. Wyrzucili go, bo zezwolił na nagrywanie adwokatów, a nie powinien był. Jest wielu sędziów, którzy są winni gorszych rzeczy i nigdy nie stracili posad. Ale, mimo tej porażki, retoryka praw człowieka weszła do imaginarium ruchu ekshumacyjnego. Od roku 2008, kiedy otwiera się grób masowy, widzi się nie rozstrzelanych, lecz zaginionych. To ma ogromne znaczenie. Stowarzyszenia szukają pomocy międzynarodowej, w Strasburgu. W Argentynie sędzi się zbrodnie frankizmu. To jest proces, bardzo skomplikowany, o każdej z tych kwestii można by rozmawiać godzinami.

### Jak to wszystko się zaczęło?

Ja zacząłem pracować nad tym i natknąłem się na Etxeberrię, i przez wiele lat zajmowałem się tym tematem jako antropolog społeczny, raczej skupiając się na otoczeniu, nie samych grobach – rozmawiając z ludźmi, chodząc do ich domów, zbierając historie, dokumenty, fotografie, wyjaśniając, jak ważny jest akt zgonu, z datą. Chodziliśmy od dołu do dołu, było mnóstwo aktywności, ciągle nas wożono od miejsca do miejsca, zdaliśmy sobie sprawę z tego, że mamy mnóstwo materiału empirycznego, ale nie mamy struktury. Nasz zespół jest interdyscy-

plinarny i coraz bardziej międzynarodowy. Etxeberria ma laboratorium, zawsze towarzyszą mu antropolog społeczny i historycy. Zdecydowaliśmy, żeby starać się o grant, by taki projekt realizować; otrzymaliśmy go w 2010 roku. Ja się zajmuję koordynacją, dbaniem o kulturę badawczą, organizacją konferencji naukowych, redagowaniem publikacji – przede wszystkim w języku hiszpańskim, ale też angielskim. Tutaj, w Hiszpanii, debata jest bardzo skromna. Ciągłe pokutuje idea dwóch Hiszpanii. Są dwie Hiszpanie, które się nie rozumieją. Linia podziału nadal jest polityczna.

Główne pytanie, które nas prowadzi, brzmi: Dlaczego ekshumacje stały się narzędziem pamięci i praw człowieka tak istotnym w XXI wieku? Moim zdaniem dlatego, że wcześniej, w XX wieku, nie przeprowadzano ekshumacji na taką skalę. Teraz ekshumuje się bardzo dużo, w bardzo wielu miejscach. Uważa się to za sposób przywrócenia godności ofiarom. W Hiszpanii historiografia wycofała się z tego procesu, historycy się wycofali. To, co wypełniło to miejsce, to dyskurs medycyny sądowej. Doszło do czegoś, co nazywamy zwrotem sądowym w prawach człowieka.

Wielcy historycy, także ci zajmujący się wojną domową, nie mieli wiedzy o procesach społecznych, nie ufają świadectwu, pamięci. Nawet ktoś taki jak Santos Juliá – autor wydanej w 2005 roku książki o wojnie domowej, uważany za bohate-



► Nie wszyscy w Hiszpanii wiedzą o ekshumacjach przeprowadzonych tuż po wojnie



ra w środowiskach stowarzyszeń. Z ekshumacji można także czerpać wiedzę historyczną. Archiwom też przecież nie można ufać. W biurokracji frankistowskiej pisano czasem w akcie zgonu, że dany człowiek zmarł w wyniku działań wojennych, ale nigdy, że został rozstrzelany. Historycy też powinni zrozumieć, że pamięć może być źródłem. To są problemy metodologiczne i korporacyjne, dlatego że brało w tym udział wielu historyków amatorów.

### Szczałki ilu osób do tej pory wydobyto?

Jeśli chodzi o te najnowsze ekshumacje, jest ok. 350 dołów i 6,5 tys. szkieletów. Nie wiadomo dokładnie, ile było ofiar. We wspomnianej książce Santos Juliá opisał połowę prowincji [jednostek administracyjnych] i to jest ok. 75 tys. Nie wiadomo, ile grobów zostało. Budowano autostrady, boiska, poszerzano drogi...

W latach 2006–2011 rząd hiszpański przeznaczył ponad 20 mln euro na sprawy pamięci historycznej.

### Ale tę politykę realizują organizacje pozarządowe, nie urzędnicy państwowi?

To jest zupełnie inaczej niż w Polsce. Organizacje występują o fundusze, rząd mówi: „Dajemy wam 60 tys. euro, zadjecie mi raport po roku”. Nie było innej pomocy ze strony państwa, koordynacji prac. Protokół oficjalny ekshumacji stworzony za rządów socjalistycznych został opublikowany w biuletynie rządowym w 2011 roku – roku, w którym kończyły się fundusze na nie przeznaczone. A potem rząd Partii Ludowej (konserwatystów) w ogóle nie dał funduszy. Przez pięć lat mieliśmy 20 mln euro, a teraz zero.

### A opinia publiczna? Co o tym sądzą zwykli ludzie?

Mnóstwo ludzi jest obojętnych. Ci, którzy się interesują tym tematem, są podzieleni na prawicę i lewicę. Prawica mówi: już się pojedналиśmy, nie ma żadnej potrzeby, by rozdrapywać stare rany. Lewica: doszło do wielkiej niesprawiedliwości wobec dziesiątków tysięcy ofiar, należy im się jakaś forma

zadośćuczynienia; rodzinom, które nie tylko cierpiały przez czterdzieści lat dyktatury, lecz także przez czterdzieści lat demokracji. Dlatego teraz nazywają to czterdzieści-czterdzieści. Dwa reżimy, które nie chciały nic wiedzieć o tych ciałach, aż społeczeństwo obywatelskie się o nie upomniało. Było wiele krzyku w mediach, *talk shows*. Dlatego my chcieliśmy, by sprawą zajęła się grupa naukowców, która mogłaby nuansować ten problem. Widzimy, że teraz niektóre organizacje zaczęły patrzeć na sprawę w inny sposób – zrozumiały konieczność porównania z innymi krajami, żeby mieć więcej elementów do budowania swojego własnego dyskursu, żeby uczynić ten problem bardziej wyrafinowanym.

Rząd republikański starał się powstrzymać własne represje, podczas gdy ze strony frankistowskiej represje były uporządkowane i realizowane odgórnie. Mówi się, że republikanie zamordowali 50 tys. cywilów, podczas gdy frankiści – 150 tys. Choć nie wiemy, co by się stało, gdyby wojna zakończyła się inaczej. Historycy rozróżniają wyraźnie represje spontaniczne od represji zaplanowanych, wykonywanych pod kontrolą. Sprawa nie jest zakończona.

Poza tym, pozostaje kwestia Doliny Poległych. Była komisja ekspertów w 2011 roku, do której należałem. Powołano ją, by zdecydować, co zrobić z tym miejscem, które do tej pory funkcjonuje na podstawie prawa uchwalonego w 1958 roku, za frankizmu. Dyktator jest tam pochowany. Codziennie odprawiane są msze za niego. To jest coś, czego duża część społeczeństwa nie rozumie. Ustawa o pamięci historycznej zakłada konieczność znalezienia demokratycznego rozwiązania problemu Doliny Poległych. Wspomniana komisja została powołana późno, to był rok wyborów; raport wręczyliśmy rządowi socjalistycznemu, który już przegrał wybory. W raporcie sugerowaliśmy m.in., że bez wyprowadzenia stamtąd ciała gen. Franco nie jest możliwa zmiana znaczenia pomnika. Nie wiadomo, czy nawet rząd socjalistyczny odważy się to zrobić. Będą się toczyły inne debaty, które przesłonią ten problem.

Ilustracje pochodzą ze strony projektu „Polityki pamięci” [www.politicadela memoria.org](http://www.politicadela memoria.org)



# Restpolen 1939

Tomasz Ceran

**We wrześniu i na początku października 1939 roku władze III Rzeszy poważnie zastanawiały się nad pozostawieniem szczątkowego państwa polskiego.**

**Utworzenie Restpolen Hitler traktował jako kartę przetargową w grze dyplomatycznej z Wielką Brytanią i Francją.**

**P**odpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku – choć przy okazji rozgraniczono strefy wpływów niemieckich i sowieckich – nie przesądzało losu ziem polskich. Kwestia podziału administracyjnego pozostawała otwarta. Adolf Hitler, przystępując do wojny z Polską, nie miał szczegółowego planu rozczłonkowania państwa polskiego. Aż do początku października ta kwestia była nierozstrzygnięta, a ostateczną decyzję uzależniono od bieżącej sytuacji międzynarodowej i woli Führera. Przez pierwsze tygodnie wojny dyskusje dotyczyły losu Polski Centralnej i ewentualnego utworzenia polskiego państwa szczątkowego. Warto zauważyć, że te rozważania nie obejmowały polskich ziem zachodnich, których przyłączenie do III Rzeszy było dla władz nazistowskich i większości społeczeństwa niemieckiego oczywistością. Już 1 września Wolne Miasto Gdańsk zostało inkorporowane do Rzeszy. Ziemie te uważano historycznie za niemieckie i konsekwentnie od 1919 roku najpierw Republika Weimarska, a później III Rzesza dążyły do ich odłączenia od II Rzeczypospolitej. Jesienią 1939 roku w Berlinie nie zastanawiano się, czy włączyć polskie ziemie zachodnie do III Rzeszy, tylko jakie konkretnie tereny miały być inkorporowane.

## Wojna lokalna

We wrześniu i w pierwszych dniach października 1939 roku władze hitlerowskie poważnie zastanawiały się nad możliwością utworzenia marionetko-

wego państwa polskiego. Decydującym momentem wydaje się 3 września i wypowiedzenie wojny III Rzeszy przez Francję i Wielką Brytanię. Hitler zachowanie szczątkowego państwa polskiego traktował jako kartę przetargową w grze dyplomatycznej z Londynem i Paryżem. Władze III Rzeszy we wrześniu 1939 roku miały nadzieję na wojnę lokalną i nie chciały przedwczesnego konfliktu światowego. Ceną, którą były gotowe zapłacić za tymczasowy pokój, była odbudowa,



Fot. AIPN

▶ Żołnierze niemieccy zrywają godło polskie z siedziby Komisariatu Rządu w Gdyni, 14 września 1939 roku

przynajmniej teoretycznie, namiastki państwa polskiego, co miało pozwolić Francji i Wielkiej Brytanii zachować twarz i podpisać pokój. Rolę pośrednika w negocjacjach pokojowych były gotowe podjąć Hiszpania gen. Francisca Franco i faszystowskie Włochy Benito Mussoliniego. Warunkami przedwstępnymi miały być zawarcie pokoju i restauracja szczątkowego państwa polskiego w „postaci skromnej i symbolicznej”.

Na decyzję o utworzeniu, bądź nie, jakiejś formy polskiej państwowości miało też wpływ stanowisko Związku Sowieckiego. Berlin nie ufał Moskwie i nie był pewny jej postawy na początku wojny z Polską. Chcąc zabezpieczyć wschodnią granicę Rzeszy, Niemcy już od 3 września kilkakrotnie nalegali na wprowadzenie przez ZSRR wojsk do Polski i zajęcie ustalonej 23 sierpnia sowieckiej strefy wpływów. Jednak ze względów militarnych i propagandowych Józef Stalin nie zdecydował się na szybką agresję.

### Plan Ribbentropa i Halifaxa

7 września rozważano w Berlinie trzy warianty rozwoju sytuacji. Pierwszym z nich było podjęcie rokowań pokojowych z Polską, której za zerwanie sojuszu z Zachodem oferowano utworzenie *Restpolen* z Warszawą i Krakowem. Tereny przemysłowe miały zostać

przyłączone do Niemiec, a z województw południowo-wschodnich RP miało powstać odrębne państwo ukraińskie. Opcja ta byłaby realna, gdyby Sowieci nie zdecydowali się wkroczyć do Polski. Drugi wariant przewidywał wkroczenie Sowieców do Polski i zajęcie przez nich terytorium do linii rzek Narew–Wisła–San. Trzecia możliwość zakładała rozpoczęcie działań wojennych na zachodzie, co jednak nie zmieniłoby wcześniej wytyczonej strefy wpływów niemieckich i sowieckich na terytorium Rzeczypospolitej.

12 września Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych Rzeszy, zarysował trzy możliwe scenariusze podziału ziem polskich: niemiecko-sowiecki rozbiór Polski, stworzenie polskiego państwa kałubowego oraz rozczłonkowanie ziem polskich na różne obszary narodowościowe z utworzeniem odrębnego państwa zachodnioukraińskiego. Trzeci wariant byłby możliwy do zrealizowania tylko w przypadku zawarcia pokoju z Zachodem, co spowodowałyby, że Związek Sowiecki jako sojusznik III Rzeszy przestałby być potrzebny. Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski 17 września zdezaktualizowało ten pomysł. Trzy dni później, jak wynika z depeszy niemieckiego ambasadora w Moskwie, Friedricha-Wernera von der Schulenburga, Stalin odrzu-

cił koncepcję utworzenia polskiego państwa kałubowego. W literaturze przedmiotu – oprócz nienawiści Stalina do państwa polskiego, datowanej co najmniej od wojny 1920 roku – podkreśla się, że dyktator obawiał się powstania jakiegokolwiek formy polskiej państwowości, ponieważ mogłoby się to wiązać z powołaniem przez Niemcy polskiego rządu kolaboracyjnego, który mógłby się stać sojusznikiem Niemiec przeciwko ZSRR.

Na początku wojny także Wielka Brytania sondowała możliwość zawarcia porozumienia polsko-niemieckiego. 14 września minister spraw zagranicznych, lord Halifax, zapytał Edwarda Raczyńskiego, jak Polacy przyjęliby ewentualną niemiecką propozycję pokojową. Polski ambasador odpowiedział, że nie widzi możliwości jej przyjęcia. Warunkiem wstępnym ewentualnych rozmów musiałyby być zapewnienie Hitlera, że Polska nie ulegnie „dalszemu podziałowi” (dyplomata, jak się wydaje, godził się z włączeniem Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy). Polaków, zdaniem ambasadora, można by zmusić do pertraktacji jedynie groźbą oddania części Polski Związkowi Sowieckiemu.

### Bez „polskiego Quislinga”

Jesienią 1939 roku Niemcy podejmowali sondażowe próby znalezienia polskiego polityka, który byłby gotów stanąć na czele rządu kolaboracyjnego, ale trudno ocenić ich wiarygodność i stopień umocowania. Nieformalne rozmowy, o których niewiele wiadomo, były prowadzone z Wincentym Witosem i księciem Januszem Radziwiłłem. Jesienią 1939 roku Niemcy rozmawiali także ze środowiskiem krakowskich konserwatystów: Stanisławem Estreicherem, księciem Zdzisławem Lubomirskim i hrabią Adamem Ronikierem, ale najprawdopodobniej tylko o utworzeniu Rady Głównej Opiekuńczej. Niemieckie poselstwo w Genewie donosiło o bliżej nieokreślonych „polskich kołach” zamierza-



Fot. AIPN

► Żołnierze Armii Czerwonej rozbierają umocnienia na wschodniej granicy RP po napaści na Polskę 17 września 1939 roku



Fot. AIPN

► Jesienią 1939 roku w lasach w pobliżu Rudzkiego Mostu pod Tucholą Niemcy dokonywali masowych egzekucji miejscowych Polaków

jących powołać komitet z udziałem prymasa Augusta Hłonda, który byłby gotowy do negocjacji z Niemcami. Z własnej inicjatywy porozumienie z Niemcami chciał zawrzeć publicysta Władysław Studnicki. Jednak ani Hitler, ani Ribbentrop nie traktowali tych sygnałów poważnie.

Działacz ludowy Stefan Korboński zauważył przed laty: „Nikt nie wysunął na przykład koncepcji biernego oczekiwania na wynik wojny, dostosowania się do warunków, przybrania barw ochronnych lub szukania porozumienia z Niemcami. [...] Nikt wybitny w kraju, prócz Studnickiego (bo trudno liczyć paru zbałamuconych górali), nie reprezentował odmiennej opinii. [...] W tej postawie kraj wytrzymał do końca i nie wydał Quislinga. Czy były w okresie okupacji próby ze strony Niemców porozumienia się w kraju z Polakami? [...] Jeśli chodzi o utworzenie rządu, Niemcy zastanawiali się nad tą koncepcją i przeprowadzali

próbne sondy, których odgłosy dochodziły do władz podziemnych. Wyniki tych akcji przeprowadzanych być może na własną rękę przez niektórych dygnitarzy GG, musiały być jednak negatywne. Niewątpliwie wykazały one, że postawa Polaków jest najbardziej wroga ze wszystkich narodów okupowanych. Społeczeństwo polskie [...] odrzuciłoby każdą taką koncepcję”. Zdaniem niezującego już historyka Czesława Madajczyka, nie udowodniono jednak, że jesienią 1939 roku Niemcy byli zmuszeni zrezygnować z koncepcji utworzenia marionetkowego państwa polskiego ze względu na niemożność znalezienia „polskiego Quislinga” (chodzi o Vidkuna Quislinga, kolaborującego z III Rzeszą premiera Norwegii), po prostu go nie potrzebowali. Polski rząd kolaboracyjny byłby potrzebny jedynie w przypadku porozumienia z Zachodem, a to stawało się coraz mniej realne. Jednocześnie Madajczyk podkreślał zdecydowaną

antyniemiecką postawę polskiego społeczeństwa, w której wielu Polaków utwierdziły bestialskie morderstwa dokonywane przez Niemców na polskich żołnierzach i ludności cywilnej od początku wojny.

Hans Adolf von Moltke, były ambasador Niemiec w Warszawie, informował przełożonych 25 września 1939 roku, że utworzenie kolaboracyjnego polskiego rządu będzie możliwe tylko w przypadku, gdy polskie państwo będzie położone także na terenach zajętych przez Związek Sowiecki. Jego zdaniem, nawet polski rząd kolaboracyjny nie zgodziłby się na utworzenie małego pod względem terytorialnym państwa polskiego. Stalin był jednak przeciwny realizacji scenariusza nakreślonego przez von Moltkego i nalegał na szybkie i definitywne wytyczenie granicy między Niemcami i ZSRR. Był gotowy oddać III Rzeszy Polskę Centralną, w większości zamieszkaną przez Polaków, ►

pod warunkiem że Berlin uzna Litwę za strefę wpływów sowieckich. Negocjacje i podpisanie traktatu o przyjaźni i granicach przez III Rzeszę i ZSRR 28 września, a także powołanie dwa dni później polskiego rządu na uchodźstwie przekreśliły ostatecznie koncepcję powołania państwa polskiego obejmującego ziemie, do których rościli sobie prawo Sowietci.

### „Dobry polski element”

Po zajęciu stolicy Polski i rozgraniczeniu strefy wpływów ze Związkiem Sowieckim Hitler musiał skryształować plany dotyczące Polski. Zamierzał także przedstawić Zachodowi „wielką ofertę pokojową”. Według Josepha Goebbelsa, ministra propagandy Rzeszy, 30 września Führer chciał podzielić ziemie polskie okupowane

przez Niemcy na trzy strefy. „Stary niemiecki obszar” miał zostać całkowicie zgermanizowany. Druga strefa miała obejmować – na zasadzie protektoratu z autonomią – tereny rozciągające się po Wisłę i być zamieszkiwana przez „dobry polski element”. Na jej granicy miała zostać zbudowana linia umocnień, która miała odizolować Niemcy od Związku Sowieckiego. Ostatnia strefa również miała należeć do protektoratu i zostać zasiedlona przez „najgorszy polski element i Żydów”. Wkrótce się jednak okazało, że zdaniem Hitlera nie ma czegoś takiego jak „polski dobry element” i rozdział na drugą i trzecią strefę jest niepotrzebny.

Od 3 do 26 września Führer odbywał „wizję lokalną” na terenach, na których jeszcze toczyły się działania wojenne. Podróżując specjalnym pociągiem, samolotem i samochodem, przebywał na Pomorzu Gdańskim, na Śląsku, w Galicji, w Kieleckim i Łódzkiem. Zwiedził duże polskie miasta i prowincję. W pamięci utkwiły mu jednak przede wszystkim małe miasteczka żydowskie. Jak pisał historyk Jerzy Wojciech Borejsza, „do gniewu i nienawiści do Polaków, że »rozpętali drugą wojnę światową«, do poczucia, iż nie sposób porozumieć się z polskimi nieudolnymi warstwami rządzącymi, ze szlachtą i klerem, dołączyło się przeświadczenie o bezcelowości utrzymywania jakiegokolwiek satelickiego państwa polskiego, albowiem jest ono podminowane przez wielomilionową masę Żydów”.

### Clever speech

6 października Hitler stwierdził w przemówieniu w Reichstagu: „Po co mielibyśmy toczyć wojnę na Zachodzie? Dla odbudowy Polski? Polska z traktatu wersalskiego nigdy nie powstanie. Zaręczyły za to dwa największe państwa na świecie. Ostateczna reorganizacja tego terytorium i kwestia odbudowy państwa polskiego to zagadnienia, które nie zostaną rozwiązane przez wojnę na Zachodzie, tylko o ich rozwiązaniu zadecyduje wyłącz-



NIEMCY • POLSKA • Z. S. R. R.  
78,5 → 35,5 ← 175,5  
LUDNOŚĆ W MILIONACH



Fot. AIPN

► Mapa rozbioru według układu sowiecko-niemieckiego z 28 września 1939 roku; obszar Rzeczypospolitej podzielony tzw. linią Ribbentrop–Molotow



nie Rosja i Niemcy”. Führer przekonywał, że Europa powinna być wdzięczna ZSRR i III Rzeszy za rozbiór państwa polskiego – źródła europejskich wojen i kryzysów – oraz uczynienie z tego wydarzenia fundamentu bezpieczeństwa europejskiego. Hitler domagał się od Londynu i Paryża potwierdzenia niemieckich zdobyczy na wschodzie (agresja na Polskę była, jego zdaniem, ostatnią korektą niesprawiedliwego traktatu wersalskiego) i wolnej ręki w stosunku do przyszłości ziem polskich, deklarując, że nie zamierza atakować Zachodu. Najazd na Polskę został uzasadniony bestialstwem, którego mieli się dopuścić Polacy w stosunku do volksdeutscheów, co miało wynikać z niezmiennego charakteru narodowego Polaków i ich zamiłowania do okrucieństwa i barbarzyństwa. Antypolonizm jako integralny składnik nazizmu ujawnił się w pełni. Wódz III Rzeszy pragnął przekonać opinię publiczną, że jeżeli wojna trwa dalej, to nie z jego winy. Hitler co prawda wspominał o „utworzeniu polskiego państwa, którego struktura i kierownictwo będą gwarantowały, że nie powstanie jako nowe ognisko zapalne przeciwko niemieckiej Rzeszy ani też nie zostanie uformowane jako centrala intryg przeciwko Rosji i Niemcom”, ale, jak trafnie zauważył Adam Ronikier, „państwo polskie zostało wymienione raczej dlatego, by Anglii nie drażnić, niż żeby coś Polakom obiecywać”. W literaturze anglosaskiej mowę Hitlera określa się jako *clever speech*, co można tłumaczyć jako zręczne lub błyskotliwe przemówienie. W rzeczywistości Hitler stosował politykę faktów dokonanych. Jeszcze w tym samym dniu pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy złożyli mu na biurko dwa projekty dekretów mówiących o podziale ziem polskich.

8 października Hitler wydał dekret o wcieleniu do państwa niemieckiego „ziem wschodnich” (*Ostgebiete*),

nie czekając na odpowiedź premiera brytyjskiego na swoją „ofertę pokojową” przedstawioną w Reichstagu. Dekret nie zawierał żadnego uzasadnienia inkorporacji. Najwyraźniej okupant uznał, że jest ono niepotrzebne. W przybliżeniu jedna czwarta obszaru II Rzeczypospolitej, na którym mieszkało około jednej trzeciej ludności Polski, została wcielona do Rzeszy. Obszar ten był prawie dwukrotnie większy od byłego zaboru pruskiego po 1815 roku i objął polskie ziemie, które nigdy wcześniej nie należały do Niemiec. Dziesiątki tysięcy Polaków i niemal wszystkich Żydów czekały eksterminacja i wysiedlenia.

### 1840 listów

Od 6 do 9 października na Downing Street w Londynie napłynęło 1840 listów do premiera Neville’a Chamberlaina z żądaniem, aby, jak napisano w jednym z nich, „zatrzymał wojnę w taki lub inny sposób”. Premier Wielkiej Brytanii w odpowiedzi na mowę Hitlera 12 października kolejny raz wezwał wojska III Rzeszy do opuszczenia Polski. Mimo niepodjęcia akcji militarnej nie doszło więc do „dyplomatycznej zdrady Zachodu” i wycofania się Wielkiej Brytanii i Francji z wojny. Brak zgody Londynu na zawarcie pokoju z III Rzeszą jesienią 1939 roku należy uznać za „pośmiertny” sukces polityki zagranicznej Józefa Becka. Warto o tym pamiętać i nie sprowadzać relacji Polski z Wielką Brytanią i Francją jedynie do, co prawda prawdziwego, ale mocno ograniczonego poznawczo, terminu „zdrada”. Warto także zauważyć, że Londyn już w 1939 roku był przekonany, że nawet w przypadku zwycięskiej wojny z Niemcami Polska nie zostanie wyzwolona. Eric Phipps, brytyjski ambasador w Paryżu, 25 września powiedział: „Możemy walczyć przez lata i poświęcić życie milionów Brytyjczyków i Francuzów, nawet jeśli na-

sze zwycięstwo nie wskrzesi kraju, na pomoc któremu pośpieszyliśmy, rozpoczynając tę wojnę. Rosyjski niedźwiedź dobrze się już umościł na swoim kawałku Polski i nigdy go stamtąd nie wykurzymy”.

### „Obszar zawojowany”

10 października Goebbels zanotował w swoich *Dziennikach*: „Polska jest załatwiona. O odtworzeniu dawnego państwa polskiego nikt już właściwie nie mówi. [...] Opinia Führera o Polakach jest miażdżąca. Bardziej zwierzęta niż ludzie, całkowicie otepiali i amorficzni”. Dwa dni później Hitler wydał dekret o ustanowieniu Generalnego Gubernatorstwa dla okupowanych ziem polskich. Jego status prawny i międzynarodowy nigdy nie został określony, co było niewątpliwie celową polityką niemiecką, pozwalającą na całkowitą swobodę i bezprawie w traktowaniu jego mieszkańców. Pod względem prawnym Niemcy traktowali ten obszar nie jako teren okupowany, tylko „zawojowany” (*debellatio*), który uległ „podbojowi ostatecznemu”. W lipcu 1940 roku usunięto z nazwy GG formułę „okupowane ziemie polskie”, jednoznacznie stwierdzając, że jakkolwiek forma polskiej państwowości przestała istnieć.

Idea odbudowy bliżej nieokreślonej formy polskiej państwowości będzie się pojawiać wielokrotnie nawet jeszcze w 1940 roku, ale od 12 października 1939 roku dla Hitlera ta kwestia była definitywnie rozstrzygnięta. Oba dekrety – o przyłączeniu ziem zachodnich II RP do Rzeszy i o utworzeniu GG – weszły w życie 26 października, kiedy to administracja cywilna zastąpiła zarząd wojskowy. Na zajętych terenach II Rzeczypospolitej Niemcy przystąpili do realizacji ludobójczej polityki okupacyjnej. 🇺🇸

dr Tomasz Ceran – historyk, pracownik delegatury bydgoskiej Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku

# Nieufni sojusznicy

Marcin Przegiętka

**„Polska traktatu wersalskiego już nigdy nie powstanie ponownie. Gwarantują to dwa największe mocarstwa świata” – powiedział Adolf Hitler w Reichstagu 6 października 1939 roku, mając na myśli pakt Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku i przeprowadzony wspólnie z Józefem Stalinem rozbiór Polski. Czy jednak niemiecko-sowiecka współpraca w latach 1939–1941 była tak ścisła i układała się tak dobrze, jak się powszechnie przypuszcza?**

**Z**awarcie porozumienia ze Stalinem umożliwiło Hitlerowi rozpoczęcie inwazji na Polskę 1 września 1939 roku.

III Rzesza nie tylko nie musiała się obawiać nieprzychylnych postawy Związku Sowieckiego: w nowej sytuacji również stanowcza reakcja Francji i Wielkiej Brytanii, związanych sojuszami z II Rzeczpospolitą, stała pod znakiem zapytania. 17 września do Wehrmachtu dołączyła Armia Czerwona, również napadając na Polskę. 28 września zawarto niemiecko-sowiecki traktat o granicach i przyjaźni; w tajnym załączniku ZSRR i III Rzesza podzieliły między siebie Europę Środkowo-Wschodnią. W powszechnej świadomości oba totalitarne mocarstwa łączył ścisły sojusz aż do inwazji Wehrmachtu na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 roku. W rzeczywistości konflik-

ty i nieporozumienia istniały od samego początku tego „dziwnego sojuszu”.

## Doraźny sojusz wrogów

III Rzesza i ZSRR były wrogami ideologicznymi, także w okresie, gdy łączył je pakt. Chociaż oba państwa totalitarne wykazywały wiele podobieństw, takich jak rozbudowany aparat represji (policja polityczna, system obozów), kontrola wszystkich aspektów życia społecznego i gospodarczego, system monopartyjny, wszechobecna propaganda, zbrojenia na wielką skalę i dążenie do ekspansji terytorialnej, nie znaczy to, że ich długofalowe cele nie mogły być sprzeczne. Pakt był wyrazem jedynie doraźnej wspólnoty interesów, jaką było obalenie istniejącego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej, a przede wszystkim zlikwidowanie niepodległej Polski.

Celem obu mocarstw była ekspansja. Ani Niemcy, ani Związek Sowiecki nie zamierzały na dłuższą metę poprzestać na linii rozgraniczającej „strefy interesów”, którą ustalono wspólnie w Moskwie 28 września 1939 roku. Dla narodowosocjalistycznych Niemiec największym wrogiem ideologicznym był niezmiennie Związek Sowiecki, a celem pozostawało zdobycie „przestrzeni życiowej” na wschodzie. Pakt z ZSRR nie oznaczał rezygnacji z tego planu, lecz jedynie odsunięcie go w czasie, ponieważ Hitler najpierw zamierzał rozprawić się z Polską, a następnie z państwami Europy Zachodniej. Według słów przywódcy III Rzeszy z 28 sierpnia 1939 roku, zanotowanych przez gen. Franza Haldera, szefa sztabu generalnego wojsk lądowych, porozumienie ze Stalinem było dla Hitlera „paktem z szatanem w celu

przepędzenia diabła”. Führer był przekonany, że w związku z jego zamiarem inwazji na Polskę grozi mu sojusz Wielkiej Brytanii i Francji z ZSRR. Podpisując pakt ze Stalinem, chciał rozbić to groźne dla Niemiec przymierze. Co przez porozumienie z III Rzeszą chciał osiągnąć Stalin, wiemy z notatek Georgiego Dymitrowa, sekretarza generalnego Komitetu Wykonawczego Kominternu, który zanotował wypowiedź sowieckiego przywódcy z 7 września: „Byłoby nieźle, jeśli rękami Niemiec zostałaby zachwiana pozycja bogatszych państw kapitalistycznych (w szczególności Anglii). Hitler, sam tego nie rozumiejąc i nie chcąc, podważa, podrywa system kapitalistyczny”. Rolę ZSRR Stalin widział w „popychaniu jednej strony przeciw drugiej, aby się lepiej pobili”. W wyczerpanej wojnie Europy rewolucja wybuchłaby samoistnie lub zostałaby zaniesiona na zachód na bagnach Armii Czerwonej. Likwidacja Polski była zaś z punktu widzenia ZSRR zjawiskiem pozytywnym. Stalin przekonywał, że „zniszczenie tego państwa oznaczałoby o jedno burżuazyjne, faszystowskie państwo mniej! Co byłoby złego, jeśli w rezultacie rozgromienia Polski rozszerzylibyśmy system socjalistyczny na nowe terytoria i nową ludność?”.

Zbliżenie niemiecko-sowieckie rozpoczęło się wiosną 1939 roku. Najpierw prowadzono rozmowy na temat wymiany handlowej, jednak bardzo szybko pojawiły się w nich aluzje na temat porozumienia politycznego. 19 sierpnia zawarto układ handlowy, ale prawdziwy przełom nastąpił cztery dni później. „Zapowiedź paktu o nieagresji z Moskwą jest wielką sensacją światową. Zmienił się wskutek tego cały europejski układ sił. Londyn i Paryż są wytrącone z równowagi. Warszawa stroi groźne miny, ale wszystko to wygląda tylko śmiesznie. Führer zaszachował genialnie. Teraz musi się okazać, jak zareaguje świat” – zapisał 23 sierpnia 1939 roku zachwycony posunięciem Hitlera Joseph Goebbels, minister propagandy III Rzeszy.

23 sierpnia (faktycznie już po północy, 24 sierpnia; dokument antydatowano) podpisano w Moskwie układ o nieagresji między III Rzeszą a ZSRR. Przeszedł on do historii jako pakt Ribbentrop–Mołotow (choć np. w Niemczech jest znany jako pakt Hitler–Stalin) – od nazwisk ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa i ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesława Mołotowa. Pakt przewidywał, że obie strony pozostaną ze sobą w pokojowych stosunkach, spory będą rozstrzygać „przez przyjazną wymianę poglądów” i będą się wzajemnie informować „w kwestiach dotyczących ich wspólnych interesów”. W tych oficjalnych sformułowaniach nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie dołączono do nich tajnego protokołu (ujawnionego dopiero po wojnie), którego artykuł 2 miał nastę-

pujące brzmienie: „W razie terytorialnych i politycznych zmian na obszarach należących do państwa polskiego, strefy interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie niepodległego państwa polskiego i jakie mają być granice tego państwa, może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę sprawę w drodze przyjaznego porozumienia”. Te sformułowania zawarte w dokumencie podpisanym na niewiele ponad tydzień przed wybuchem wojny nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do intencji obu stron. Postanowiono dokonać czwartego rozbioru Polski.

Fot. z publikacji Leo Leixnera  
Von Lemberg bis Bordeaux.  
Frontenerlebnisse eines Kriegsberechtigten,  
München, 1941 rok



► Oficerowie niemieccy i sowiecki podczas rozmów przed wycofaniem oddziałów Wehrmachtu z terenów, które miały przypaść Sowietom

### Braterstwo broni?

Czy jednak współpraca między III Rzeszą a ZSRR była rzeczywiście tak ścisła i spełniała warunki „przyjaznej wymiany poglądów”, jak zadeklarowano w pakcie o nieagresji? Wątpliwości są uzasadnione. Wprawdzie mamy dowody przyjaźni i współdziałania, jak na przykład ułatwienie od początku września przez sowiecką radiostację w Mińsku orientacji samolotom Luftwaffe dokonujących nalotów na polskie miasta. Ale jednocześnie Stalin zwlekał z uderzeniem na Polskę, co zaczęło niecierpliwzić Hitlera. Już 3 września minister Ribbentrop telegrafował do ambasadora w Moskwie, Friedricha-Wernera von der Schulenburga, z poleceniem, by dowiedział się, czy „Związek Radziecki nie uzna za pożądane, aby armia rosyjska wystąpiła w odpowiednim momencie przeciwko siłom polskim w rosyjskiej strefie wpływów i, ze swej strony, okupowała to terytorium. Naszym zdaniem, nie tylko to pomogłoby nam, ale również zgodnie z porozumieniami moskiewskimi, byłoby też w interesie radzieckim”. Gdy interwencja ZSRR wydawała się niepewna, Ribbentrop zwrócił się do Budapesztu z pytaniem, czy rząd węgierski nie miałby ochoty zająć części polskiego terytorium przylegającego do Ukrainy Zakarpackiej. Węgrzy, lojalni wobec Polski, odmówili. Z kolei Litwie szef dyplomacji III Rzeszy złożył propozycję okupacji Wileńszczyzny. Jak łatwo zauważyć, Ribbentrop za współdziałanie był gotów zapłacić ziemią, które zgodnie z ustaleniami przyjętymi 23 sierpnia w Moskwie znajdowały się w sowieckiej strefie interesów.

To sondowanie trwało krótko. 5 września Mołotow odpowiedział: „w odpowiednim czasie będziemy musieli rozpocząć odpowiednie działania. Uważamy jednakże, że ten czas jeszcze nie nastąpił. Być może mylimy się, ale wydaje się nam, że nadmierny pośpiech może wyrządzić nam szkodę i przyczynić się do zjednoczenia naszych wrogów”. Taktyka Stalina była przemyślana: zwlekał z inwazją, tak aby tylko III Rzesza ucho-



► Mapa podziału II Rzeczypospolitej z podpisami przywódcy ZSRR Józefa Stalina i ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa

dziła za agresora. Nie chciał, aby ZSRR znalazł się w stanie wojny z Wielką Brytanią, tak jak Niemcy.

8 września Wehrmacht ogłosił – przedwcześnie – komunikat o zajęciu Warszawy. Mołotow, przekonany o upadku polskiej stolicy, oświadczył wówczas Niemcom, że „radzieckie działania wojenne rozpoczną się w ciągu najbliższych dni”. 10 września Schulenburg usłyszał od ludowego komisarza, jakiego pretekstu ten zamierza

użyć do uzasadnienia inwazji: „Polska rozpada się na kawałki i [...] na skutek tego Związek Radziecki powinien przyjść z pomocą Ukraińcom i Białorusinom, którym zagrażają Niemcy. Pretekst ten w oczach mas przedstawia interwencję Związku Radzieckiego w szlachetnym świetle i sprawi, że Związek Radziecki nie będzie uważany za agresora”. Ta propozycja nie spodobała się niemieckiemu ambasadorowi, który stanowczo zaprotestował.

W nocy z 16 na 17 września, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej na terytorium II Rzeczypospolitej, Stalin jeszcze raz skonsultował treść sowieckiego komunikatu z Schulenburgiem; tym razem nie było już w nim mowy o „niemieckim zagrożeniu”.

Wcześniej Berlin zaczął szantażować Moskwę aluzjami o „próżni politycznej” we wschodniej części Polski (innymi słowy, możliwością wywołania ukraińskiego powstania na terenie Małopolski Wschodniej). W ten sposób nakłoniono Stalina do działania. 14 września Mołotow zapewnił, że „Armia Czerwona osiągnęła stan gotowości przędzy, niż się spodziewano”, jednak „byłoby nader ważne, aby nie rozpoczynać działań, zanim upadnie centrum administracyjne Polski – Warszawa”. Jeszcze 16 września ludowy komisarz spraw zagranicznych nie podał Niemcom dokładnego terminu wkroczenia Armii Czerwonej – wspominał tylko, że nastąpi to „zapewne jutro albo pojutrze”, ale decyzję podejmie Stalin.

17 września Armia Czerwona przekroczyła polską granicę. Moskwa poinformowała, że po „rozpadzie” państwa polskiego straciły ważność wszelkie traktaty zawarte przez RP i ZSRR, a rząd sowiecki w trosce o los narodów białoruskiego i ukraińskiego postanowił „wziąć je w opiekę”. Taką kłamiwą interpretację wydarzeń utrzymywano w ZSRR do lat osiemdziesiątych XX wieku. Co istotne, mocarstwa zachodnie nie uznały Związku Sowieckiego za agresora i nie wypowiedziały mu wojny: przesądził o tym zamiar doprowadzenia w przyszłości do poróżnienia Moskwy z Berlinem. Ponieważ w Polsce i Europie brak było jasności co do tego, przeciwko komu wystąpiła Armia Czerwona, 18 września Moskwa i Berlin wydały wspólny komunikat, ogłaszając, że sowiecka inwazja nie jest skierowana przeciwko Niemcom, a obie strony współdziałają ze sobą w celu „przywrócenia pokoju i ładu w Polsce, zniszczonych na skutek załamania się państwa polskiego, oraz dopomożenia ludności polskiej do odbudowy warunków swego

istnienia politycznego”. Dwa dni później zawarto w Moskwie niemiecko-sowiecką umowę wojskową w sprawie „unicestwienia resztek Wojska Polskiego i powrotu wojsk za linię demarkacyjną” – była ona konieczna, ponieważ w kilku miejscach, m.in. pod Lwowem, gdzie zapędziły się oddziały Wehrmachtu (choć był to obszar, który miał przypaść ZSRR), doszło do starcia obu armii i wymiany ognia. Propagandowemu zaprezentowaniu niemiecko-sowieckiego braterstwa broni służyła wspólna defilada zwycięstwa w Brześciu nad Bugiem 22 września 1939 roku, którą wspólnie odebrali gen. Heinz Guderian i kombryg Siemion Kriwoszejn.

### „Granica przyjaźni”

W Berlinie i Moskwie zaczęto jednocześnie zastanawiać się nad przyszłością ziem polskich oraz ostatecznym rozgraniczeniem „stref interesów” (linia demarkacyjna z 23 sierpnia była tymczasowa). 19 września ambasador III Rzeszy usłyszał od Mołotowa, „że rząd radziecki uważa, iż obecnie dla niego, jak i rządu Niemiec, dojrzała chwila do ostatecznego określenia struktury terytoriów polskich. W związku z tym Mołotow dał do zrozumienia, że pierwotny zamiar, jaki miał rząd radziecki i osobiście Stalin, dopuszczenia do istnienia resztek Polski, teraz ustąpił miejsca zamiarowi podziału Polski wzdłuż linii Pisa – Narzew – Wisła – San”. Sześć dni później Stalin oświadczył Schulenburgowi, że „niedorzecznością” byłoby pozostawienie „samodzielnego szczątkowego państwa polskiego”. Przywódca ZSRR zaproponował III Rzeszy przesunięcie linii demarkacyjnej z Wisły na Bug (a więc na korzyść Niemiec) w zamian za zrzeczenie się przez Berlin Litwy, która zgodnie z postanowieniami z 23 sierpnia miała należeć do niemieckiej „strefy interesów”. W ten sposób ZSRR uzyskiwał pełną kontrolę nad wszystkimi państwami bałtyckimi, ale na ziemiach polskich zajmował tylko tereny położone na wschód od tzw. linii Curzona (wyjątkiem były

ziemia łomżyńska i Białostoczczyzna), ziemie Polski Centralnej z Warszawą przypadły zaś Niemcom. Uważa się, że Stalin zaproponował zmianę przebiegu linii demarkacyjnej, aby nie wykluczyć w przyszłości możliwości porozumienia z Wielką Brytanią, a jednocześnie pozostawić Niemcom problem w postaci konieczności podejmowania decyzji co do losów Polski i Polaków.

Rozmowy w sprawie ostatecznego przebiegu granicy prowadzono ponownie w Moskwie, gdzie Niemcy reprezentował Ribbentrop. Obie strony zgodziły się, że „samodzielne państwo polskie”, oczywiście w szczątkowej postaci, „będzie nieustannie źródłem niepokoju”, i zapanowała zgoda co do rezygnacji z tego projektu. W preambule do traktatu o granicach i przyjaźni podpisanego 28 września (w dniu kapitulacji Warszawy) zapisano, że po „upadku” Polski wyłącznym zadaniem obu sygnatariuszy będzie „odbudowanie pokoju i ładu” oraz zapewnienie „pokojowego życia” narodom zamieszkującym te terytoria. Drugi tajny protokół dodatkowy zawierał wspólną deklarację, że „obydwie strony nie będą pozwalały na swoich terytoriach na żadną agitację polską dotyczącą terytorium drugiej strony”. Nie jest jasne, z czyjej inicjatywy podpisano ten protokół. Niektórzy badacze sugerują, że inicjatorem był Stalin, który w większym stopniu obawiał się polskiej „agitacji”. Co ciekawe, przywódca ZSRR z własnej woli „zrzekł się” Lubelszczyzny, nie chciał jednak słyszeć o włączeniu Małopolski Wschodniej do strefy niemieckiej. III Rzeszy zależało na tych ziemiach z uwagi na złoża ropy naftowej w rejonie Borysławia i Drohobycza oraz zamiar utrzymania kontroli nad linią kolejową przebiegającą przez ten obszar, stanowiącą połączenie z Rumunią, skąd dostarczano ropę do III Rzeszy. Stalin pozostał jednak nieugięty i odmówił odstąpienia tego obszaru.

Rozesłany 30 września 1939 roku poufny okólnik niemieckiego Urzędu Spraw Zagranicznych na temat „ofi- ➤

„cjalnej wykładni” traktatu o granicach i przyjaźni z ZSRS zawierał interpretację postanowień, różniącą się od ustaleń z Moskwy: „Terytorialny podział stref interesów obu państw pozostawia w całości narodowo-polski obszar w niemieckiej strefie interesów [...]. Dzięki tej regulacji zostaną usunięte raz na zawsze ewentualne przyszłe nieporozumienia w sprawie Polski między Niemcami a Związkiem Sowieckim”. Był to dokument przeznaczony na użytek wewnętrzny, przeczący oficjalnym ustaleniom o wspólnym decydowaniu o losie Polski i Polaków przez Berlin i Moskwę, jednak odpowiadający intencjom Stalina, by na Berlin spadła cała odpowiedzialność za likwidację Polski.

Hitler zapowiedział 6 października 1939 roku w Reichstagu, że celem Niemiec będzie „utworzenie państwa polskiego, którego struktura i kierownictwo dadzą gwarancję, że nie będzie ono wojennym ogniskiem zwróconym przeciw Niemcom ani ogniskiem intryg skiero-

wanych przeciw Niemcom i Rosji. Państwa europejskie powinny być wdzięczne Rosji i Niemcom za to, że gotowe są zmienić to ognisko niebezpieczeństwa w strefę pokojowego rozwoju”. Jednak już kilka dni później przywódca III Rzeszy wycofał się z tego pomysłu. Na mocy decyzji Hitlera z 8 i 12 października 1939 roku zachodnie ziemie polskie wcielono do Rzeszy, a z reszty utworzono Generalne Gubernatorstwo.

Nie ulega wątpliwości, że po wrześniu 1939 roku miała miejsce niemiecko-sowiecka współpraca gospodarcza i zbrojeniowa. Dla III Rzeszy nieocenione – z uwagi na blokadę brytyjską – były sowieckie surowce i żywność. Niemieckie okręty podwodne korzystały z tajnej sowieckiej bazy morskiej „Nord”, położonej w pobliżu Murmańska. Z kolei port w Murmańsku udzielił jesienią 1939 roku schronienia wielu niemieckim statkom handlowym. Sowieckie lodołamacze przeprowadziły drogą północną niemiecki krążownik

„Komet”, który dzięki temu zaczął operować na Pacyfiku. Natomiast dla ZSRR cenne było zaznajomienie się z niemiecką techniką wojskową, chociaż III Rzesza ostrożnie pokazywała sojusznikowi najnowsze uzbrojenie. Zgodnie z zaleceniem Hitlera, prezentowane miało być wyłącznie to, które znajdowało się już na wyposażeniu wojska. Nie zamierzano natomiast pokazywać sprzętu, który znajdował się w fazie prób lub był tajny. III Rzesza dostarczyła ZSRR – nieukończony jeszcze – ciężki krążownik „Lützow”, kilkanaście samolotów, jeden czołg, artylerię i urządzenia celownicze. Trudno dziś ocenić, w jakim stopniu przyczyniło się to do unowocześnienia Armii Czerwonej. Z pewnością jednak przyswojenie i wdrożenie do produkcji nowych rozwiązań nie nastąpiło od razu. Pod tym względem w lepszej sytuacji znajdowała się III Rzesza: dostarczane przez ZSRR surowce i żywność można było wykorzystać natychmiast.

Granica niemiecko-sowiecka nie była „granica przyjaźni”. W końcu września i na początku października 1939 roku, przed wycofaniem armii za linię demarkacyjną ustaloną 28 września, obie strony rabowały okupowane ziemie polskie, wywożąc, co się da. Oba „zaprzyjaźnione” państwa powierzyły doborowym służbom – wojskom pogranicznym NKWD oraz gestapo i SD (Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS) – zabezpieczenie granicy przed przenikaniem dywersantów, szpiegów i wrogiej propagandy. Dobrym stosunkom przeczą również liczne zajścia na granicy. Od września do grudnia 1939 roku Niemcy próbowali w wielu miejscach przepędzić tysiące Żydów na stronę sowiecką. ZSRR nie chciał ich przyjąć; część koczowała na granicy, została odesłana z powrotem do niemieckiej strefy lub zastrzelona. Jednocześnie często powtarzały się przypadki naruszania granicy przez NKWD oraz ostrzeliwania posterunków i patroli niemieckich. Mimo podpisania w 1940 roku konwencji w sprawie wyjaśniania incydentów granicznych, było ich coraz więcej.



► Ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesław Mołotow podpisuje na Kremlu traktat o granicach i przyjaźni z Niemcami, Moskwa, 28 września 1939 roku; na drugim planie m.in. Joachim von Ribbentrop i Józef Stalin

## Represje i wymiana ludności

Od pierwszych dni wojny aparat terroru obu mocarstw totalitarnych popełniał zbrodnie, za pomocą których zamierzano zdławić wszelki – rzeczywisty i wymagowany – opór. Do dziś jednak nie wiadomo, czy NKWD i gestapo podjęły ze sobą współpracę w zwalczaniu polskiej konspiracji i represjach przeciwko obywatelom II Rzeczypospolitej. Wydaje się, że przeczy temu atmosfera „dziwnego sojuszu”, który był – z czego w Moskwie i w Berlinie zdawano sobie sprawę – jedynie tymczasowym przymierzem. Jest mało realne, aby w wypadku sprawy tak istotnej z punktu widzenia obu totalitarnych państw, jak aparat bezpieczeństwa, zamierzano konsultować się z przedstawicielami tymczasowego sojusznika, który nie przestawał być wrogiem ideologicznym. Wydaje się więc bardzo prawdopodobne, że decyzje o konkretnych akcjach represyjnych podejmowano niezależnie od siebie. Wniosek o ścisłym współdziałaniu NKWD i gestapo historycy wyciągali z narad przedstawicieli władz niemieckich i sowieckich. Odbywały się one na ziemiach polskich, m.in. w Krakowie i Zakopanem w grudniu 1939 roku oraz marcu 1940 roku. Tadeusz Komorowski, w początkowym okresie okupacji komendant krakowsko-śląskiego obszaru Związku Walki Zbrojnej, pisał po wojnie, że w trakcie drugiej z tych narad NKWD i gestapo uzgodniły „wspólne działania przeciwko polskiemu ruchowi podziemnemu”, o czym informowano go w raportach. Informacji tej nie udało się potwierdzić i dokumentów na ten temat nie odnaleziono. Niepotwierdzona do dziś pozostaje sensacyjna informacja o spotkaniu Heinricha Himmlera, Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji, oraz Ławrientija Berii, szefa NKWD, dotyczącym współpracy w zwalczaniu polskiego podziemia. Do tego spotkania miało dojść w lutym 1940 roku w Puszczy Rominckiej w Prusach Wschodnich.

Konferencje krakowsko-zakopiańskie dotyczyły akcji wymiany ludności

przez Niemcy i ZSRR na okupowanych ziemiach polskich. Od grudnia 1939 do lutego 1940 roku przesiedlono z dawnych polskich Kresów Wschodnich do III Rzeszy ok. 130 tys. osób narodowości niemieckiej. W drugą stronę – z Generalnego Gubernatorstwa do ZSRR – wyjechało kilkanaście tysięcy Ukraińców i Białorusinów. Atmosfera pracy wspólnych niemiecko-sowieckich komisji przesiedleńczych nie miała nic wspólnego z deklarowaną oficjalnie przyjaźnią. Obie strony utrudniały sobie nawzajem wykonywanie obowiązków, darzyły się dużą nieufnością i wykorzystywały pobyt na terytorium „zaprzyżnionego mocarstwa” do realizacji zadań wywiadowczych. Wiosną 1940 roku przeprowadzono wymianę kilkudziesięciu tysięcy uchodźców, obywateli II Rzeczypospolitej, którzy od września 1939 roku, po ucieczce przed frontem, znajdowali się na Kresach Wschodnich. Dokonano również wymiany jeńców wojennych – żołnierzy Wojska Polskiego, przekazując ich według miejsca urodzenia bądź narodowości.

Oprócz akcji wymiany ludności dotyczących dziesiątek czy setek tysięcy ludzi zdarzały się szczególne przypadki interwencji dyplomatycznych na wysokim szczeblu w sprawie pojedynczych osób. Przykładem były sowieckie starania o zgodę na wyjazd rodziny Wandy Wasilewskiej, późniejszej członkini Rady Najwyższej ZSRR, przebywającej we Lwowie, z Warszawy do Związku Sowieckiego. Umożliwienie wyjazdu zawdzięczano zabiegom Władimira Potiomkina, zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS. Podobnych interwencji było więcej i również Niemcy zwracały się do rządu sowieckiego z analogicznymi prośbami.

## W stronę wojny

Podstawowe uzgodnienia w sprawie ziem polskich zapadły między ZSRR a Niemcami w sierpniu i wrześniu 1939 roku. Później dyplomaci obu państw nie rozmawiali już o sprawie polskiej. Wyjątek stanowi rozmowa Ribbentropa i Mołotowa w Berlinie

13 listopada 1940 roku, gdy między Moskwą a Berlinem było coraz więcej nieporozumień na tle podziału stref interesów. Spotkanie to przyniosło rozczarowanie obu stronom i potwierdziło ich odmienne dążenia. Mołotow – zgodnie z instrukcją Stalina – zadał pytanie, „co Niemcy zamierzają poczynić z Polską. [...] W sprawie przyszłego kształtu Polski istnieje protokół zawarty między Związkiem Sowieckim a Niemcami, na temat którego potrzebna byłaby wymiana zdań. Spytał, czy w niemieckiej opinii protokół ten jest wciąż w mocy”. Ribbentrop nie udzielił odpowiedzi na to pytanie. To, że jesienią 1940 roku, zaledwie rok po pokonaniu Polski, Mołotow zwrócił uwagę na potrzebę konsultacji w sprawie polskiej, wskazuje, że oba totalitarne państwa od dłuższego czasu nie porozumiewały się w tej sprawie. Tymczasem już w październiku 1940 roku strona sowiecka zaczęła tworzyć kadry armii polskiej, zbierając oficerów polskich z ppłk. Zygmuntem Berlingiem w willi NKWD w Małachówce. Nie ulega wątpliwości, że oddziały złożone z Polaków miały zostać wykorzystane w wojnie z Niemcami.

W drugiej połowie 1940 roku coraz trudniej było utrzymać pozory dobrych stosunków między Berlinem a Moskwą. Po zwycięstwie nad Francją stało się jasne, że III Rzesza zwróci się prędzej czy później przeciwko „sojusznikowi” na wschodzie. Z kolei sowieckie pretensje wobec Rumunii (ZSRR zażądał od tego państwa nie tylko Besarabii, lecz także Bukowiny, która nie należała do sowieckiej strefy interesów) i ogólnie Bałkanów oraz basenu Morza Czarnego dowodziły, że apetyty Moskwy są coraz większe. Wydaje się, że w połowie 1940 roku zarówno Hitler, jak i Stalin byli już przekonani, że starcie jest nieuniknione, i przygotowywali się do wojny. 18 grudnia 1940 roku Hitler polecił przygotować inwazję na ZSRR. 22 czerwca 1941 roku Wehrmacht przekroczył „granice przyjaźni”. ■

dr Marcin Przegiętka – historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN, autor m.in. książki *Komunikacja i polityka* (2015)

# Przekroczeni przez granicę

Katarzyna Sokół, Jarosław Wasilewski

Utrata Kresów Wschodnich była dla Polaków jednym z najdotkliwszych skutków II wojny światowej.

Nowa granica ustanowiona w 1944 roku podzieliła kraj, rozdzielając jednocześnie wielowiekowe lokalne społeczności, niszcząc powiązania rodzinne, gospodarcze, kulturalne.

W 1948 roku skromną część skutków podjętej wcześniej decyzji udało się cofnąć.

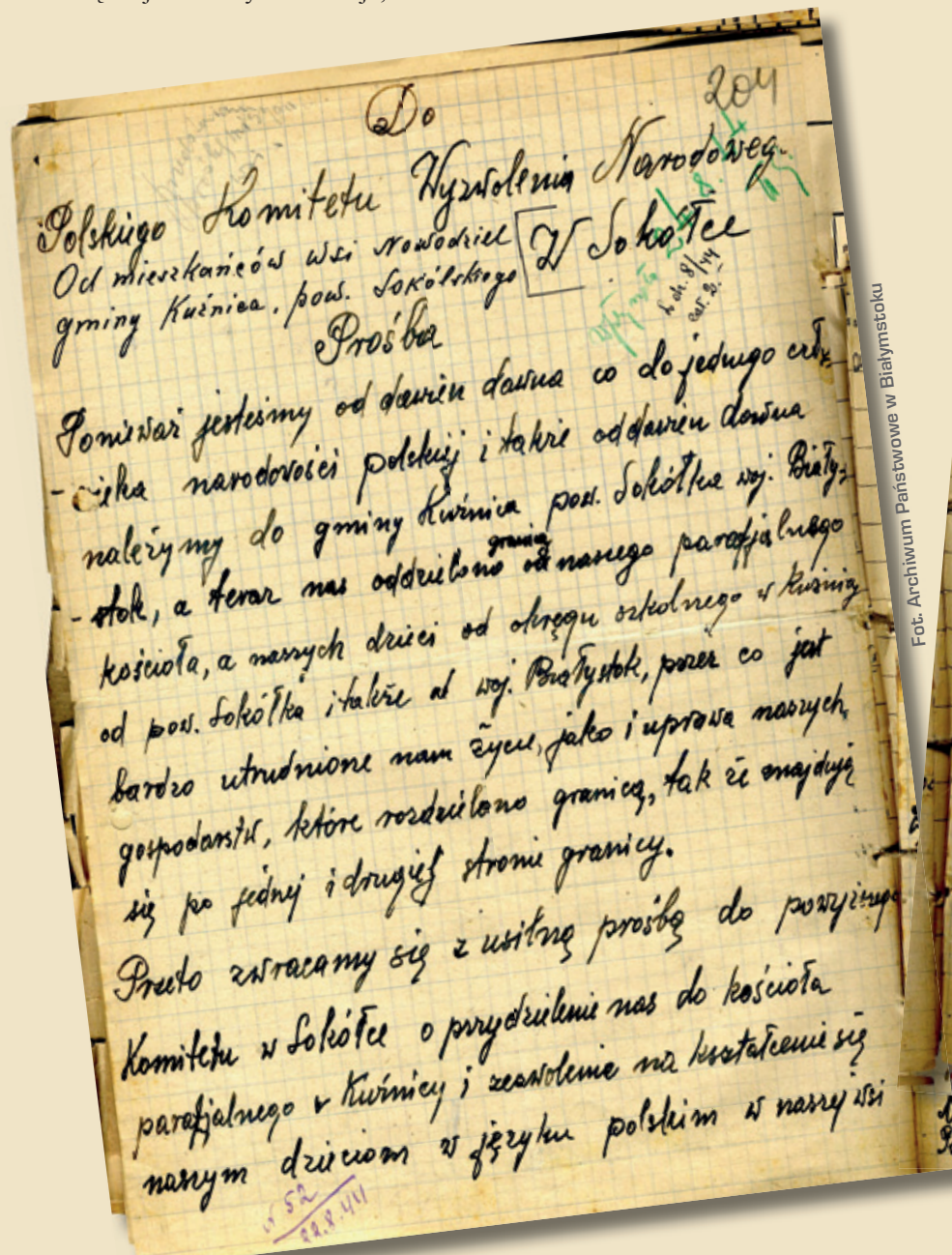
**N**owa granica, tworzona w zaciszu gabinetów, nie mogła precyzyjnie odzwierciedlać rzeczywistej sytuacji w terenie, dlatego w trakcie jej ostatecznego wytyczania niektóre miejscowości zmieniły swoją przynależność państwową. Tak stało się m.in. w powiecie sokólskim (obecnie województwo podlaskie), gdzie w maju 1948 roku nieznacznie zmieniono przebieg ustanowionej w 1944 roku tymczasowej granicy. Pozwoliło to na powrót kilkunastu wsi do Polski. Do dziś świadkowie tych wydarzeń mówią o tym jak o cudzie, niebывалым zrządzeniu losu, który pozwolił im na powrót do ojczyzny bez wychodzenia z domu.

## Curzon na nowo

Kwestia powojennych granic Polski była jedną z najważniejszych spraw prowadzonych przez władze RP w czasie II wojny światowej. Przebieg negocjacji dotyczących treści traktatu polsko-sowieckiego, określanego powszechnie jako układ Sikorski-Majski i zawartego ostatecznie 30 lipca 1941 roku w Londynie, unaoczniał stronie polskiej, że przywrócenie przedwojennej wschodniej granicy Polski nie będzie łatwe. Mimo śmiertelnego zagrożenia, w którym znalazł się po niemieckiej agresji Związek Sowiecki, Józef Stalin konsekwentnie unikał udzielenia gwarancji powrotu do Polski ziem okupowanych przez ZSRR od września 1939 roku. Sytuacja na froncie nie pozwalała mu jesz-

cze w tym czasie na otwarte manifestowanie swoich oczekiwań w tym zakresie, jednak w miarę uzyskiwania przez Armię Czerwoną przewagi w walce z Niemcami do Polaków coraz częściej docierały informacje, że

Sowieci Kresów nie oddadzą. Wielka trójka, uwzględniając żądania Stalina, uzgodniła jesienią 1943 roku w trakcie konferencji w Teheranie, że nowa wschodnia granica Polski





będzie biegła wzdłuż tzw. linii Curzona. Był to projekt tymczasowej granicy polsko-sowieckiej, przedstawiony Moskwie przez brytyjską dyplomację w lipcu 1920 roku, a więc podczas wojny polsko-bolszewickiej 1919–1921. Wtedy władze sowieckie nie zgodziły się na tę propozycję, licząc na szybkie zwycięstwo. Nie przeszkodziło to jednak Stalinowi w jej przypomnieniu w trakcie dyskusji nad kształtem nowego porządku w Europie po zakończeniu II wojny światowej. Rząd RP na wychodźstwie

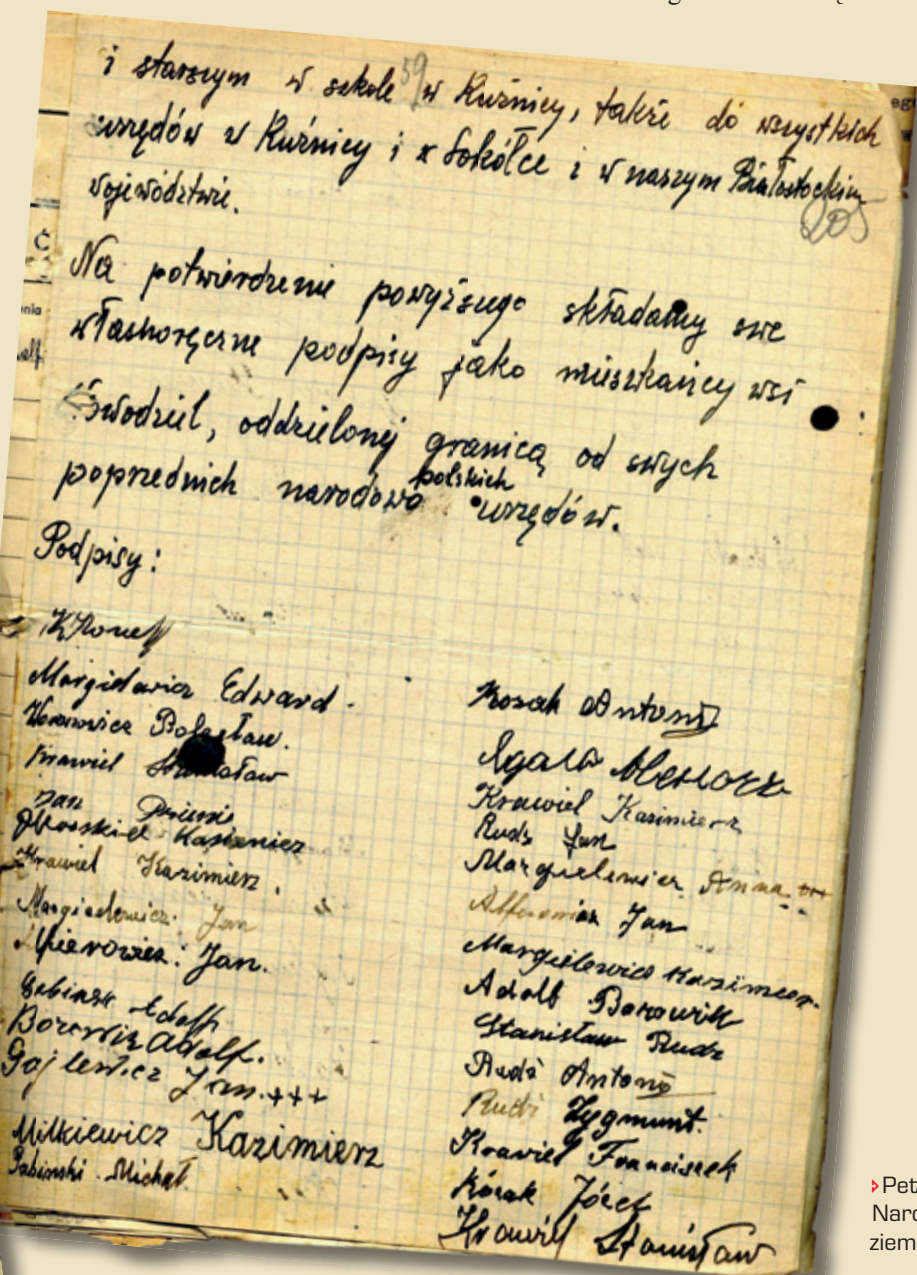
w Londynie, który nie został zaproszony do udziału w rozmowach na temat przyszłego losu Polski, liczył na wsparcie zachodnich sojuszników. Ci jednak bez większych oporów zaakceptowali żądania Sowietów, nie formując przy tym Polaków o swoich ustaleniach aż do zakończenia konferencji w Jaltie w lutym 1945 roku.

Gdy więc z 3 na 4 stycznia 1944 roku żołnierze Armii Czerwonej przekraczali przedwojenną granicę Rzeczypospolitej, mogli być przekonani, że znajdują się jeszcze na terytorium Związku Sowieckiego. I tak też się zachowy-

wali, instalując tam natychmiast własną administrację bez oglądania się na oczekiwania lokalnej społeczności i suwerenność „wyzwalanego” kraju. Rzeczywiste intencje Sowietów stały się już zupełnie oczywiste po pierwszych represjach, które spadły na żołnierzy Armii Krajowej i cywilnych reprezentantów Polskiego Państwa Podziemnego, ujawniających się w ramach akcji „Burza”.

Marionetkowy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, utworzony przez władze sowieckie w Moskwie 21 lipca 1944 roku, nie reprezentował polskiej racji stanu. Mimo braku legitymacji zawarł 27 lipca 1944 roku umowę graniczną z ZSRR zgodnie z życzeniem Moskwy. Jedynym ustępstwem Stalina w stosunku do pierwotnego projektu nowej granicy była zgoda na włączenie do Polski części Puszczy Białowieskiej. Ponieważ w tym czasie legalnym reprezentantem państwa polskiego był rząd na wychodźstwie, który kategorycznie odmawiał jakichkolwiek ustępstw w zakresie zmiany granicy wschodniej, Sowietci doprowadzili do powtórnego zawarcia umowy granicznej 16 sierpnia 1945 roku, gdy uznanie międzynarodowe uzyskał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, posłusznie realizujący postanowienia tzw. wielkiej trójki i oczekiwania wschodniego sąsiada.

Zgodnie z umową granica miała przebiegać od źródła rzeki San i dalej z jej biegiem do punktu „położonego na południe od miejscowości Solina, dalej na wschód od Przemyśla, na zachód od Rawy Ruskiej do rzeki Sołokija, stąd wzdłuż rzeki Sołokija i rzeki zachodni Bug na Niemirów-Jałowkę, pozostawiając po stronie polskiej część obszaru Puszczy Białowieskiej, i stąd do zbiegu granic Rzeczypospolitej Pol-



► Petycja do Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego o przywrócenie do Polski części ziem przyznanych Związkowi Sowieckiemu

skiej, Litewskiej SRR i Prus Wschodnich, pozostawiając Grodno po stronie ZSRR”.

Szczegółowa delimitacja miała zostać przeprowadzona przez Mieszana Komisję Polsko-Radziecką z siedzibą w Warszawie, która – zgodnie ze wspomnianą umową – miała zebrać się nie później niż piętnaście dni po wymianie dokumentów ratyfikacyjnych.

### Chaos pierwszych dni

Na Podlasiu władze sowieckie rozpoczęły wytyczanie w terenie nowej

granicy, nie czekając na prace komisji. Pierwsze znaki graniczne zostały ustalone już w lipcu 1944 roku, w momencie gdy region został opanowany przez Armię Czerwoną.

Jak wspominają dziś świadkowie tych wydarzeń, pojawienie się żołnierzy wyznaczających przebieg nowej granicy było dla nich zupełnym zaskoczeniem. Nikt ich o tym nie uprzedził, nikt również nie wyjaśnił, jak trwały będzie dokonujący się właśnie podział ich miejscowości. Brak rzetelnych informacji i ciągle żywa pamięć o sowiec-

kiej okupacji z lat 1939–1941 były źródłem utrzymującego się stanu zagrożenia i niepewności.

Granice uzgodnioną w umowie między PKWN a ZSRR początkowo wyznaczono prowizorycznie, za pomocą tzw. wiech (wbitych w ziemię drewnianych słupków z przywiązaną u góry słomą) oraz wyoraną bruzdą lub wykopanym rowem. Jej wytyczenie w terenie przebiegało często bez większego namysłu. Przykładem może być przypadek jednego ze świadków zdarzenia, któremu słupek graniczny postawiono przed drzwiami domu, co oznaczało, że granica miała przebiegać przez jego środek.

Panujący chaos ułatwiał mieszkańcom sabotowanie nowej granicy, np. przez zasypywanie rowu granicznego, przekupywanie żołnierzy sowieckich ustawiających prowizoryczne słupy graniczne czy też samowolne przesuwanie znaków granicznych w bardziej dogodnym miejscu.

Z czasem zaczęły pojawić się bardziej trwałe umocnienia i zasieki, jednak do rozpoczęcia ofensywy styczniowej w 1945 roku region podlaski był tak nasycony sowieckimi jednostkami frontowymi, że Sowieci nie widzieli potrzeby angażowania większych sił do strzeżenia granicy. Po przemieszczeniu się Armii Czerwonej na zachód granicy pilnowały coraz liczniejsze wojska NKWD.

Odległość między posterunkami wynosiła od 300 do 400 m w dzień, nocą wzdłuż całej granicy przechodziły patrole. System rakiet i innych urządzeń sygnalizacyjnych informował o próbach przekraczania linii granicznej i uruchamiał alarm oraz – w niektórych przypadkach – pościg za osobami usiłującymi przedostać się na drugą stronę.

Przez cały rok 1945 ochroną granicy zajmowali się wyłącznie żołnierze sowieccy. Dopiero na przełomie grudnia 1945 roku i stycznia 1946 roku na placówki przy granicy zostały skierowane pierwsze polskie oddziały Wojsk Ochrony Pogranicza. Jednocześnie



Fot. Archiwum Państwowe w Białymstoku

► Mapa z nową delimitacją Białostocczyzny

zaczęto odpowiednio oznaczać strefę graniczną i wprowadzać różnego rodzaju utrudnienia związane z przebywaniem na terenie przygranicznym.

Sowieccy strażnicy dostawali dwa tygodnie urlopu za złapanie osoby nielegalnie przekraczającej granicę. Nierzadko zdarzały się więc przypadki chwywania niewinnych ludzi po polskiej stronie i przedstawiania ich jako osób zatrzymanych podczas przekraczania granicy.

### Życie po drugiej stronie

W codziennym, zwykłym życiu ludzie bardzo szybko odczuli smak sowieckich rządów i inwigilacji. We wspomnieniach mieszkańców wsi przydzielonych do ZSRR przewija się temat strachu i głodu. Ustanowiono godzinę milicyjną. Prowadzono szczegółowe rewizje w domach i stodołach, patrole żołnierzy chodziły nie tylko wzdłuż granicy, ale i po wioskach, wysyłano szpiegów i prowokatorów udających partyzantów wileńskich, którzy rzekomo szukają schronienia, oskarżano mężczyzn o organizowanie partyzantki, zmuszano miejscową ludność do pełnienia nocnych wart razem z sowieckimi żołnierzami. Nie utworzono żadnej polskiej szkoły, narzucono obowiązkowe kontyngenty i podatki. W meldunkach sytuacyjnych komendanta Obwodu Sokółka–Białystok WiN, por. Hieronima Piotrowskiego „Jura”, z listopada i grudnia 1945 roku czytamy: „Za linią Curzona nadal szaleje terror. Przymusowe normy pracy i wielkie kontyngenty oraz podatki pieniężne zmuszają Polaków do rzucania gospodarstw i do ucieczki. Aresztowania i wywózki oraz sądy za niewykonanie norm na porządku dziennym”.

Trudności potęgowało to, że nowa linia graniczna podzieliła wiele gospodarstw, pozostawiając pola uprawne, łąki i pastwiska po drugiej stronie i tym samym odbierając wielu ludziom źródło utrzymania. Jedynie przez kilka pierwszych tygodni po przeprowadzeniu linii granicznej pozwalano miej-

scowym na zebranie swoich sprzętów i plonów zza granicy. Jednak już 23 września 1944 roku poinformowano mieszkańców wiosek o bezwzględnym zakazie przekraczania wyznaczonej granicy, argumentując, że „wy już ruskie”.

Nowa granica nie przerwała więzi międzyludzkich. Mimo dotkliwych represji mieszkańcy wsi przydzielonych do ZSRR utrzymywali kontakt z Polską, próbowali przechodzić na drugą stronę. Granica była dużym zaskoczeniem także dla ludzi powracających z frontu lub z robót przymusowych. Będąc po stronie polskiej, próbowali przedostać się do swoich domów. Czasem to się udawało, jednak wielu zginęło. Wśród mieszkańców wsi oddzielonych wówczas linią graniczną od Polski żywa jest pamięć o krewnych, znajomych, sąsiadach, którzy ponieśli śmierć podczas przekraczania granicy. Wielu też w trakcie takich prób zostało aresztowanych i nigdy nie powróciło do domów. Do dzisiaj nie jest znana liczba osób zatrzymanych lub zabitych przez żołnierzy Wojsk Pogranicznych NKWD w ciągu niespełna czterech lat funkcjonowania owej granicy.

### Starania o przesunięcie granicy

Mimo zastraszania i grożącego niebezpieczeństwa mieszkańcy podlaskich wsi przyłączonych do ZSRR nie tracili nadziei na powrót do ojczyzny, pielęgnowali swoją tożsamość: organizowali manifestacje patriotyczno-religijne, wywieszali polskie flagi, w prywatnych domach zbierali się na modlitwę, pisali petycje o ponowne przyłączenie ich wsi do Polski.

Potwierdzają to raporty sytuacyjne Okręgu Białostockiego AK: „[Ludność] odnosi się do Sowietów z otwartą nienawiścią, pogardą i wstrętem, [...] na każdym kroku manifestuje swoją przynależność do Polski. W wielu wioskach nie tylko polskich, ale i białoruskich bez przerwy każdej nocy wywieszane są biało-czerwone chorałgie. Przez te wioski przejeżdżają

każdego dnia rano patrole sow[ieckie], grożąc tym, którzy podkreślają swoją przynależność do Polski” [...]. Liczne delegacje i prośby wpływające do władz w Bstoku [Białymstoku] proszą o »przyłączenie« do Polski”. Na przykład już 21 sierpnia 1944 roku mieszkańcy Nowodzieli napisali podanie o ponowne włączenie ich miejscowości do państwa polskiego. Trzech z nich dostarczyło pismo do Białegostoku. Szczęśliwie udało im się powrócić. Z podobnymi petycjami wystąpili mieszkańcy Nomików, Klimówki, Szymaków, Tołcz i innych miejscowości. Petycje zostały przekazane do PKWN w Lublinie. W odpowiedzi sekretarz generalny Prezydium PKWN, Jan Wende, powiadał, że ostateczne granice wschodnie Rzeczypospolitej Polskiej zostaną wytyczone przez specjalną komisję, a wszelkie przesłane materiały (podania oraz odpowiednio umotywowane informacje) będą służyły PKWN jako materiał pomocniczy.

Na mocy wspomnianej już umowy powołano Mieszaną Komisję Delimitacyjną Polsko-Radziecką z siedzibą w Warszawie, której zadaniem była praca nad ostatecznym ustaleniem przebiegu linii granicznej. Do przeprowadzania poprawek zorganizowano sześć podkomisji polskich i sowieckich. Wschodnią granicę Polski na terenie podległym wojewodzie białostockiemu wyznaczały V Podkomisja z siedzibą w Niemirowie i VI Podkomisja z siedzibą w Kuźnicy. Obie rozpoczęły pracę 5 czerwca 1946 roku. Jednocześnie do Ministerstwa Administracji Publicznej napływały z terenu województwa białostockiego wnioski o korektę granicy państwowej ze względów komunikacyjnych, gospodarczych i narodowościowych.

W kwietniu 1947 roku został ustalony ostateczny protokół przebiegu granicy państwowej między Polską a ZSRR. Zgodnie z dokumentami podpisanymi przez Mieszaną Komisję Delimitacyjną granica państwowa na terenie powiatu sokólskiego została ▶

przesunięta na korzyść Polski, na niektórych odcinkach od 100 m do 3 km. Dzięki tej decyzji w granice państwa polskiego powróciły m.in. Rogacze (kolonia), Chworościany, Nowodziel, Tołcze, Szymaki, Klimówka, Palestyna, Nomiki, Minkowce, Usnarz Górny, Grzybowski, Jurowlany, Łapicze, Ozierany Małe i Wielkie, Łosiny i Rudaki.

### Radość z powrotu

„Przywrócone Polsce” wsie faktycznie wróciły do ojczyzny dopiero 16 maja 1948 roku. Świadkowie wspominają: „Wybuchła wielka, nieopisana radość, ludzie natychmiast ruszyli w stronę Polski. Deptano ziemię w miejscach, gdzie stały graniczne słupy, tańczono, śpiewano”. „Jaka to była wspaniała radość, aż nie można było uwierzyć”. „Trudno opisać naszą radość po otrzymaniu wiadomości, że wracamy do Polski”. „Radość była wielka. Wywiesiliśmy polskie flagi”. Mieszkańcy Nowodzieli wyruszyli z procesją do oddalonego o pięć kilometrów kościoła parafialnego w Kuźnicy, niedostępnego dla nich od czterech lat. Z Kuźnicy również ruszyła grupa parafian pod przewodnictwem proboszcza, ks. Jana Malinowskiego. Spotkanie dwóch procesji odbyło się w miejscu przebiegu granicy z 1944 roku. Następnie wszyscy ruszyli do kościoła w Kuźnicy na nabożeństwo dziękczynne. Proboszcz powiedział do kuźnickich parafian: „Dajcie miejsce dla ludzi z Nowodzieli, oni są już u nas, wolni wchodzą do naszego kościoła”. Świadek wydarzeń wspomina: „W procesji odprawialiśmy godzinki. Przechodząc starą granicę, akurat śpiewaliśmy: »Z pokłonem, Panno Święta...«”.

Spontaniczna radość ludności powracającej w granice Polski spotkała się z niechęcią przedstawicieli organów bezpieczeństwa. Już 25 maja 1948 roku szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeń-

stwa Publicznego w Sokółce pisał w ściśle tajnym sprawozdaniu do szefa Wojewódzkiego UB w Białymstoku: „W związku z korekturą granic państwowych na odcinku naszego powiatu wytwarza się niezdrowa atmosfera anty-państwowej [tak w oryginale] propagandy w strefie pogranicza. Ludność przebywająca dotychczas po stronie Zw. Radzieckiego bardzo wrogo ustosunkowana do Zw. Radz., a zarazem obecnie do Polski Demokratycznej. W dniu 16 maja 1948 r. we wsi nowo przybyłej Nowodziel gm. Kuźnica został przybity afisz z dykty o rozmiarach 30×70 cm, a u góry w środku był wyrysowany czarny krzyż, a nad nim napis »Polska w żałobie«, po obydwu stronach krzyża umieszczone godła państwowe – orzełki z koronami – u dołu napis »Jeszcze Polska nie zginęła i kto będzie znieważał krzyż i godło nasze, niech będzie przeklęty«”. W związku z powyższym szef PUBP w Sokółce, po uzgodnieniu z sekretarzem PPR i starostą sokólskim, planował nawet – przy pomocy władz wojewódzkich – wysiedlenie miejscowych mieszkańców i obsadzenie wolnych gospodarstw „partyjniakami i zdrowo myślącym dobrze ustosunkowanym do Demokracji Ludowej chłopstwem”. Zamierzeń tych nie wprowadzono w życie.

Skorygowana w 1948 roku wschodnia granica Polski spełniała marzenia wielu ludzi o powrocie do ojczyzny. Jednak wytyczenie jej z pominięciem elementarnych zasad gospodarczych oraz brak uwzględnienia przez terenowe podkomisje delimitacyjne potrzeb ekonomicznych miejscowej ludności spowodowały, że przychodzące w granice Polski wsie większość gruntów pozostawiły po stronie Białoruskiej SRR. Wsiedlenia z pasa granicznego doprowadziły do zrujnowania i likwidacji wielu gospodarstw. Neutralny pas graniczny, miejsce dawnych pastwisk, pól i łąk, zaczął zarastać lasami.

### Upamiętnienie

Także w późniejszym czasie „przywrócenie Polsce” było traktowane w tych wioskach jako doniosłe wydarzenie. Jednak prawdę o tym, co działo się w latach 1944–1948, można było w pełni publicznie głosić dopiero po przemianach roku 1989. Wcześniej niedopuszczalna była jakakolwiek krytyka Sowietów i polskich władz komunistycznych. W maju 1998 roku, z inicjatywy kuźnickiego proboszcza, ks. Konstantego Andrzejewicza, odbyły się w Nowodzieli uroczystości związane z pięćdziesięcioleciem powrotu do Polski. Podobną imprezę zorganizowano w Klimówce. W maju 2008 roku w Kuźnicy obchodzono sześćdziesięciolecie delimitacji. W przygranicznym lesie został poświęcony pomnik na grobie dziewczyny zastrzelonej przez sowieckich pograniczników w 1947 roku. W ostatnich latach pojawia się coraz więcej form upamiętnienia wydarzeń z lat 1944–1948. Jedną z nich jest „Szlak Pamięci Narodowej – Granica 1944–1948”, utworzony z inicjatywy Krzysztofa Pawłowskiego, dyrektora szkoły w Kuźnicy (nagrodzonego w 2010 roku przez Oddział IPN w Białymstoku Nagrodą Honorową „Świadek Historii” za pielęgnowanie pamięci historycznej i przekazywanie jej kolejnym pokoleniom), przy współudziale lokalnej społeczności. Szlak poprowadzono w miejscu przebiegu linii granicznej z 1944 roku. Jego zasadniczym elementem są dwie tablice pamiątkowe w kościołach i trzynaście głazów, na których znajdują się krzyże i tablice informujące o tutejszych wydarzeniach. Pamięć o wydarzeniach granicznych z lat 1944–1948 przetrwała i stała się ważnym elementem lokalnej świadomości historycznej. ■

Katarzyna Sokół – pracownik Oddziałowego Biura Lustracyjnego IPN w Białymstoku

Jarosław Wasilewski – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Białymstoku

Chłostowski Julian  
(Krawie) Devonika  
Gajlewicz Kazimiera

w. Nowodziel

21 sierpnia 1944 r.



► Drużyna piłkarska klubu Marymont podczas rozgrywek o mistrzostwo Warszawy w 1943 roku

# Okupacyjny futbol

Artur Pasko

**Polska była jedynym krajem okupowanym w Europie, w którym za uprawianie sportu i organizowanie widowisk sportowych groziła kara śmierci. Mimo tego polscy piłkarze rozgrywali w konspiracji nawet mistrzostwa – w poszukiwaniu namiastki normalności, ale też w akcie sprzeciwu wobec Niemców.**

**N**a kontrolowanym przez Niemców terytorium II Rzeczypospolitej zostały zlikwidowane wszystkie kluby polskie i żydowskie, tworzono zaś stowarzyszenia sportowe zrzeszające Niemców. Nieco inna była sytuacja na Górnym Śląsku. Ślązacy, postrzegani przez Niemców jako spolszczony odłam narodu niemieckiego, mogli uczestniczyć w rozgrywkach pucharowych i mistrzowskich III Rzeszy. Reprezentowali więc niemieckie kluby, w które przekształcano polskie towarzystwa sportowe. Należy podkreślić, że było to zgodne z instrukcjami rządu RP na uchodźstwie i zaleceniami premiera, gen. Władysława Sikorskiego. Jednak po zakończeniu II wojny światowej komunistyczne władze Polski Ludowej krytycznie oceniały m.in. piłkarzy śląskich, a ich udział w oficjalnym życiu sportowym niesłusznie traktowano jako kolaborację z okupantem.

## Siedlczanie kontra Wehrmacht

3 września 1939 roku na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie miał zostać rozegrany mecz piłki nożnej między Polską a Bułgarią. Z oczywistych powodów do spotkania nie doszło. Kolejny oficjalny mecz Polacy rozegrali dopiero po zakończeniu II wojny światowej. I chociaż w zniewolonym kraju aktywność sportowa uległa wyraźnemu ograniczeniu, to jednak nie ustała. Organizowane przez Polaków konspiracyjne mecze piłki nożnej były z jednej strony przejawem oporu wobec okupanta, z drugiej – stanowiły namiastkę normalności, której wszyscy potrzebowali.

Wiele meczów organizowano spontanicznie i rozgrywano na podrzędnych boiskach, bo klubowe, które powstały przed wojną, były dla Polaków niedostępne. O większości takich spotkań piłkarskich wiemy z przekazów ustnych i spisanych wspomnień. Okazuje się, że w czasie okupacji odbywały



się zadziwiające wydarzenia sportowe. Na przykład późną jesienią 1939 roku Polacy zorganizowali w Siedlcach spotkanie piłki nożnej, które można określić jako półoficjalne. Przeciwnikiem reprezentacji tego miasta była drużyna... Wehrmachtu. Prawdopodobnie oficerowie niemieccy nie wie- ►

dzieli jeszcze o zakazie narzuconym Polakom i przystali na propozycję. Mecze się odbyły i chociaż nie znamy dokładnego wyniku, to wiemy, że zakończył się zwycięstwem reprezentacji Siedlec. Ponoć Polacy grający w tym meczu w obawie przed aresztowaniami nie nocowali we własnych domach.

W okresie okupacji w Siedlcach funkcjonowały przynajmniej cztery zespoły piłki nożnej. Trzeba zauważyć, że przed wybuchem wojny miasto liczyło ok. 40 tys. mieszkańców i chociaż na początku lat trzydziestych lokalna drużyna, WKS 22 pp Siedlce, występowała w najwyższej klasie rozgrywek, Lidze Polskiej, to przecież Siedlce nie były potentatem piłkarskim.

### Bójka pod okiem SS

Cóż zatem w okresie okupacji działo się w takich miastach jak Warszawa, Poznań czy Kraków? Otóż już w 1940 roku w tych ośrodkach regularnie organizowano turnieje piłkarskie. 5 maja 1940 roku na stadionie krakowskiej Juwenii spotkały się zespoły Wisły i Cracovii. Kilka miesięcy później, w sierpniu, rozpoczęły się systematyczne rozgrywki, w których uczestniczyło osiem drużyn. W latach 1940 i 1941 mistrzami Krakowa zostali piłkarze Wisły. W 1943 roku zwyciężyli zawodnicy Cracovii, a w kolejnym – piłkarze mało znanego dzisiaj klubu Nadwiślan Kraków (w 1942 roku była przerwa w rozgrywkach, o czym poniżej). Mimo okupacyjnych warunków i konspiracyjnego charakteru tych rozgrywek mecze cieszyły się dużym zainteresowaniem kibiców. Okazało się także, że w czasie wojny wzajemna niechęć kibiców Cracovii i Wisły wcale nie wygasła. Kiedy bowiem w 1943



roku w trakcie meczu rozgrywanego na boisku Garbarni sędzia podjął dyskusyjną decyzję, doszło do bijatyki między zwolennikami obu drużyn. Bili się nie tylko w okolicach boiska, lecz także przed siedzibą miejscowego SS. Na szczęście komendantem był Austriak Hans Mitschke, były piłkarz Vienna FC. Kiedy się dowiedział, że uczestnikami zamieszania są kibice, nie zareagował.

W Warszawie, jak pisał badacz historii stołecznego futbolu Robert Gawkowski, miniturnieje piłki nożnej w 1940 roku organizował na Polu Mokotowskim były piłkarz Legii i Polonii Józef Ciszewski. W zawodach uczestniczyła młodzież z pobliskich dzielnic, podzielona na drużyny o nazwach: Błysk, Szczerbiec, Żagiew, Varsovia, Berberys, Continental, Placówka. W kolejnych latach mecze rozgrywano w podwarszawskich miejscowościach: Piasecznie, Jelonkach, Włochach, Karczewie, Konstancinie i innych. W grudniu 1941 roku, w święta Bożego Narodzenia, powstał nawet konspiracyjny Warszawski Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Prezesem WOZPN został przedwojenny piłkarz Legii Warszawa, Alfred Nowakowski. Najważniejszym zadaniem związku było

zorganizowanie mistrzostw Warszawy w piłce nożnej. Zawody te odbywały się w latach 1942–1944. Dwa kolejne tytuły mistrzów Warszawy zdobyli piłkarze Polonii. W 1944 roku mistrzostwa nie zostały dokończono, ponieważ wybuchło Powstanie Warszawskie. Jak słusznie zauważył wspomniany Gawkowski, największym sukcesem był masowy wręcz charakter zawodów. W mistrzostwach uczestniczyło bowiem prawie pięćdziesiąt drużyn.

Mistrzostwem, tyle że organizacyjnym, było umiejętne sfinalizowanie meczu między reprezentacją lewobrzeżną i prawobrzeżną Warszawy w 1942 roku. Na ulicy pojawiły się nawet ręcznie malowane plakaty reklamujące to wydarzenie. Zawody obejrzało ponoć ok. 5 tys. kibiców, a spotkanie zakończyło się remisem 1:1. Z kolei w 1943 roku w Piasecznie został zorganizowany mecz reprezentacji Warszawy i Krakowa, także zakończony remisem 1:1.

Zwykle spotkania piłkarskie oglądało około tysiąca widzów. Zdarzało się, że wśród kibiców byli także niemieccy żołnierze w mundurach. Były jednak przypadki, że widowiska kończyły się tragicznie. Na przykład jeden z meczów o mistrzostwo konspiracyjnego WOZPN rozgrywano w Konstancinie, na boisku położonym niedaleko willi zajętej przez gubernatora Ludwiga Fischera. Usłyszał on odgłosy z boiska, obejrzał fragment zawodów, a następnie wezwał esesmanów, którzy otworzyli ogień do piłkarzy i kibiców. Zginęły wówczas dwie osoby.

### Aresztowany sędzia

W 1940 roku rozgrywki piłkarskie zainicjowano także we wcielonym do III Rzeszy Poznaniu. Z inicjatywą rozgrywania meczów wyszli młodzi



piłkarze poznańskich klubów – Legii i Warty. W sierpniu 1940 roku odbył się pierwszy turniej piłkarski, w którym uczestniczyły cztery drużyny: Chwaliszewo, Strzelecka, Wilda i Woźna. Poznańscy zawodnicy tworzyli zespoły zwykle wywodzące się z jednej dzielnicy. W warunkach konspiracyjnych, w przypadku wykrycia tej inicjatywy przez Niemców, można było tłumaczyć, że było to działanie spontaniczne, mające przypadkowy charakter. Jednakże w tych osiedlowych drużynach dominowali zawodnicy przedwojennych zespołów. Na przykład w Chwaliszewie występowali piłkarze Klubu Sportowego Cybina Poznań, w zespole Strzelecka grali piłkarze poznańskiej Legii, a drużynie Wildy – zawodnicy Warty. Rozgrywany systemem pucharowym turniej w 1940 roku wygrała drużyna Chwaliszewa. W kolejnych miesiącach zawiązywały się nowe poznańskie zespoły. W sierpniu 1940 roku powstało też swoiste tajne kierownictwo rozgrywek piłkarskich, które de facto było Okręgowym Związkiem Piłki Nożnej. W jego skład wchodziła działacze poznańskich nowo utworzonych zespołów.

Pozytywne doświadczenia turnieju w 1940 roku sprawiły, że zdecydowano o rozegraniu w 1941 roku mistrzostw Poznania. Początkowo do turnieju zgłosiło się dziewięć drużyn. Ostatecznie jednak pozostało osiem zespołów, które podzielono na dwie grupy eliminacyjne. Do finałów miały awansować dwa zespoły. Eliminacje rozgrywano od 29 czerwca do 27 lipca 1941 roku, finały zaś – od 3 sierpnia do 7 września. Jednakże w ostatnim dniu zawodów, 7 września, mecz rozgrywany na boisku na Górczynie między zespołami Dębca i Strzeleckiej został przerwany przez miejscowego komendanta posterunku policji. Zawody obserwo-



▶ Nawet w konspiracji mecze rozgrywano z udziałem publiczności

wało ok. 5 tys. osób, w większości mężczyzn. Być może w obawie przed spowodowaniem zamieszek komendant nakazał sędziemu spotkania tylko przerwanie meczu. Obeszło się więc bez konsekwencji personalnych. Poza tym następnego dnia boisko, na którym rozgrywano mecz, zostało zaorane. 14 września 1941 roku podczas tajnego zebrania Okręgowego Związku Piłki Nożnej zdecydowano o przerwaniu turnieju. Nie przyznano tytułu mistrza Poznania, jednak za pieniądze zebrane od widzów zakupiono nagrody i przyznano je poszczególnym piłkarzom.

Warto podkreślić, że podczas mistrzostw w 1941 roku jeden z piłkarzy wciągnął na niewielki maszt flagę polską, a zebrani odśpiewali szepem polski hymn narodowy. Kolejny turniej został rozegrany w 1943 roku. Zgłosiło się wówczas dwanaście drużyn. Niestety, także tym razem zawody nie zostały dokończone. Przerwał je żołnierz SS, który od sędziego zażądał okazania pozwolenia na rozgrywanie meczu. W rezultacie sędziujący na tym meczu Adam Draber i kilkunastu piłkarzy zostało aresztowanych. Mimo brutalnych przesłuchań wszyscy twierdzi-

li, że było to przypadkowe spotkanie rozgrywane po pracy. Nie wydano też pozostałych uczestników rozgrywek. Po kilkunastu dniach wszyscy zatrzymani zostali uwolnieni. Jednak na kolejne rozgrywki trzeba było czekać do zakończenia okupacji niemieckiej.

Polacy grali w piłkę nożną także w innym mieście wcielonym do III Rzeszy – w Łodzi. Jedno z takich spotkań, rozgrywane w październiku 1943 roku, zakończyło się interwencją Niemców, którzy aresztowali zawodników drużyny Wicher, wywodzących się głównie z ŁKS Łódź, oraz ich rywali – piłkarzy z Wólki. Ponadto konspiracyjne mecze piłki nożnej rozgrywano m.in. w Lublinie, gdzie rywalizowali piłkarze WKS Unii Lublin i Lublinianki, w Rzeszowie, gdzie dominowali zawodnicy Resovii, a także w Tarnowie, Kaliszu, Radomiu i Mielcu. Mecze, inaczej niż w okresie pokoju, miały wymiar bardziej polityczny niż sportowy. Stanowiły swoisty przejaw oporu wobec okupanta, patriotyzmu i niezłomności. 🇵🇱

dr hab. Artur Pasko – historyk sportu, pracownik naukowy Instytutu Historii i Nauk Politycznych Uniwersytetu w Białymstoku





# Stalinowski gołąbek pokoju

Krzysztof Łagojda

Po zakończeniu II wojny światowej Europa była świadkiem narodzin nowego konfliktu, tym razem zimnowojennego – między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Propaganda stanowiła jeden z głównych elementów tej konfrontacji. Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, zorganizowany we Wrocławiu w sierpniu 1948 roku, stał się bardzo szybko ważną częścią politycznej rozgrywki w ręku Sowietów.

**N**arastające antagonizmy między Zachodem a Wschodem – pierwszym poważnym był kryzys berliński w czerwcu 1948 roku – stworzyły przekonanie, że świat stoi u progu III wojny światowej. We Francji na początku 1947 roku grono intelektualistów z Frédérikiem Joliotem-Curie na czele wystosowało apel do społeczności uczonych z całego świata w sprawie zapewnienia globalnego pokoju. Wtórowała im i solidaryzowała się z nimi polska inteligencja. Na gruncie tych wydarzeń politycznych zrodził się Światowy Ruch Obrońców Pokoju, zyskujący coraz więcej sympatyków. Partie komunistyczne zaczęły szybko wykorzystywać hasła obrony pokoju i wspólnej walki z „podżegaczami wojennymi”, tworząc w ten sposób złudne wrażenie, że są stroną szczerze wal-

czącą o pokój na świecie. W 1947 roku w Szklarskiej Porębie, podczas narady partii komunistycznych z dziewięciu państw, opracowano strategię i taktykę działań wobec zmieniającej się sytuacji międzynarodowej. Przyjęto uchwałę o utworzeniu Kominformu, czyli Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych. Wtedy także zapadła decyzja o wydawaniu przez Kominform czasopisma „O Trwały Pokój i Demokrację Ludową”. Wysiłki na rzecz pokoju weszły w kanon deklarowanych działań partii komunistycznych.

## Światowej sławy goście

Przyjmuje się, że pomysłodawcą spotkania intelektualistów z całego świata był działacz komunistyczny, publicysta i propagandysta Jerzy Borejsza. Jak jednak stwierdziła historyk Krystyna

Kersten, „wydaje się mało prawdopodobne, by pomysł wyszedł od Borejszy, a jeśli nawet, to w ramach sowieckiego zamysłu przygotowania ruchu obrońców pokoju. Z archiwów Kominformu wiadomo, że to na jego trzecim posiedzeniu, w styczniu 1949 roku, zadekretowano, że walka o pokój jest nowym priorytetem międzynarodówki komunistycznej, ale przecież wcześniej też na pewno prowadzono jakieś tajne działania w tej sprawie. Kominform był tylko wykonawcą, decyzje musiały zapaść w wydziale międzynarodowym KC KPZR”. Zwróceniem uwagi międzynarodowej opinii publicznej na kwestie obrony pokoju był zainteresowany przywódca Związku Sowieckiego Józef Stalin. Obawiał się, że zaostrzająca się sytuacja międzynarodowa i rywalizacja między Stanami



Zjednoczonymi a blokiem wschodnim doprowadzą do wybuchu wojny, w której to Związek Sowiecki będzie stroną słabszą – bo niedysponującą potencjałem atomowym. Oczywiście wszystkie plany i posunięcia były konsultowane ze ścisłym kierownictwem Polskiej Partii Robotniczej, czyli Bolesławem Bierutem i Jakubem Bermanem, którzy przychylnie ustosunkowali się do organizacji wydarzenia. Początkowo sceptycznie usposobione kierownictwo Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) także zaakceptowało plan imprezy, widząc w niej sposobność do propagandowego zwycięstwa nad USA. Formalnie jednak propozycję zorganizowania kongresu wysunęli polscy i francuscy intelektualiści. Podkreślono w ten sposób związki kulturowe między dwoma państwami oraz tragiczne doświadczenie okupacji przez III Rzeszę.

Ze względu na znajomości w kręgu światowej sławy intelektualistów, Borejsza wydawał się człowiekiem na

odpowiednim stanowisku, by zająć się koordynacją przygotowań do imprezy. Jeszcze przed wojną jako student iberystyki na paryskiej Sorbonie nawiązał wiele kontaktów z uczonymi we Francji i Hiszpanii. Przyjaźnił się z chilijskim poetą, późniejszym laureatem Nagrody Nobla, Pablem Nerudą, i znanym brazylijskim pisarzem, szczególnie poczytnym w Związku Sowieckim, Jorge Amadem. Utrzymywał także serdeczne stosunki z francuskim noblistą w dziedzinie chemii, wspomnianym Joliotem-Curie, i jego żoną, także laureatką Nagrody Nobla, Irène Joliot-Curie, córką Marii Skłodowskiej-Curie.

Niewątpliwie skład uczestników Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju mógł budzić podziw. Przybyło bowiem aż 45 delegacji z różnych państw. Wśród ponad czterystu osób, które przyjechały do Wrocławia, oprócz wyżej wspomnianych warto wymienić m.in. hiszpańskiego malarza Pabla Picassa, angielskiego biologa, dyrektora generalnego UNE-

SCO Juliana Huxleya, włoskiego poetę Salvatore Quasimodo czy angielskiego pisarza Grahama Greena. Kongres wywołał ogromne zainteresowanie w środowisku naukowym i był komentowany na całym świecie. Borejsza starał się sprowadzić do Wrocławia gościa specjalnego, światowej sławy niemieckiego fizyka żydowskiego pochodzenia, laureata Nagrody Nobla, Alberta Einsteina. Fizyk pozytywnie się wypowiedział o przedsięwzięciu i wspierał je bardzo wyraźnie. Z powodu pogarszającego się stanu zdrowia odmówił przyjazdu, wystosował jednak orędzie do uczestników kongresu, w którym stwierdził m.in.: „Bardzo wysoko cenię sobie uprzejmość wyrażoną przez zwrócenie mojej uwagi na Wasz projekt zwołania w Polsce międzynarodowego kongresu uczonych [...]. Nowa wojna oznaczałaby bezprzykładne zniszczenie w rozmiarach dotychczas niespotykanych. Żywię [...] nadzieję, że kompetentne władze wszystkich krajów poprą Wasze wysiłki”.



Fot. PAP/CAF

► Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju zorganizowano w auli Politechniki Wrocławskiej; zdjęcie z pierwszego dnia obrad, 25 sierpnia 1948 roku

Einstein nie był jednym, który listownie poparł kongres. Orędzie przygotował także Henry Wallace, w latach 1941–1945 wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Zwrócenie się do tak wysoko postawionego amerykańskiego polityka nie było przypadkowe. Wallace miał wyraźnie lewicowe poglądy: w 1948 roku współzakładał lewicową Partię Postępową, a cztery lata wcześniej odbył podróż po Chinach i Związku Sowieckim. Będąc na Syberii, odwiedził kilka kolchozów i był pod wrażeniem ich rzekomej wydajności. Po powrocie do USA publicznie wychwalał ustrój komunistyczny panujący w Związku Sowieckim. Krótco przed podróżą do tych dwóch krajów, 9 kwietnia 1944 roku, na łamach „The New York Times” opublikował artykuł *The Dangers of American Fascism* (Zagrożenia ze strony amerykańskiego faszyzmu), w którym potępił narastającą falę antysowieckiej propagandy w swoim kraju. W orędziu przygotowanym na wrocławski kongres stwierdził m.in.: „Tak długo jak faszyzm i imperializm mają wpływy na świecie, pokój nie może być zapewniony”. Po wojnie, w dobie rozwijającego się zimnowojennego konfliktu i przewartościowania polityki amerykańskiej względem Związku Sowieckiego, tego typu hasła i poglądy nie przyniosły Wallace’owi poparcia.

Większość zaproszonych gości łączył istotny wspólny mianownik: pozytywne nastawienie do marksizmu. Na kongresie nie zabrakło także polskich uczonych. Polska delegacja składała się z 52 osób, wśród których znalazły się takie osobistości, jak: pisarki Zofia Nałkowska i Maria Dąbrowska, poeta Julian Tuwim, pisarz i eseista Jarosław Iwaszkiewicz, filozof prof. Tadeusz Kotarbiński, botanik, pierwszy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego i Politechniki Wrocławskiej prof. Stanisław Kulczyński, socjolog prof. Stanisław Ossowski i prof. Józef Chałasiński, bakteriolog, twórca polskiej szkoły immunologicznej, światowej sławy lekarz prof. Ludwik

Hirszfeld, biolog i twórca pierwszej na świecie skutecznej szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu prof. Rudolf Weigl czy założyciel lwowskiej szkoły matematycznej, wybitny matematyk prof. Hugo Steinhaus. Nie mogło zabraknąć także delegacji ze Związku Sowieckiego, w skład której weszli m.in. pisarze Michaił Szołochow, Aleksandr Fadiejew, Ilja Erenburg, Aleksandr Korniejczuk, reżyser Wsiewołod Pudowkin czy wykładowcy Akademii Nauk Związku Sowieckiego – m.in: Wiaczesław Wołgin, Aleksandr Niesmiejanow, Ivan Bardin, Aleksandr Paładin, Piotr Fiedosiejew. Wszyscy – co oczywiste – byli działaczami komunistycznymi, członkami partii, a niekiedy nawet Komitetu Centralnego. Na przykład Fadiejew, od 1918 roku należący do partii bolszewików, w latach trzydziestych pomagał szefowi NKWD Ławrientjowi Berii w typowaniu nazwisk pisarzy i literatów przeznaczonych do aresztowania z powodu poglądów politycznych. Był oddanym zwolennikiem represyjnej polityki stalinowskiej i oczywiście samego dyktatora, Józefa Stalina, z którym utrzymywał bliski kontakt.

Biuro Kongresu w wydawanym okolicznościowo „Biuletynie Prasowym” przedstawiło skład delegacji sowieckiej, często przy nazwiskach używając gloryfikujących określeń, takich jak: „światowej sławy”, „znakomity”, „wybitny”, co w wielu przypadkach było zdecydowanym nadużyciem.

### Skandal w czasie obrad

Obrady Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju rozpoczęły się 25 sierpnia 1948 roku w auli Politechniki Wrocławskiej. Kongresowi przewodniczyli Aleksandr Fadiejew, Renato Gattuso, Julian Huxley, Irène Joliot-Curie i Martin Andersen Nexø. Deklarowaną intencją organizatorów było zgromadzenie uczonych z całego globu i zainicjowanie dyskusji przeciwko tworzącemu się podziałowi świata na dwa bloki polityczne. W rzeczy-

wistości jednak był to zwykły zabieg propagandowy, mający ukazać kraje bloku wschodniego jako państwa miłujące pokój. Wydaje się wprawdzie, że szczytna idea pokoju przyświecała części uczonych zgromadzonych we Wrocławiu. Jednak z listu Borejszy do Bermmana z 6 sierpnia 1948 roku jasno wynika, czym kierowali się polscy komuniści, organizując spotkanie: „Jeżeli nie każą nam odwrócić wszystko dzień przed Kongresem i jeżeli z ZSRR przyjedzie delegacja pierwszej klasy, to Kongres ten może stać się dużym wydarzeniem, umiejętnie zaś rozegrany na rynku wewnętrznym, mógłby stać się świetnym intermezzo między jedną symfonią furioso a drugą symfonią furioso, jaką w najbliższym czasie będziemy odgrywać”. Dobór słów nie pozostawia wątpliwości, kto sterował całym przedsięwzięciem. Nic nie mogło się odbyć bez wyraźnej zgody Moskwy.

W imieniu polskich władz przybyłych gości przywitał minister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski. Przekonywał, że nikt nie chce wojny i tylko osoby odizolowane od społeczeństwa myślą, że jest ona instrumentem polityki. Ogromne znaczenie miało także miejsce spotkania. Podkreślali to oczywiście komuniści z Borejszą i Modzelewskim na czele, ale także i inni przemawiający. Zwracano uwagę na to, że Polska jako kraj najbardziej obok Związku Sowieckiego dotknięty wojną jest idealnym miejscem do rozpoczęcia obrad obrońców pokoju. Komuniści podkreślali przy tym ważną rolę Wrocławia jako nieformalnej stolicy tzw. Ziem Odzyskanych. W gazetach, m.in. „Wrocławskim Kurierze Ilustrowanym”, pojawiły się hasła: „Odra – rzeka pokoju”. Przewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju Jarosław Iwaszkiewicz stwierdził podczas otwarcia kongresu, że przynależność Wrocławia do Polski jest gwarantem utrzymania pokoju w Europie. W czasie kongresu i bezpośrednio po jego zakończeniu, od 21 lipca do 31 października, we Wrocławiu była prezentowana Wystawa Ziem Odzy-

skanych – jedna z największych imprez propagandowych w powojennej Polsce. Pokazano dotychczasowe wyniki odbudowy tych terenów i działalności Ministerstwa Ziem Odzyskanych, kierowanego jeszcze przez Władysława Gomułkę.

Pierwszy dzień kongresu przebiegł bez zakłóceń. Problemy pojawiły się drugiego dnia, gdy głos zabrał Fadiejew. W referacie zarzucił Zachodowi bezideowość, a władcom monopoli amerykańskich – chęć panowania nad światem. Nie obyło się także bez personalnych ataków. Słynnych francuskich pisarzy André Malraux i Jeana-Paula Sartre’a Rosjanin nazwał hienami i szakalami na usługach zachodnich rządów. Oburzenie, jakie zapanowało na sali, niemal doprowadziło do zerwania obrad. Idea intelektualnej dysputy legła w gruzach. Prasa brytyjska opublikowała notę protestacyjną pisarzy anglosaskich, którą sporządził Richard Hughes. Również Irène Joliot-Curie długo się zastanawiała, czy nie dać wyrazu swojemu niezadowoleniu z postawy sowieckiej delegacji i wyjechać. Po rozmowie telefonicznej z mężem, który tego dnia przebywał we Francji, zdecydowała się pozostać do końca. Także polska delegacja przyjęła wystąpienie Fadiejewa dość chłodno. Maria Dąbrowska w *Dziennikach* napisała, że treść referatu rosyjskiego pisarza „nie zawierała nic poza wyświechtanymi sloganami każdej codziennej gazety reżymu – ton i forma były poniżej poziomu nie tylko intelektualistów, ale poniżej poziomu przyzwoitości. Ordynarna antyamerykańska i antyeuropejska agitka pomawiająca cały świat poza Rosją o chęć zdławienia policyjnym systemem wszelkiego życia i zamienienie człowieka w dzikie zwierzę”.

Borejsza starał się uratować kongres. Chociaż nie sprowadził do Wrocławia nikogo z trójki najwyższego kierownictwa KC PPR, aby pozornie nie nadawać obradom wydźwięku politycznego, w momencie kryzysu zwrócił się do Bermana, prosząc o pomoc. Ten zadzwonił do Moskwy i odbył

piętnastominutową rozmowę z ministrem spraw zagranicznych Wiaczesławem Mołotowem, w której prosił o interwencję i przekazanie sowieckiej delegacji wskazówek dalszego postępowania. Zabiegi na niewiele się zdały. Drugiego dnia kongresu Wrocław opuściło prawie pięćdziesięciu delegatów, w tym Huxley, który akurat przewodniczył obradom. Polska prasa nawet słowem nie wspomniała o incydencie. Wszystkie gazety głośniły wielki sukces kongresu. Sytuację załagodził nieco referat Erenburga. Rosyjski poeta powiedział, że nie można dzieł kultury za zachodnią i wschodnią, ponieważ istnieje tylko jedna, ogólnoswiatowa kultura, oczywiście z dużym wkładem sowieckim. Na koniec przemówienia zwrócił się do uczonych m.in. ze Stanów Zjednoczonych, Francji i Wielkiej Brytanii, mówiąc, że

„czerwoni” nie chcą wojny i kochają „Amerykę wielkich pisarzy i myślicieli”. Mimo że wszystkie polskie gazety określiły referat Erenburga jako wybitny i zakończony oklaskami na stojąco, napięta atmosfera kongresu utrzymała się już do końca.

Kongres zakończył się uroczystym wiecem w Hali Ludowej, gdzie odbyło się także głosowanie nad rezolucją. W wydarzeniu wzięło udział ok. 30 tys. mieszkańców Wrocławia. Spośród 357 uczestników kongresu, którzy pozostali w mieście, za przyjęciem rezolucji głosowało 337. Wynik nie był jednomyślny, bo uchwała budziła wątpliwości. Rezolucja zawierała wyraźne polityczne odniesienia. Jedno ze zdań głosiło, że kongres potępia przygotowania do wojny prowadzone przez „żądnych zysku ludzi w Ameryce i Europie, którzy przyjęli w dzie- ➤



➤ Gościem specjalnym kongresu był hiszpański malarz Pablo Picasso (w środku na pierwszym planie); na zdjęciu widoczni również m.in. publicysta Leopold Tyrmand (w pierwszym rzędzie z lewej), francuski poeta Paul Éluard (z prawej z papierosem) oraz rysownik Zbigniew Lengren (z tyłu trzeci od prawej)



Fot. PAP/CAF

► Jerzy Borejsza przemawia w ostatnim dniu kongresu; za stołem prezydyjnym Irène Joliot-Curie; Wrocław, 28 sierpnia 1948 roku

dziectwie po faszyzmie ideę wyższości rasowej”.

Lewicowa prasa zagraniczna, m.in. we Francji i Włoszech, mimo to wychwalała kongres, akcentując skuteczność w walce z „podżegaczami wojennymi” oraz przekaz idący w świat. Zupełnie inny ton pojawił się w mediach w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Huxley w audycji BBC określił kongres jako „zebranie, na którym nie było żadnej poważnej dyskusji i żadnych narad nad sprawą pokoju, lecz tylko wygłaszanie manifestów o czystej frazeologii”. Mimo że taki pogląd skrytykowali nie tylko uczeni z krajów zależnych od Moskwy, lecz także z państw zachodnich, trudno się z nim nie zgodzić. Obłuda i sztuczna kurtuazja stanowiły wyraźne tło tego wydarzenia. Dąbrowska w *Dziennikach* trafnie oceniła główny cel spotkania we Wrocławiu: „Nie ulega wątpliwości, że Kongres nie był skierowany przeciwko wojnie w ogóle, ale przeciwko ewentualnemu

wybuchowi wojny amerykańsko-rosyjskiej teraz, w tej chwili, kiedy wojna jest dla Rosji niedogodna. Kongres ten jest tylko dowodem, że Rosja nie ma jeszcze bomby atomowej (choć nie wątpię, że ją przygotowuje) i dlatego dąży do zmobilizowania wszystkich sił, by rozkładać gotowość wojenną we wszystkich krajach prócz własnego”. Paradoksalnie, ostre i bezczelne wystąpienie Fadijewa zdecydowanie wierniej odzwierciedlało rzeczywistość tamtych dni. Świat był wtenczas podzielony, a głos uczonych, nawet szczerzy, nie miał mocy wpływu na stosunki międzynarodowe. Za fasadą górnolotnych frazesów kryła się zimnowojenna, kłamliwa totalitarna propaganda, nastawiona na manipulację i przekonanie społeczeństw Europy o idei pokoju w krajach bloku komunistycznego.

### Co dalej?

Powojenne wydarzenia, które wpiły się w cykl działań „pokojo-

wych”, nie miały nic wspólnego z autentycznymi staraniami o pokój. Od 1948 roku machina propagandowa w krajach bloku wschodniego, całkowicie zależnych od Moskwy, działała pełną parą. Idea wroga w doktrynie państw totalitarnych zakorzeniła się na stałe. Kraje Zachodu ze Stanami Zjednoczonymi na czele były określane jako „krwiożercze bestie” żądne wojny, użycia bomby atomowej i kolejnego rozlewu krwi. W 1949 roku, podczas rady Kominformu w Budapeszcie, stwierdzono, że „należy jeszcze bardziej uporczywie pracować nad organizacyjnym umocnieniem i rozszerzeniem ruchu obrońców pokoju. Należy włączyć do niego szerokie masy społeczne i przekształcić go w ruch ogólnonarodowy [...]”. Walka o ugruntowany i długotrwały pokój, o zorganizowanie i zespolenie sił pokoju przeciwko siłom wojny winna stać się centralnym punktem całokształtu działalności partii komunistycznych i organizacji demokratycznych”. 16 listopada 1950 roku w Warszawie odbył się II Światowy Kongres Obrońców Pokoju. Powołano wtedy do życia Światową Radę Pokoju, która nagłośniła tzw. apel sztokholmski, wzywający mieszkańców krajów „demokracji ludowej” do składania podpisów pod zakazem użycia broni atomowej. Akcję zbierania podpisów zainicjował wiosną 1950 roku Stały Komitet Światowego Kongresu Obrońców Pokoju z siedzibą w Paryżu. W Polsce od 16 kwietnia do 17 czerwca zebrano, według danych przedstawionych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, 17 545 590 podpisów, a na całym świecie, głównie w bloku komunistycznym – ok. 500 mln. Apel sztokholmski stał się symbolem największej akcji propagandowej w powojennej historii świata, który wchodził właśnie w apogeum konfliktu zimnowojennego. ■

# „Robotnik” dla robotników

Jan Olszsek

Jednym z większych sukcesów środowiska KOR było stworzenie „Robotnika” – najbardziej popularnego pisma drugiego obiegu lat siedemdziesiątych.

**K**omitet Obrony Robotników powstał w reakcji na brutalne represje wobec uczestników Czerwca '76. Inicjatorami jego powołania byli ludzie ze środowiska harcerek i „Czarnej Jedyńki” i związanej z nią grupy „Gromada Włóczęgów”: Antoni Macierewicz, Piotr Naimski i Wojciech Onyszkiewicz, których pomysł szybko poparli Jacek Kuroń i Jan Józef Lipski. Założycielami KOR było kilkanaście osób, z czasem dołączały do nich kolejne.

Po roku istnienia organizacja zmieniła swoją formułę; została przemianowana na Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, który stawiał sobie szersze cele: miał zajmować się wszystkimi przejawami łamania praworządności i wspierać niezależną aktywność różnych środowisk. Korowcom przyświecała np. idea, że trzeba nie tylko bronić robotników przed represjami, lecz także nauczyć ich samych walczyć o swoje prawa.

Tak narodził się pomysł utworzenia „Robotnika”. Wpisywał się on w koncepcję samoorganizacji społecznej, która przyświecała właściwie całemu temu nurtowi opozycji. Chęć aktywizowania środowisk robotniczych wynikała ze świadomości, że jest to grupa społeczna, z którą władze komunistyczne muszą się liczyć, co pokazały poprzednie kryzysy polityczne w czasie tzw. polskich miesięcy.

Stworzenie pisma, które byłoby pouczającą, a zarazem ciekawą lekturą dla pracowników dużych fabryk, nie było łatwe. Pomysł był zresztą jeszcze ambitniejszy, wokół pisma miał się bowiem formować niezależny ruch robotniczy. Nawet Kuroń, któremu idea mobilizowania robotników z pewnością odpo-

wiała, był sceptyczny. Sądził – jak zapamiętał jeden z działaczy komitetu, Henryk Wujec – że w PRL, gdzie niemal znikły elity robotnicze, pismo nie jest dobrym sposobem aktywizacji pracowników największych zakładów pracy. Kuroń tłumaczył pomysłodawcom „Robotnika” – Janowi Lityńskiemu, Wojciechowi Onyszkiewiczowi i właśnie Wujcowi – że ich plan jest zbyt ambitny i tym samym niemożliwy do zrealizowania: „Chcicie, żeby było na wysokim poziomie, chcecie, żeby było popularne, i chcecie, żeby było organizatorem. Według mnie musicie od razu zrobić trzy pisma”.

## Dziedzictwo Piłsudskiego

Inicjatorzy pisma byli jednak przekonani do swoich racji. Już wybrany przez nich tytuł pokazywał, jak wysoko stawiali sobie poprzeczkę. Nazwa „Robotnik” jednoznacznie kojarzyła się z legendą konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej, tworzonej jeszcze pod zaborami przez Józefa Piłsudskiego. Redagowane przez niego pismo o takim właśnie tytule miało podstawowe znaczenie dla rozwoju struktur lewicy niepodległościowej. Cieszyło się szczególnie popularnością zwłaszcza wśród pracowników dużych fabryk. Później ten tytuł był organem PPS w II Rzeczypospolitej i w czasie okupacji niemieckiej.

► Ludwika i Henryk Wujcowie – ona wraz z Heleną Łuczyczo faktycznie kierowała redakcją „Robotnika”, on dbał o nawiązywanie kontaktów z pracownikami dużych fabryk

Środowisko korowskie ceniło tradycję lewicy niepodległościowej; zresztą część najstarszych członków komitetu należała do Polskiej Partii Socjalistycznej jeszcze przed wojną. Popularność PPS w kręgach opozycyjnych wynikała też z powtarzalności pewnego modelu – tworzenia ruchu społecznego przez inteligentów z myślą o robotnikach. Łączenie socjalizmu i haseł niepodległościowych wpisywało się w wartości ważne dla tego odłamu opozycji demokratycznej.

Nawiązanie do tradycji „Robotnika” przez ludzi ze środowiska korowskiego było więc w pełni świadome. Zresztą



Fot. Erazm Ciołek/FORUM

# ROBOTNIK 77

5.07.1981

PISMO WSPÓLPRACUJĄCE Z NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGIONÓW: MAZOWSZE, MAŁOPOLSKA, ŚWIĘTOKRZYSKI, JELENIA GÓRA, TORUŃ.

## W OCZEKIWANIU NA REFORMĘ GOSPODARCZĄ

Ruch, jaki obserwujemy ostatnio wokół samorządów, jest bardzo różnorodny. Aktywniejsze są stare KSRR-owskie struktury i powstają nowe KSRR-y. Tworzą się Rady Pracownicze, którym mimo braku wystarczających kompetencji udaje się jednak wyznaczyć kierunki polityki. Wracają do życia samorządowe przedsiębiorstwa. Wracają do życia zakłady powołujące - zgodnie z koncepcją Bielskiej komisji założeń - do życia i samorządów.

### SAMORZĄD W HUCIE IM. LENINA

W oczekiwaniu na reformę gospodarczą, na konkretne ustawy o samorządzie i przedsiębiorstwie tuż przed przystąpieniem do autentyfikacji działalności przedsiębiorstwa zakładowego. Tak jest w Hucie im. Lenina.

Oczywiście i tutaj jest nadzieja, żeby samorząd tworzył już teraz. Przykładem dowidziamy się - a przecież jest - samorząd Komunistów Żołnierzy składającego się z 37 pełnomocników z różnych zakładów - i że na wskazywane przez nich kierunki polityki. Musiałem ich powstrzymać od powstania samorządu. Musiałem ich powstrzymać od powstania samorządu. Musiałem ich powstrzymać od powstania samorządu.

Przewidywany jest rozwój samorządów na terenach, gdzie jest duża liczba zakładów. W tym celu należy stworzyć warunki, które umożliwią im to. W tym celu należy stworzyć warunki, które umożliwią im to.

jest nad nim. Sekcja ds. pracowniczych zajęła się analizą stanu zatrudnienia, sekcja ds. technicznych bada stan urządzeń i podstawy Huty. Z raportu o zatrudnieniu dowiedzieliśmy się, że w Hucie jest brak kadrowy, gdzie jest największa fluktuacja. I tak na przykład o roku wygłoszono, że 60, 70 kadrowy. Musimy sobie zadać pytanie: czy to jest problem? Mamy również problem z kadrami. Mamy również problem z kadrami. Mamy również problem z kadrami.

Powstała inicjatywa, żeby uruchomić oddziaływanie z zewnątrz. Jeśli będzie gdzieś znalazł się robotnik, można wciągnąć tych ludzi na nowy oddział oddziaływanie z zewnątrz. Chcemy zrobić spółkę akcyjną z Amerykanami. Chcemy zrobić spółkę akcyjną z Amerykanami. Chcemy zrobić spółkę akcyjną z Amerykanami.

W tym celu należy stworzyć warunki, które umożliwią im to. W tym celu należy stworzyć warunki, które umożliwią im to. W tym celu należy stworzyć warunki, które umożliwią im to.

### REFORMA GOSPODARCZA

Ważny jest zgodni co do tego, że reforma gospodarcza jest konieczna. Nierozpoczęta jest reforma gospodarcza. Nierozpoczęta jest reforma gospodarcza.

Fot. ze zbiorów autora

## GODZINY NADLICZBOWE ZAROBKI - TAK

LIST DO REDAKCJI (fragment)

W 9 numerze napisaliście o godzinach nadliczbowych w Przedsiębiorstwie Transportu Węglowego w Gliwicach. Skutek jest taki, że obrotu nam nadgodziną a waga zarobki o wiele mniej niż za zarobki...

### OD REDAKCJI

W liście swoim pominął Pan dwa problemy - pracy w nadgodzinach i obroty w nadgodzinach. Zarobki z pracobiorstwa wielu robotników. Są przesłane tylko 10-12 godzinna praca powołana i stała przestaje powodują, że stopodzinna pod koniec miesiąca czy kwartału.

Z trzech powodów stan taki jest nie do przyjęcia. Po pierwsze stała nadgodzinna stanowią ukrytą formę niekonstytucyjnie zapewnianego, a wywyższony jest zapewnianego, a wywyższony jest zapewnianego, a wywyższony jest zapewnianego, a wywyższony jest zapewnianego.

pracowników, gdy prace, którą mo- żności na godzi- si większe zarob- si poważne ukod- wig, że wstępni nadliczbowe są a- cy poważni dają- bez utraty zarob- Powstały pyta- osiągnął. Ządania brani przedstawic- jest taka możliwo- Dyrkcja będzie pi- wać ich strażarz, chryszelci i trier- da zrobić.

Wtedy wiele zal- i solidarniej postę- trwa ona przy swoi- li potrafi ochronić od represji, władze do portretacji i c-

### PRZED 78

"Orłów, smół tande- prosił nas swego zna- dę za granicą wyzna- dy będąc Pan w Ho- wa, sądził Pan pod pom- wyznaczył druk i plun- w oczy. Od niego on- pochodzi."

Józef Piłsudski - t- Jednej osobie redaktor- cd. na str. 3

jeden z inicjatorów powstania nowego pisma miał związki rodzinne z jego pierwowzorem. Lityński był bratanikiem Feliksa Perla, który po aresztowaniu Piłsudskiego w 1900 roku został głównym redaktorem pierwszego „Robotnika”. „Kiedy więc po latach Janek wchodził do stópki »Robotnika«, zaczęliśmy go serdecznie namawiać, żeby, odkłamując historię, przywrócił sobie dawne nazwisko – Perl, albo chociaż dołączył je do tego, które nosił” – wspominał środowiskowe żarty Kuroń. Ostatecznie Lityński się na to nie zdecydował. Akurat on nie przywiązywał aż tak dużej wagi do kulturowania tradycji na łamach pisma, uważając, że nawiązanie to i tak nie było czytelne dla większości robotników. „To jest tradycja, z którą można odwoływać się do inteligencji, ale nie do robotników. Ludziom, których znaleźliśmy, może słowo »Piłsudski« coś mówiło, ale na pewno nie wszystkim. A my po prostu chcieliśmy, żeby rozumieli nas ci, dla których będziemy pisać – w tym sensie mało nas obchodził odbiór inteligencji warszawskiej. Rzecz jasna, gdyby ta nazwa kojarzyła się z zupełnie inną tradycją komunistyczną, to na pewno byśmy jej nie użyli” – tłumaczył Lityński kilka lat później. Nazwa „Robotnik” jego zdaniem była istotna,

bo budziła skojarzenia z poprzednimi buntami społecznymi oraz z KOR. Już w pierwszym numerze – zgodnie z wypracowanym wcześniej modelem funkcjonowania prasy niezależnej – swoje nazwiska ujawnili niektórzy członkowie redakcji: Lityński, Onyszkiewicz i jedyny członek KSS „KOR” z Łodzi – Józef Śreniowski. Do zespołu należało jednak więcej osób. Główną rolę w tworzeniu „Robotnika” odegrała Helena Łuczywo, współpracowniczka KSS „KOR” wywodząca się z pokolenia '68. Po raz pierwszy ujawniła wówczas swój talent redaktorski, który w kolejnych latach odegrał dużą rolę w rozwoju niezależnej prasy. Przy „Robotniku” pomagała jej zwłaszcza Ludwika Wujec (żona Henryka). Jednak ich udział w redakcji początkowo nie został ujawniony, gdyż obie pracowały wówczas zawodowo i mogły się obawiać zwolnienia w ramach represji. Faktycznie to one kierowały piśmie, chociaż wpływ na jego linię programową miał cały zespół. Lityński przygotowywał przede wszystkim teksty dotyczące kwestii ideowych. Bardzo zaangażowany w sprawę „Robotnika” był Wujec, który nawiązywał wiele kontaktów z pracownikami dużych fabryk, a potem zajmował się też finansami pisma. Ważną rolę odegrała rów-

niez współpracowniczka KSS „KOR” Irena Wójcicka, ze względu na swoje wykształcenie zajmująca się przede wszystkim ekonomią i gospodarką. Fabryczna codzienność Podczas gdy większość prasy niezależnej koncentrowała się na sprawach politycznych, „Robotnik” z założenia miał się zajmować problemami przeciętnych ludzi. „W »Robotniku« często wyjaśnialiśmy, co się dzieje w gospodarce – to ludzi interesowało. Musieliśmy im wytłumaczyć, dlaczego jest tak źle. Na przykład, co się dzieje z budownictwem mieszkaniowym? Dlaczego muszą czekać po dwadzieścia lat na mieszkania? Staraliśmy się pokazać, ale nie przez emocje, tylko przez fakty, dlaczego gospodarstwo socjalistyczne nie funkcjonuje i dlaczego nie może funkcjonować” – tłumaczyła Wójcicka. Na problemy robotników redaktorzy pisma spoglądali nie tylko z perspektywy ogólnej sytuacji całego kraju, lecz przede wszystkim przez pryzmat warunków w konkretnych zakładach pracy. Przykładowo pierwszy numer „Robotnika” informował o tym, że w Pabianickiej Fabryce Żarówek wypłacono pracownikom o kilkaset złotych mniejszą zaliczkę niż zwykle, co stało się przyczyną strajku.



dził, że winny jest poszkodowany. Operator koparki zranił rękę przy jej naprawie. Orzeczenie: powinien czekać z naprawą na mechaników”. Takie sytuacje prowadziły autora tekstu do jasnego wniosku: „Zespoły mają tendencje do przerzucania odpowiedzialności z wypadki na poszkodowanych. Przedstawiciele związków zawodowych przytakują orzeczeniom na niekorzyść osób, których przecież mają bronić. Łamane są przy tym przepisy Kodeksu Pracy, których nie ma kto egzekwować”.

Innym razem pisano o pogoni za planem w „Radoskórce”, gdzie zmuszano robotników nawet do szesnastogodzinnej pracy. „Sytuacji takich jak w »Radoskórce« można by znaleźć więcej. Prace w każdym zakładzie odbywa się cokwartalna, coroczna »gonitwa« za planem. Jest to wynik, między innymi, bałaganu panującego w naszej gospodarce oraz nieudolności w kierowaniu nią przez tych, którym wydaje się, że »zawsze wiedzą lepiej«” – komentowała redakcja. Lektura kilku numerów „Robotnika” szybko mogła pozbawić złudzeń co do rzeczywistego stosunku rządzących do „świata pracy”.

**Pisać o niepodległości?**

Na łamach „Robotnika” publikowano artykuły dotyczące nie tylko konkretnych zakładów pracy, lecz także problemów bardziej uniwersalnych. Przy okazji redagowania pierwszego numeru stało się to zresztą przedmiotem wewnątrzredakcyjnego sporu. Chodziło o jedno zdanie w deklaracji programowej, tyle że dotyczyło ono kwestii absolutnie podstawowej – czy zawrzeć w niej postulat odzyskania przez Polskę niepodległości. Ludwika i Henryk Wujcowie przekonywali, by tego nie robić. Uważali, że należy pisać o konkretnych sprawach zrozumiałych dla odbiorców, których mogłyby wystraszyć hasła niepodległościowe zamieszczone już w pierwszym numerze. Przeciwnego zdania byli Jan Lityński i Helena Łuczywo, która miała się oburzać: „Jak to? Przecież niepodległość każdy Polak ma

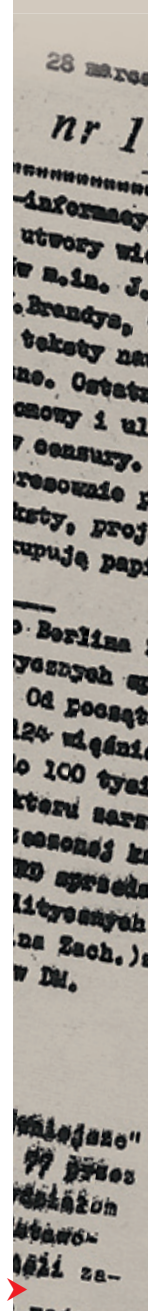
we krwi”. Nie bez znaczenia była chęć zaprzeczenia oskarżeniom sformułowanym pod adresem środowiska korowskiego przez środowisko konkurencyjnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a dotyczącym nieprzywiązywania zbyt dużej wagi do kwestii odzyskania niepodległości.

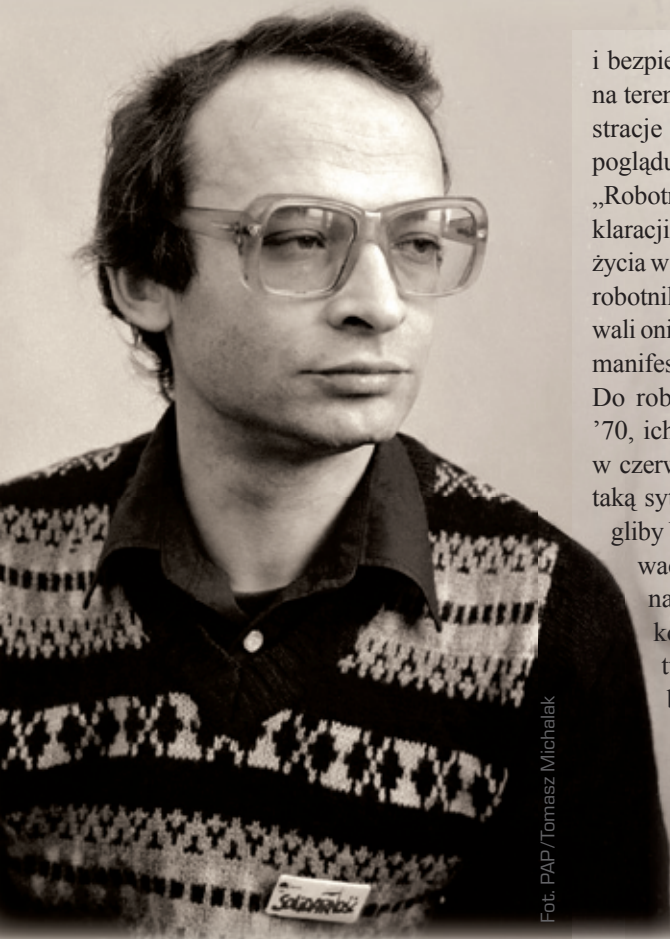
Ostatecznie górę wzięły racje Łuczywo i Lityńskiego. Niepodległość pojawiła się w deklaracji programowej jako jeden z dwóch głównych daleko siężnych celów pisma: „Chcemy, aby nasza wspólna działalność zapoczątkowała współpracę przy realizacji dążeń do sprawiedliwej i niepodległej Polski”. Lakoniczność i brak górnolotnych sformułowań w tym zdaniu nie były przypadkowe. „Nie lubiliśmy patosu i chyba wszyscy – niezależnie od różnic temperamentów – mieliśmy do tej pracy pozytywistyczne nastawienie. To znaczy chcieliśmy ludzi uczyć – a nie nachalnie wychowywać” – tłumaczyła Ludwika Wujec.

Pierwszy numer „Robotnika” wyglądał skromnie – składał się z czterech spiętych spinaczem kartek papieru. Nie było w nim żadnego podziału na szpalty ani elementów graficznych. Był po prostu mało czytelny. Nie wszystkim korowcom pismo się spodobało. Henryk Wujec zapamiętał Wojciecha Ziemińskiego, który miał potrząsać pierwszym numerem „Robotnika” i pytać: „To ma być pismo?!”. Później większość członków KSS „KOR” niespecjalnie interesowała się periodykiem, chociaż była mu przychylna. Najbardziej zaangażowani politycznie członkowie komitetu nie mieli z nim specjalnie bliskich związków. Adam Michnik do niego nie pisywał; zresztą w swojej działalności opozycyjnej koncentrował się na aktywizowaniu przedstawicieli elit naukowych i kulturalnych. Pismo tworzone z myślą o robotnikach niespecjalnie wpisywało się też w koncepcje rozwoju opozycji demokratycznej sformułowane przez Antoniego Macierewicza, który kładł nacisk na potrzebę formowania poglądów inteligenckiej młodzieży. Spośród liderów KOR naj-

Każde kolejne wydanie pisma przynosiło zbiór podobnych informacji. Zestawione ze sobą numery „Robotnika” pokazywały obraz PRL zupełnie inny od oficjalnego oblicza „Polski Ludowej”, która rzekomo tak bardzo dowartościowywała pracowników dużych fabryk. W rzeczywistości było wręcz odwrotnie. Warunki pracy niekiedy urągały godności zatrudnionych. Na przykład w styczniu 1978 roku „Robotnik” nagłośnił sytuację w gliwickiej kopalni: „Górnicy z 12 oddziału kopalni Gliwice nie mają gdzie się umyć po pracy. Na 40–50 osób schodzących ze zmiany przypadają 2 kabiny po 4 metry kwadratowe każda”. Tego rodzaju problemy należały do spraw najłżejszego kalibru poruszanych na łamach pisma. Ten sam numer przynosił też informacje o wypadkach: w jednej z warszawskich fabryk, gdzie zginął porażony prądem elektryk, i we wspomnianej gliwickiej kopalni, gdzie na skutek zawalenia się źle zabezpieczonego stropu zginęło dwóch górników. W innym numerze pisano o wypadku w Spółdzielni Transportowej w Pruszczu Gdańskim: „Pracownik spadł z 3-metrowego, źle ustawionego rusztowania bez barierki. Zespół stwier-

... usieci rolników. Oznacza... młodzieży... Miasto jest... ciężkiej harówki, od przytym... wyposażone jest... 10





Fot. PAP/Tomasz Michalek

► Jan Lityński pisał w „Robotniku” przede wszystkim o sprawach ideowych

bardziej interesował się „Robotnikiem” – mimo swojego wcześniejszego sceptycyzmu – Jacek Kuroń. Rzadko jednak tam publikował; jego rola polegała raczej na podsyłaniu redakcji współpracowników, którzy mieli dobre kontakty w środowiskach robotniczych. Z czasem do „Robotnika” przekonano się więcej osób, zwłaszcza że pismo wyglądało coraz lepiej. Od maja 1978 roku „Robotnik” ukazywał się z podziałem na szpalty, druk był mniejszy, dzięki czemu na jego łamach mieściło się znacznie więcej tekstu. Początkowo pismo drukowała podziemna oficyna NOW-a. Później zorganizowano własną poligrafie, którą kierował Witold Łuczywo, mąż Heleny.

Wśród części działaczy KSS „KOR” panowało przekonanie, że to postawa załóg największych fabryk może zdecydować o rozwoju sytuacji w kraju. W akcji uświadamiającej prowadzonej przez komitet podkreślano, że skuteczną

i bezpieczną formą protestu jest strajk na terenie zakładu pracy, a nie demonstracje uliczne. Propagowaniem tego poglądu zajmowała się m.in. redakcja „Robotnika”. Akcentowała to już w deklaracji programowej: „Losy i poziom życia w Polsce w dużej mierze zależą od robotników. Dotychczas jednak wpływali oni na decyzje władz głównie przez manifestacje. Wywoływało to represje. Do robotników strzelano w grudniu ’70, ich też bito i wyrzucano z pracy w czerwcu ’76. Trzeba więc stworzyć taką sytuację, w której robotnicy mogliby bronić swoich interesów i wpływać na decyzje władz codziennie, na bieżąco. Chcemy zapoczątkować dyskusję nad sposobami tworzenia przedstawicielstw robotniczych, ich rolą i zakresem uprawnień i obowiązków. Liczymy na to, że nasza gazeta będzie pomocą dla robotników, umożliwi im wzajemny kontakt i wymianę doświadczeń”.

Redakcja publikowała też teksty historyczne, które na ogół budziły spore zainteresowanie odbiorców, niezależnie od ich wykształcenia. Na przykład Ludwik Cohn, członek KSS „KOR” i dawny działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, pisał na łamach „Robotnika” o Kazimierzu Pużaku – wybitnym przywódcy PPS, a Jan Lityński opisywał sfałszowane wybory w artykule *Cud nad urną – rok 1947*.

### Pismo organizuje środowiska

Fenomen „Robotnika” polegał przede wszystkim na tym, że – w odróżnieniu od innych pism niezależnych – miał on szeroki krąg odbiorców. Wykraczał poza środowiska osób związanych z opozycją. Pismo szybko osiągnęło nakład kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Głównymi odbiorcami byli pracownicy dużych fabryk. Redaktorom „Robotnika” zależało na przeciwdziałaniu zjawisku, które z bliska zobaczyli zwłaszcza w Radomiu – atomizacji społecznej. Robotnicy, nawet pracujący w jednej fabryce, najczęściej w ogó-

le się nie znali. Pytani przez korowców, często nie byli w stanie podać nazwisk kolegów, którzy też mogliby potrzebować pomocy. W tej sytuacji o jakąkolwiek samoorganizację było niezwykle trudno. Przeciwdziałać temu miał właśnie „Robotnik”, wokół którego powinien być się formować ruch z udziałem ludzi pracy dopominających się o swoje prawa. „A stworzenie ruchu to przede wszystkim wymiana doświadczeń, wydawało się nam, iż nasze pismo może być w tym pomocne: jedni napiszą, jak u nich jest, inni, jak u nich, i przynajmniej ludzie dowiedzą się czegoś o sobie [...]. Wyobrażaliśmy sobie, że w oparciu o kontakty, o kolportaż pisma utworzą się takie załączki przyszłej organizacji. Pomysł polegał na tym, że pismo to coś konkretnego do roboty, coś, co trzeba jakoś rozkolportować” – tłumaczył Wujec.

Istotną rolę odgrywali współpracownicy „Robotnika”, którzy sami byli robotnikami. Bez nich tworzenie takiego pisma byłoby właściwie niemożliwe. Tylko oni mogli bowiem zapewnić redakcji dopływ bieżących informacji na temat wydarzeń w zakładach pracy oraz organizowali kolportaż. W ten sposób realizowano założenie, które przyświecało redakcji od początku. Pracownicy dużych zakładów pracy mieli być nie tylko odbiorcami pisma, lecz także jego współautorami. Podkreślono to zresztą już w pierwszym numerze: „»Robotnik« jest pismem, w którym [robotnicy] będą mogli publikować swoje niezależne opinie, wymieniać doświadczenia i nawiązywać kontakty z przedstawicielami innych zakładów”. Tak właśnie było przynajmniej z częścią współpracowników pisma ze środowisk robotniczych. Najbardziej aktywni z nich – Władysław Sulecki z Gliwic, Leopold Gierek z Radomia oraz Edmund Zadrożyński z Grudziądza – szybko zostali dołączeni do stopki redakcyjnej. Nie brali wprawdzie udziału w pracach redakcji, ale pomagali zdobywać niezbędne informacje i kontakty. Podanie ich nazwisk do wiadomości publicznej miało im zapewnić ochronę przed represjami. Między innymi



dzięki nim „Robotnik” miał tak szerokie grono odbiorców. Najwięcej egzemplarzy pisma kolportowano w dużych zakładach pracy. W Warszawie były to m.in. Zakłady Mechaniczne „Ursus”, w których dobre kontakty mieli Wujcowie. W trójmiejskich stoczniach i innych fabrykach rozpowszechnianiem „Robotnika” zajmował się przede wszystkim Bogdan Borsewicz. Analogiczną rolę w Łodzi odgrywał Śreniowski, w Nowej Hucie – Franciszek Grabczyk, na Śląsku – Sulecki, a w Grudziądzu – Zadrożyński. Z czasem pismo zaczęło rozpowszechniać też m.in. w Poznaniu, Kaliszu i Piotrkowie. Całą sieć kolportażu organizował Wujec wraz z Dariuszem Kupieckim, jednym z wcześniejszych organizatorów pomocy dla robotników z Ursusa.

Paradoksalnie największe problemy z rozpowszechnianiem „Robotnika” pojawiały się w tak dobrze znanym korowcom Radomiu. Po latach okazało się, że przyczyniła się do tego współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa Leopolda Gierka (TW „Aster”), organizującego tam kolportaż pisma, oraz kilku innych tamtejszych współpracowników komitetu. Gierek (zbieżność nazwisk z przywódcą PRL przypadkowa) brał udział w robotniczym proteście w Radomiu w czerwcu 1976 roku. Został skazany na dwa lata więzienia. Biciem i straszeniem po prostu go złamano. Współpracował z SB, nie tylko informując ją na bieżąco, lecz także wykonując zlecane zadania. Podobnie jak inni radomscy TW, Gierek dążył do ograniczania działań tamtejszej grupy współpracowników „Robotnika” i starał się nie dopuszczać do jego kolportażu. W dużej mierze mu się to udało. Kiedy na przykład w czerwcu 1978 roku Lityński przekazał Gierkowi odezwę KSS „KOR” dotyczącą wydarzeń czerwcowych, ten ostatni całość nakładu przeznaczonego dla Radomia oddał policji politycznej. Dla niepoznaki SB przekazywała część egzemplarzy do kolportażu za pośrednictwem innych TW, ale ogromna większość radomskiej partii pisma „przepadała”.

„Robotnik” odegrał ważną rolę w kształtowaniu postaw opozycyjnych w środowiskach robotniczych i powstaniu Wolnych Związków Zawodowych, chociaż początkowo część środowiska korowskiego uznawała, że najskuteczniejszą formą samoorganizowania się robotników jest tworzenie komisji w zakładach pracy. Jednym z głównych przejawów działalności WZZ był kolportaż „Robotnika”. Z czasem powstało wzorowane na nim pismo WZZ „Robotnik Wybrzeża”. Rok później, kiedy powołano WZZ w Szczecinie, zaczęto też wydawać „Robotnika Szczecińskiego”.

Duże znaczenie dla aktywizowania środowisk robotniczych miała Karta Praw Robotniczych z 1979 roku, opracowana przez redakcję „Robotnika”. Dokument ten podpisało wielu działaczy opozycyjnych, głównie członków i współpracowników KSS „KOR”. Zawierał on program dla formujących się niezależnych ruchów robotniczych, obejmujący prawo do strajku, minimum utrzymania, wolne soboty i niedziele dla górników, czterdziestogodzinny tydzień pracy, sprawy bezpieczeństwa, możliwość awansu niezależnie od postawy politycznej. Dokument wydano w nakładzie ok. 50 tys. egzemplarzy. Był to chyba najbardziej znaczący tekst programowy opozycji przedsierpniowej dotyczący niezależnego ruchu robotniczego.

Korowski „Robotnik” dołożył swoją cegiełkę do powstania Solidarności. Ludzie związani z pismem zbierali informacje w czasie strajków w różnych miastach latem 1980 roku. Przepływ informacji między strajkującymi zakładami miał duże znaczenie. Na łamach „Robotnika” opisywano przebieg protestów. Jego twórcy przygotowali i rozpowszechniali ulotkę *Jak strajkować?* Instrukowano w niej, jak formułować postulaty, jak zapewnić protestującym

bezpieczeństwo i jak tworzyć własną reprezentację.

Misja „Robotnika” zaczęła dobiegać końca wraz z powstaniem Solidarności. Już w pierwszych miesiącach przy NSZZ powstały setki periodyków o podobnym profilu. Częstotliwość ukazowania się pismo spadła, choć wychodziło ono jeszcze w 1981 roku i był już kolportowany Tygodnik Solidarność.

Spośród czasopism opozycji przedsierpniowej „Robotnik” miał bodaj największe znaczenie. Mimo że nie pisywali raczej do niego liderzy opozycji i nie pojawiały się tam najgłośniejsze teksty publicystyczne, to kilkukartkowe pismo z informacjami o codziennych sprawach przyciągało do opozycji ludzi pracy. Po powstaniu Solidarności nikt już nie mógł mieć wątpliwości, jak ważną odegrało to rolę. ■

dr Jan Olszsek – pracownik Biura Badań Historycznych IPN, autor m.in. książki *Rewolucja powielaczy. Niezależny ruch wydawniczy w Polsce w latach 1976–1989* (2015)



▶ Wojciech Onyszkiewicz – jeden z pomysłodawców „Robotnika”

# Kryptonim „Sejmik”, czyli zjazdowa konfrontacja

Grzegorz Majchrzak

„Zabezpieczenie” I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” jesienią 1981 roku było największą operacją Służby Bezpieczeństwa przeciwko legalnie działającemu związkowi i jej największą porażką.

**T**worząca się Solidarność – mimo że była organizacją legalną – została uznana przez SB za przeciwnika. Formalnie była zatem „operacyjnie ochraniana”, a *de facto* zwalczana. Bezpieka sięgnęła po szeroki wachlarz sprawdzonych działań: od nasylenia agentury, przez mnożenie konfliktów (personalnych i regionalnych), aż po prowokacje. Rozpracowywane były wszystkie ogniwa związku (władze krajowe, zarządy regionalne i niektóre komisje zakładowe). Podobnie było z organami doradczymi czy prasą związkową. Ponadto (od jesieni 1981 roku) SB przygotowywała się do „odbudowy” związku po siłowym zakończeniu „polskiego kryzysu”.

Niewątpliwie apogeum tych działań stanowiły operacje związane z I Krajowym Zjazdem Delegatów NSZZ „Solidarność”, który odbył się w Gdańsku w dwóch turach: od 5 do 10 września oraz od 26 września do 7 października 1981 roku. Zjazd został zwołany w celu wybrania władz krajowych (Komisji Krajowej i Krajowej Komisji Rewizyjnej), wprowadzenia poprawek do statutu, a także opracowania programu związku. Wzięło w nim udział prawie dziewięćset delegatów z całego kraju. Był to zresztą pierwszy od dziesięcioleci w pełni demokratycznie wybrany „parlament”, na kolejny trzeba było czekać równo dekadę.

## Wielka mobilizacja

Do I KZD przygotowała się nie tylko Solidarność, lecz również władza. Działania prowadziły rząd i poszczególne ministerstwa, zmobilizowano terenowe instancje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, prasę, radio i telewizję, organizowano też specjalne zespoły (np. Komitet Centralny PZPR powołał zespół koordynacyjny do

spraw pracy polityczno-wychowawczej, w którego skład wszedł m.in. minister spraw wewnętrznych), które miały wypracować odpowiednie działania partyjno-polityczne. Na niespotykaną dotychczas skalę działania podjęło MSW. Służba Bezpieczeństwa była aktywna na trzech szczeblach. „Zabezpieczenie” zjazdu, odbywającego się w hali „Olivia”, powierzono Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku (sprawa o kryptonimie „Sejmik”). Niezależnie od niej na szczeblu centralnym działała specjalnie utworzona grupa operacyjna pod kierownictwem wiceministra spraw wewnętrznych Adama Krzysztoporskiego (operacja „Debata”). Wreszcie działania wobec delegatów – w myśl



► I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w gdańskiej hali „Olivia”, 1981 rok

## I KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW NSZZ „SOLIDARNOSC” GDANSKI

wytycznych z Warszawy – prowadziły komendy wojewódzkie Milicji Obywatelskiej na terenie całego kraju.

Bezpieka rozpoczęła swe działania na długo przed inauguracją gdańskich obrad Solidarności. W czasie walnych zebrań delegatów w regionach starano się nie dopuścić do wyboru na zjazd działaczy uznanych za ekstremistów i osób związanych z opozycją przedsiębiorczą. Najczęściej zresztą bez większego powodzenia. Na przykład w działania przeciwko Andrzejowi Rozpłochowskiemu podczas WZD Regionu Śląsko-Dąbrowskiego zaangażowano aż 170 agentów, ale i tak otrzymał on mandat delegata na zjazd.

Jak to określono 3 września 1981 roku we wniosku o wszczęcie sprawy obiektowej „Debata”, w czasie samego I KZD działania SB miały się koncentrować na „zminimalizowaniu społecznego znaczenia i ograniczeniu negatywnego wpływu zjazdu na rozwój sytuacji społeczno-politycznej w kraju”, a także na „ograniczeniu wpływów KSS KOR, KPN, RMP, ROPCiO itp. oraz ekstremistów w związku na przebieg, decyzje zjazdu i dalszą działalność »Solidarności«” i „sprowadzeniu »Solidarności« do działalności związkowej, zgodnej ze statutem”. Jednostki operacyjne MSW (m.in. wywiad i kontrwywiad) wspierały milicja i wojsko. 30 lipca 1981 roku naczelnikom wydziałów III „A” komend wojewódzkich MO w całym kraju zalecono „wzmoczenie pracy operacyjnej na odcinku pozyskania nowych osobowych źródeł informacji spośród delegatów” wybranych na zjazd. Resort spraw wewnętrznych mógł liczyć na pomoc PZPR i rządu; np. działania SB poza granicami kraju wspierał MSZ.

### Dziel i rządź

W czasie I KZD na dużą skalę kolportowano fałszywki sporządzone w MSW. Na przykład do 186 delegatów wysłano dokument „Niepotrzebnie nie chcą odejść”, w którym atakowa-

no Rozpłochowskiego za „awanturniczą i rozłamową działalność” w czasie wyborów władz regionalnych. Z kolei w ramach działań dezintegracyjnych, jeszcze przed rozpoczęciem obrad, „zabezpieczono operacyjnie dotarcie” do Lecha Wałęsy „z zestawieniem informacji i danych obrazujących prowadzoną przeciwko niemu działalność opozycyjną [...], a dających mu możliwość uargumentowanego przeciwstawienia się tej kampanii”. W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć o taktyce władz wobec Wałęsy. Uznały one bowiem, że lepiej, aby na czele związku stał umiarkowany „gdański elektryk” niż przedstawiciel związkowej „ekstremy”. W związku z tym w czasie zjazdu SB starała się zwiększać szanse wyborcze Wałęsy. Jednak gra bezpieczeństwa była bardziej skomplikowana – z jednej strony chciała ona utrzymać go na stanowisku przewodniczącego związku, ale z drugiej – dążyła do osłabienia jego pozycji jako przywódcy Solidarności. Temu służyło m.in. podsycanie konfliktu między nim a Andrzejem Gwiazdą czy Anną Walentynowicz. Był to też element działań dezintegracyjnych. W ramach tych ostatnich agentom SB miało udać się m.in. doprowadzić do rozbieżności w poglądach delegatów z kilku regionów w kwestii wyboru przewodniczącego związku (inteligencja przeciwko Wałęsie, a „nurt robotniczy” za nim). Jak raportowano, udało się pogłębić sprzeczności między stanowiskiem dużych i małych regionów.

Ogółem podczas drugiej tury zjazdu wśród delegatów i na terenie dużych zakładów pracy Gdańska i Gdyni rozkolportowano dziewiętnaście fałszywek (ponad 4 tys. ulotek, broszur i listów). Wśród nich znalazło się m.in. opracowanie ośmieszające Lecha Wałęsę, co miało w zamyśle SB spowodować atak „»wałęsiaków« na »korowców«, a szczególnie [na] Gwiazdę”.

Najciekawszą i najbardziej tajemniczą operacją władz było przygotowa-

nie przez Wydział Socjalno-Zawodowy KC PZPR – na drugą turę zjazdu – „wyważonego programu dla związku w dwóch wersjach: pryncypialnej [i] kompromisowej”. Tę pierwszą zamierzano przekazać tajnym współpracownikom SB, którzy według bezpieki mieli szansę wejść w skład władz krajowych związku, druga zaś miała trafić bliżej nieokreślonym „kanałem specjalnym” do Wałęsy.

### Podsluchy skuteczniejsze niż agentura

Ważną rolę w staraniach SB odegrała agentura. W wyniku działań poprzedzających zjazd miało dojść do wyboru na delegatów 38 tajnych współpracowników i pięciu kontaktów operacyjnych, a czterech agentów znalazło się wśród gości i obsługi prasowej. Niektórzy z nich weszli w skład komisji problemowych i zespołów tematycznych (np. w komisji programowej znalazł się Eligiusz Naszkowski, czyli TW „Grążyń”, najgłośniejszy agent bezpieczeństwa we władzach związku przed 13 grudnia 1981 roku, a członkiem komisji mandatowo-wyborczej został Andrzej Cierniewski, czyli TW „Dorn”, inny cenny współpracownik SB). W województwie gorzowskim zamierzano notabene wykorzystać nie tylko agenturę SB i MO, lecz także Wojskowej Służby Wewnętrznej, Wojsk Ochrony Pogranicza, a nawet radzieckiego kontrwywiadu wojskowego. Ogółem jedynie w ramach sprawy o kryptonimie „Sejmik” do „operacyjnej ochrony” obrad I KZD zaangażowano 125 tajnych współpracowników, w tym 53 agentów spoza Trójmiasta. Do zabezpieczenia samych obrad zjazdu wykorzystano 78 osobowych źródeł informacji, w tym 37 spośród delegatów i 41 spośród obsługi i zaproszonych gości. Uzyskano od nich 1014 informacji, z czego 21 proc. oceniono jako bardzo dobre, 44 proc. – jako dobre oraz 35 proc. – jako słabe.

Zapewne osiągnięcia bezpieki byłyby większe, gdyby nie proble-

my w komunikacji z agenturą. Tak było np. z najcenniejszym agentem SB wśród ślupskich delegatów – TW „Jolą”, czyli Wojciechem Zierkem. Jak wynika z relacji złożonej przez niego cztery dni po zakończeniu zjazdu, próba nawiązania kontaktu z przełożonymi z SB podczas drugiej tury się nie powiodła. Kiedy bowiem zgodnie z instrukcją zadzwonił pod umówiony numer telefonu i podał ustalone hasło „proszę do aparatu Bronka”, jego rozmówca miał zacząć dopytywać się, o jakiego Bronka chodzi. W tej sytuacji Zierke, podejrzewając, że telefon jest na „niepożądanym podsłuchu”, postanowił więcej nie dzwonić.

Co ciekawe, chociaż – jak później stwierdzano w podsumowaniu działań SB w związku z I KZD – efektywność agentów była z reguły duża, a przekazywane przez nich informacje dotyczyły „spraw istotnych dla całokształtu poznania prawdziwych zamierzeń

działaczy i delegatów, jak również bieżących działań o charakterze antypaństwowym”, to zastosowana w możliwie szerokim zakresie technika operacyjna (głównie podsłuchy – od drugiego dnia obrad zapewniały one „bieżący dopływ informacji z przebiegu obrad”) pozwoliła na uzyskanie „informacji pełniejszych i nadających się w większym stopniu do wykorzystania w meldunkach operacyjnych niż informacje uzyskiwane od osobowych źródeł informacji”. I nic dziwnego, skoro podsłuchy zainstalowano w miejscu obrad delegatów, komisji problemowych i zespołów tematycznych, miejscach zakwaterowania uczestników zjazdu, a nawet w katedrze oliwskiej, gdzie 4 września prymas Józef Glemp odprawiał mszę św. w intencji I KZD. Warto też przypomnieć, że do hali „Olivia” udało się SB wprowadzić (oczywiście „pod legendą”) dwóch pracowników operacyjnych, którzy weryfikowali doniesienia agentury oraz umożliwili dwukrotnie przerzut ulotek „demaskujących manipulowanie zjazdem przez działaczy ekstremistycznych i antysocjalistycznych”.

Mimo zaangażowania tak ogromnych sił i środków efekty pracy SB były mizerne. Na przykład w czasie pierwszej tury zjazdu udało się „spowodować” jedynie siedemnaście „pozytywnych wystąpień i replik”. Jak później stwierdzano, w wytworzonej podczas zjazdu atmosferze agenci „nie mogli szeroko proponować pozytywnego programu” – wystąpienia takie były bowiem przerywane przez obecnych na sali, szczególnie podczas pierwszych trzech dni I KZD (według funkcjonariuszy miało to być efektem działań KSS „KOR” i innych ugrupowań opozycyjnych oraz „ekstremistów”). W esbeckich meldunkach pojawia się nawet informacja, że na wystąpienia krytyczne wobec „radykalnego nurtu” mogły sobie pozwolić jedynie „osoby nieubiegające się o wejście do władz

związku i nieuważające swej pracy w »Solidarności« jako szansy [sic!] na realizację ambicji życiowych”. Atmosfera panująca na sali obrad zmusiła Służbę Bezpieczeństwa do zmiany taktyki – agenturze nakazano realizować zadania w rozmowach zakulisowych i miejscach zakwaterowania.

### Połowiczne sukcesy

Nic zatem dziwnego, że dzień po zakończeniu pierwszej tury zjazdu wiceminister Krzysztoporski uznawał jego wyniki za „rezultat dywersyjnej dział[alności] antykomunistycznej”. A nawet pytał dramatycznie: „Co ma zrobić Biuro Polityczne, czy ma odbyć się II tura Zjazdu »S[olidarności]«, czy zwołać Nadzwyczajny Zjazd [PZPR]? Konfrontacja, zamknijemy 1500 ludzi, wywołamy strajk generalny i co dalej?”. Propozycję rozwiązania siłowego, na wniosek ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszcza, rozważało nawet Biuro Polityczne KC PZPR. Na konfrontację, czyli stan wojenny, zdecydowano się jednak dopiero trzy miesiące później.

Na odbywające się w przerwie między turami I KZD spotkania delegatów z załogami zakładów pracy MSW przygotowało zestaw piętnastu starannie dobranych pytań w rodzaju: „Dwa najpopularniejsze słowa na zjeździe – pisze o tym nawet prasa związkowa – to manipulacja i paranoja. Czy faktycznie zjazd był manipulowany, jeśli tak, to przez kogo i jaki jest do tego stosunek delegatów? Czego dotyczyło słowo »paranoja«?” lub „Czy na zjeździe rozliczono się z sum pieniężnych pochodzących ze składek członkowskich oraz społecznych: z krążących pogłosek wynika, że pieniądze te są wydawane na bankiety, wyjazdy zagraniczne oraz pijatyki w knajpach takich działaczy jak [Andrzej] Kołodziej i [Andrzej] Gwiazda, [Bogdan] Lis i inni – co na to Komisja Rewizyjna?”.

▶ Lech Wałęsa wybrany na przewodniczącego NSZZ „Solidarność”; Gdańsk, hala „Olivia”, 2 października 1981 roku

Z czasem bezpieka zmodyfikowała wcześniejsze zamierzenia. Ze względu na „niemożność doprowadzenia do trwałych zmian prosocjalistycznych w kierownictwie »Solidarności«” zrezygnowała z „udzielania szerokiego poparcia dla Wałęsy i jego programu”, postanowiła zaś skupić się na działaniach zmierzających do „wymuszenia czysto związkowego charakteru II tury” (w tym do stworzenia „frakcji robotniczej” w związku). W przeddzień wznowienia obrad w SB zastanawiano się nawet, czy ze względów taktycznych należy oddziaływać na przebieg zjazdu łagodząco, czy też raczej w kierunku jego zaostrzenia; czy dążyć do „wyciszenia i izolowania ekstremy”, czy też dopuścić do wyboru jej przedstawicieli (np. Rozpłochowskiego, Jana Rulewskiego i Stanisława Wądołowskiego) do władz związku; czy działać na rzecz kompromitacji doradców Solidarności (Bronisława Geremka, Adama Michnika, Tadeusza Mazowieckiego) „ze względu na ich pochodzenie”, czy też wykorzystać skłonność niektórych osób stojących na czele związku do „korzystania z życia”?

Jak wynika z ocen MSW, działania resortu miały się okazać jedynie częściowo skuteczne. Uzyskano jakoby „w miarę pełne rozpoznanie, przy uwzględnieniu trudności wynikających z rozmiaru tej imprezy”, w tym zdobyto informacje o „najważniejszych negatywnych zjawiskach oraz w zasadzie odtworzono kulisy i mechanizm ich powstawania”. Nie osiągnięto jednak „pełnej skuteczności w oddziaływaniu na większą część delegatów”. W resorcie uznano: „Zasługą naszych działań operacyjnych jest m.in. fakt korzystnego rezultatu głosowania w kwestii zapisu w statucie dot. roli PZPR, wyniku wyborów do Prezydium Komisji Krajowej i na funkcję przewodniczącego związku, jak też pogłębienie różnic poglądów między delegatami i wyraźnego zarysowania się podziału na dwa nurty – ekstremalny i robotniczy”. Zapewne większość z tych sukcesów SB przypisywała sobie na wyrost, np. po-

▶ Andrzej Gwiazda przemawia podczas obrad I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”



Fot. AIPN

prawki o wykreśleniu kierowniczej roli PZPR w ogóle nie poddano pod głosowanie (w obawie przed delegalizacją Solidarności). Z kolei członków Prezydium KK dobrał osobiście Lech Wałęsa. Trudno też określić, czy prowadzone przez SB działania rzeczywiście przyczyniły się do jego wyboru na stanowisko przewodniczącego. Tym bardziej że przed samymi wyborami bezpieka dążyła zarówno do zminimalizowania liczby głosów na Gwiazdę i Rulewskiego, jak też do „zachwiania pozycji L. Wałęsy w drodze pozbawienia go znacznej ilości głosów”. Natomiast nie podlega dyskusji, że SB (a dokładniej jej agent Naszkowski) niezwykle trafnie przewidziała wyniki wyborów na przewodniczącego związku. Oceniano, że Wałęsa może liczyć na 50–55 proc. głosów, a otrzymał 462, czyli według obliczeń SB – 55,2 proc.

Również po I KZD bezpieka prowadziła działania związane z jego „operacyjną ochroną”. Zbierano opinie i komentarze różnych środowisk na temat przebiegu i wyników zjazdu. Interesowano się opiniami robotników (zwłaszcza z dużych zakładów pracy), rolników (w tym członków NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych), środowisk katolickich i opozycji. Nie zapomniano również o reakcjach zagranicznych, zarówno w krajach „demokracji ludowej”, jak i w państwach kapitalistycznych. Odnotowano też opinie NATO.

Służba Bezpieczeństwa odniosła natomiast sukces „na odcinku” pozy-

skiwania agentury, ponieważ w drugiej turze dysponowała już o ponad jedną czwartą większą liczą tajnych współpracowników aniżeli w pierwszej. Agentów wśród delegatów werbowano również po zakończeniu I KZD. Według późniejszych obliczeń, do 13 grudnia 1981 roku łącznie 82 delegatów miało stać się współpracownikami SB. Kilku z nich zostało członkami ponadstuosobowej Komisji Krajowej, a jeden wszedł nawet w skład prezydium KK. Ten sukces wynikał niewątpliwie ze skali działań bezpieki – w tym samym bowiem czasie rozpracowywano niemalże co trzeciego delegata.

Jednak ogólna ocena była pesymistyczna. Uznano, że Solidarność „stała się ruchem społecznym z elementami charakterystycznymi dla partii opozycyjnej”, a większość podjętych przez zjazd uchwał ma „jednoznacznie polityczny charakter i są one wymierzone w kierowniczą rolę PZPR w życiu narodu”.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN, współredaktor dwutomowego opracowania *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”: stenogramy (2011–2013)*

# Orzeł

Jerzy Eisler

**Mało kto pamięta dziś film Leonarda Buczkowskiego o słynnym polskim okręcie podwodnym, który we wrześniu 1939 roku brawurowo uciekł z internowania w stolicy Estonii.**

**P**rzez wieki po morzach i oceanach pływały tysiące najróżniejszych statków i okrętów, ale tylko nieliczne stały się nieśmiertelne, a ich nazwy przeszły do historii i są dziś powszechnie znane na całym świecie. Nie pomylę się chyba, jeżeli powiem, że takim najslawniejszym statkiem wszech czasów stał się „Titanic”, który w nocy z 14 na 15 kwietnia 1912 roku zatonął po zderzeniu z górą lodową podczas dziewiczego rejsu z Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych. Zginęło wówczas ponad 1,5 tys. osób. Ale przecież nie była to największa w dziejach ludzkości tragedia rozgrywająca się na morzu.

We wtorek 30 stycznia 1945 roku z Gdyni wypłynął niemiecki „Wilhelm Gustloff”, na którego pokładzie było ok. 8–10 tys. osób (nie znamy dokładnej liczby). Byli to zarówno ewakuowani niemieccy żołnierze, jak i uchodźcy z Prus Wschodnich. Na wysokości Łeby statek został storpedowany przez radziecki okręt podwodny S-13 i w ciągu godziny zatonął. Przy temperaturze powietrza –21 stopni Celsjusza udało się uratować zaledwie 1239 osób. Śmierć poniosło więc wówczas kilkakrotnie więcej ludzi niż w katastrofie „Titanica”, ale ponieważ miało to miejsce w czasie wojny i zginęli prawie wyłącznie Niemcy, obciążani zbiorową odpowiedzialnością za jej rozpętanie i niebywale zbrodnie ludobójstwa, tragedia ta na długie lata znalazła się w zapomnieniu i w żadnym razie nie przysłoniła sławy brytyjskiego statku. Z czasem bowiem dramatyczna historia z 1912 roku – m.in. za sprawą kilku filmów, w tym przede wszystkim superprodukcji Jamesa Camerona – stała się częścią popkultury, a sam „Titanic” – ikoną..., no właśnie, czego?

## Polski „Titanic”?

Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, ale zastanawiam się, jaki polski statek – przy zachowaniu wszystkich proporcji – może zostać uznany za odpowiednik „Titanica”. Wydaje się, że mógłby to być „Batory”, który „zagrał” w paru filmach, a przede wszystkim przez długie lata łączył Polskę z Zachodem – zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi. Ale „Batory” – jak wiadomo – na szczęście nie zatonął i dotrwał w służbie właściwie do końca swoich dni. Poza tym, o ile „Titanic” pociąga i fascynuje wielu ludzi swoją tajemnicą, o tyle w historii „Batorego” nie kryje się w zasadzie nic ta-

► Wesołkowaty mat Rokosz, czyli Bronisław Pawlik



Fot. Filmołetka Narodowa

jemniczego. Być może zatem za polskiego „Titanica” można uznać wybudowany przed II wojną światową ze składek społecznych ORP „Orzeł”, który w maju 1940 roku w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach zaginał w czasie patrolu na Morzu Północnym. Do dzisiaj – mimo prowadzonych od lat intensywnych poszukiwań – nie udało się odnaleźć wraku, co rodzi najróżniejsze, nierzadko kompletnie nieprawdopodobne przypuszczenia co do jego rzeczywistego losu, a zarazem utrwała jego legendę. Dodatkowym argumentem mogłoby być także i to, że ten okręt podwodny jako jedyna pływająca jednostka doczekał się na swój temat filmu fabularnego.

Niesłusznie nieco dziś zapomniany *Orzeł* w reżyserii Leonarda Buczkowskiego miał premierę 7 lutego 1959 roku. Mimo dość awanturczego i przygodowego charakteru był to – ze względu na zawarty w nim ładunek treści patriotycznych – obraz typowy dla polskiej szkoły filmowej, choć wybitny znawca dziejów polskiego filmu Tadeusz Lubelski przeciwstawia *Orla* dokonaniom tej szkoły i umieszcza poza jej „istotnym nurtem”. Stwierdza, że *Orzeł* ukazuje wydarzenia „w tradycyjnie patriotycznym duchu i w zgodzie z konwencjami filmu wojennego”.

### Rzeczywistość i fikcja

Przypomnijmy więc, że film opowiada historię internowania w neutralnej Estonii we wrześniu 1939 roku okrętu podwodnego „Orzeł” i jego brawurowej ucieczki z Tallina. Zarazem jednak dotyczy poruszającej dla wielu widzów (szczególnie po doświadczeniach stalinizmu) kwestii ludzkiego bohaterstwa w sytuacjach wyjątkowych, patriotyzmu i wierności wyznawanym ideałom. Opowiada przy tym prawdziwą historię, chociaż już w początkowych scenach lektor wyraźnie zapowiada, że nie jest to „reportaż, który miałby ściśle pokrycie w faktach historycznych, jakkolwiek nasz okręt nazywa się »Orzeł« i jakkolwiek opowieść filmowa została częściowo oparta na jego rzeczywistych przygodach. I ludzie, których wam przedstawiamy, to portret załogi »Orla«. Nie należy w nich dopatrywać się postaci historycznych”.

Autorzy tych słów – zapewne scenarzyści: Leonard Buczkowski i Janusz Meissner – nie byli zresztą konsekwentni. Dysponując przy pisaniu scenariusza bezcennym źródłem, jakim był zachowany dziennik pokładowy dowódcy „Orla”, kpt. Jana Grudzińskiego, oraz korzystając z konsultacji jednego z najznakomitszych dowódców polskiej floty podwodnej z lat II wojny światowej, kmdr. Bolesława Romanowskiego, nie mogli się do końca zdecydować na taką, a nie inną formułę filmu. Z jednej bowiem strony z dużą pieczołowitością zadbali o realia, lecz z drugiej pozwolili sobie na daleko idące zmiany w stosunku do rzeczywiście rozgrywających się wydarzeń. Przede wszystkim – o co z rzeczywistych powodów trudno mieć do nich pretensje – w rolę „Orla” wcielił się jego bliźniak ORP „Sęp” (w czasie wojny wraz z załogą internowany w neutralnej Szwecji), także

► Andrzej Herder jako ppor. Morawski

Fot. FilMOTEKA NarodOWIA

zbudowany w drugiej połowie lat trzydziestych w stocznich holenderskich i włączony do służby w Marynarce Wojennej na początku 1939 roku.

Oba były dużymi jednostkami – zwanymi potocznie podwodnymi krążownikami – wyposażonymi w dwana-

ście wyrzutni torpedowych. Autorzy filmu zadbali również o wiele szczegółów, a główni bohaterowie – dowodzący „Orłem” kmdr ppor. Kozłowski (naprawdę Henryk Kłoczowski), świetnie zagrany przez Aleksandra Sewruka, oraz jego zastępca i następcą kpt. Grabiński (naprawdę Jan Grudziński), równie kapitalnie odtworzony przez Wieńczysława Glińskiego – noszą nieznacznie tylko zmienione nazwiska.

Zarazem twórcy wprowadzili niemający nic wspólnego z rzeczywistością, ale za to dość efektowny wątek niemieckiego statku handlowego „Schwerin”, z którym „Orzeł” jakoby miał się zetknąć w Tallinie. Prawo morskie stanowiło, że statek, a tym bardziej okręt wojenny strony biorącej udział w wojnie, może w neutralnym porcie przebywać tylko 24 godziny. Jeżeli zaś w tym samym czasie w tym samym porcie znajdują się statki czy okręty dwóch stron konfliktu, to między wypłynięciem w morze pierwszego z nich i drugiego musi minąć doba. Była tutaj więc pewna nielogiczność, sprzeczność czy wręcz pułapka, w którą wpadła załoga „Orla”, zawijającego do stolicy Estonii, aby odstawić na ląd ciężko chorego dowódcę. Wyjście w morze „Schwerina” postawiło polskich marynarzy w trudnym położeniu. Władze estońskie, działając pod silną presją niemiecką, zdecydowały się na internowanie okrętu podwodnego wraz z załogą. Tymczasem – zgodnie z faktami – polscy marynarze, mimo braku map i przyrządów nawigacyjnych zabranych przez estońskich żołnierzy, nocą zdecydowali się na brawurową ucieczkę z Tallina do Wielkiej Brytanii.

Twórcy filmu postanowili jednak kontynuować fikcyjny wątek „Schwerina”. Kilka dni po wypłynięciu z estońskiego portu załoga „Orla” w biały dzień dostrzegła na Bałtyku samotnie płynący niemiecki statek transportowy. Był to „dobry znajomy” z Tallina – „Schwerin”. Zmuszono niemiecką załogę do opuszczenia go, a na pokład przedostała



się grupa polskich marynarzy, którzy zabrali mapy i przyrządy nawigacyjne, a następnie podpalili niemiecki statek. Można się domyślać, że poszedł na dno. Być może jednak w tym wypadku – mając na uwadze zaprezentowane w filmie okoliczności zniszczenia „Schwerina” – można by przyjąć, że twórcy filmu pośrednio nawiązywali w ten sposób do zatopienia przez „Orla” 8 kwietnia 1940 roku w pobliżu wybrzeży Norwegii niemieckiego frachtowca „Rio de Janeiro”, wiozącego do Bergen ok. 400 żołnierzy wojsk inwazyjnych. Większość z nich zatонуła wraz z przewożonym sprzętem wojskowym. Niestety, kilka tygodni później w niejasnych okolicznościach na Morzu Północnym zatonął również „Orzeł”.

### Moskiewska nagroda

Wracając do filmu, warto podkreślić, że nawet w niedużych rolach wystąpiło wielu znakomitych aktorów. Poza wspomnianymi już wypada przypomnieć: Henryka Bąka, Ignacego Machowskiego, Jana Machulskiego, Stanisława Milskiego oraz zwłaszcza może Bronisława Pawlika w roli, popisującego się istic cyrkowymi sztuczkami, mata Roko-



Fot. FilMOTEKA Narodowa

▶ Próba internowania „Orla” w Tallinie

sza. Ciekawe, że chociaż w czołówce filmu nie pojawiają się ich nazwiska, w epizodach występują studenci szkół teatralnych, którzy w przyszłości zdobyli dużą popularność: Henryk Bista, Henryk Boukołowski, Józef Duriasz, Zygmunt Hübner, Jerzy Kamas, Janusz Kłosiński, Gustaw Lutkiewicz, Roman Wilhelmi oraz reżyser Stanisław Bareja. Znakomite kreacje Glińskiego, Pawlika i Sewruka zostały docenione i uhonorowane na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie w 1959 roku.

Na koniec jeszcze jedna uwaga o charakterze już nie filmowym. Od dawna bezskutecznie zastanawiam się nad tym, czy w czasach PRL – z wyjątkiem Marynarki Wojennej – w jakimkolwiek innym miejscu została zachowana tradycyjna nazwa państwa polskiego. Nie było przecież nigdy mowy o okrętach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – zawsze używano tradycyjnego skrótu ORP, czyli Okręt Rzeczypospolitej Polskiej. 🇵🇱

**prof. Jerzy Eisler** – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor wielu książek, m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu hiszpańskich. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



Fot. FilMOTEKA Narodowa

▶ Znakomity Wieńczysław Gliński jako kpt. Grabiński

# Orły „złotych huzarów”

Tomasz Zawistowski

Wiele jednostek 2. Korpusu Polskiego przyjęło historyczne nazwy i podtrzymywało ciągłość istnienia pułków Wojska Polskiego z lat międzywojennych. Jeden z nowo formowanych oddziałów pancernych odwołał się do tradycji znacznie starszej, przyjmując miano pułku wstawionego tryumfalnym wejściem 14 września 1812 roku, na czele Wielkiej Armii cesarza Napoleona I, w bramy Moskwy. Był to 10. Pułk Huzarów wchodzący w skład 14. Wielkopolskiej Brygady Pancerniej.

**P**ierwotny 10. Pułk Huzarów był jednostką kawalerii armii Księstwa Warszawskiego, zorganizowaną w 1809 roku w Wielkopolsce przez płk. Jana Nepomucena Umińskiego i toczącą swoje pierwsze walki z Prusakami latem tegoż roku. Na rozkaz cesarza został wybity medal upamiętniający wejście polskich huzarów do Moskwy. Historia oddziału dobiegła końca w roku 1813, kiedy to najpierw, w czerwcu, wykrwawione resztki pułku wcielono do bratniego 13. Pułku Huzarów jako niezbędne uzupełnienie, ostatecznie zaś, w listopadzie tegoż roku, połączone pułki huzarów kapitulowały wraz z francuską załogą Drezna.

Dwa pułki polskich huzarów w armii Napoleona, 10. i 13., odróżniały się od siebie nie tylko numerami, lecz także wyglądem mundurów. Charakterystyczne dla tej formacji pętle na mundurach, nawiązujące do jej węgierskiego rodowodu, w pułku 13. były

▶ Orzeł 10. Pułku Huzarów, wersja druga, wybijana matrycowo z mosiądzu i złożona

szamerowane srebrem, w 10. zaś – złotem. Dlatego też, dla odróżnienia, jeden z pułków nazywano srebrnym, a drugi złotym. „Złotych” właśnie huzarów postanowiono odtworzyć w roku 1944, a inicjatywa wyszła od gen. Bronisława Rakowskiego, miłośnika tradycji kawaleryjskiej ze szczególnym uwzględnieniem polskich wojsk epoki napoleońskiej. Na dowódcę pułku desygnowano mjr. Antoniego Smodlibowskiego z 1. Pułku Ułanów, a na jego zastępcę – rtm. Wiktora Zaniewskiego z Pułku Ułanów Karpackich.

Kadrę oficerską i zawiązki pułku, pochodzące z oddziałów 2. Brygady Pancerniej i z Pułku Ułanów Karpackich, skierowano w październiku 1944 roku do Bazy 2. Korpusu, od połowy grudnia zaś przenoszono do Lecce w pobliżu Tarentu. Tam też w listopadzie zaczęli napływać huzarzy, o których tak napisał dowódca 1. szwadronu, rtm. Jerzy Roszkowski: „Byli żołnierze Wehrmachtu, w 50% Ślązacy, Pomorzacy, trochę Poznaniaków i Białorusinów, którzy zostali wcieleni do wojska i organizacji roboczych, a zna-



Fot. ze zbiorów autora



Fot. IPMS

► Jeniec odpruwa koledze niemieckiego orla z munduru; zdjęcie wykonane w roku 1945 w jednym z obozów we Włoszech, po wydzieleniu ochotników do Polskich Sił Zbrojnych

laczego się w obozach jeńców, zgłosili się ochotniczo do W.P. Ślężacy i Pomorzacy byli starymi żołnierzami frontowymi i aczkolwiek młodzi (przeciętnie 25 lat), często żołnierzami pancernymi. Pod względem umysłowym i fizycznym byli dobrzy, o wysokim nastawieniu patriotycznym pod względem celów walki o wyzwolenie Polski”.

### Uzupełnienia zza linii frontu

Kwestia rekrutacji ochotników spośród wziętych do niewoli żołnierzy Wehrmachtu deklarujących narodowość polską była dyskutowana od początku roku 1943. Rząd brytyjski nie pochwalał tego pomysłu, nie chcąc powoływać do alianckich szeregów obywateli państwa, z którym Zjednoczone Królestwo pozostawało w stanie wojny. Rząd polski konsekwentnie ignorował to stanowisko i prowadził selekcję oraz szkolenie byłych jeńców. Pierwsze uzupełnienia dotarły do oddziałów 2. Korpusu Polskiego wiosną 1944 roku, a w 1945 ochotnicy z Wehrmachtu

mieli stać się najobfitszym źródłem kadr Polskich Sił Zbrojnych.

Porucznik Bohdan Tymieniecki, oficer Pułku 6. Pancernego „Dzieci Lwowskich”, zamieścił w swych kontrowersyjnych, lecz niezwykle barwnych wspomnieniach taką relację o przyjęciu Ślężaków – ochotników z elitarnej Dywizji „Hermann Göring” – do pułku, tuż po bitwie o rzekę Metauro:

„Przyszło uzupełnienie do pułku. [...]

– Panie poruczniku, oni wszyscy Ślężacy, słabo mówią po polsku, wszyscy z Africa Corps [właśc. *Deutsches Afrikakorps*]. Przeszkolono ich teraz w St. Basilio.

Przeszedłem przed frontem. Prezentowali się świetnie. Młodzi, wysocy, wyprostowani. Zacięte twarze, oczy nie mówiące. Jak automaty. Spytałem pierwszego:

– Nazwisko?

– Tomczak.

– Jaki oddział?

– Hermann Göring Panzer Divisione [właśc. *Panzerdivision Hermann Göring*; walczyła w Afryce, lecz nie ma szans, by we Włoszech dostała się do niewoli tak duża grupa weteranów kampanii afrykańskiej].

Mnie to wystarczyło. To był żołnierz najwyższej szkoły w świecie. [...] Do tego żołnierza śmiała mi się dusza.

Poszedłem do mesy. Po śniadaniu wezwano nas na odprawę. Chodziło o przydziały nowych uzupełnień. Nam brakowało w szwadronie czterech załóg i dwóch pierwszego uzupełnienia. Zażądałem sześciu załóg.

– Jak to, Niemców mam brać? – obruszył się Masztak – ja ich nie chcę. Oni służyli w armii niemieckiej, kto ich wie co za jedni. Może między nimi są Niemcy, co się podają za Polaków.

– Tak, tak – mruknął Cybruch – to na pewno Niemcy.

– Panie pułkowniku! Ja o ile można, to wymienię cztery załogi więcej za tych, jak ich kapitan Masztak nazywa »Niemców«. Mnie jest wszystko ►

► Major Antoni Smodlibowski, organizator i dowódca 10. Pułku Huzarów; na kołnierzu battledressu proporczyki błękitne ze złotymi pętlami huzarskimi

Fot. ze zbiorów autora



jedno, czy on kocha ojczyznę, czy nie kocha. Czy on jest Polak, Niemiec czy Włoch, chcę, żeby on się bił tak, jak ja chcę. A ten żołnierz chodzić mi będzie w palcach jak pałeczki w rękach dobsza szkockiej kapeli”.

Trzeba przyznać, że rekrutacja Polaków z Wehrmachtu była wygodnym sposobem pozyskania przeszkolonych ludzi znających już dobrze wojenne rzemiosło. Konieczne było jedynie zapoznanie ich z brytyjskim sprzętem i obowiązującymi regulaminami. Ocena stopnia zdyscyplinowania tych żołnierzy wielokrotnie pojawia się we wspomnieniach spisanych przez ich kolegów – niekiedy używano nawet określenia: „efekt przesadnego prania mózgu”. Nie wszyscy polscy dowódcy prezentowali tak entuzjastyczne podejście jak por. Tymieniecki, sito weryfikacji ochotników przepuszczało bowiem niekiedy plewy wśród ziarna. Relatywnie niewielka liczba byłych żołnierzy Wehrmachtu zdezerterowała na niedawno opuszczoną stronę *feldgrau*, niemniej wielu stwarzało problemy innego typu. Lata służby w niemieckim mundurze pozostawiły w umysłach niektórych żołnierzy zarówno elementy indoktrynacji polityczno-rasowej, jak i skłonność

do zachowań o charakterze kryminalnym. Doskonała opinia, jaką cieszyli się we Włoszech żołnierze 2. Korpusu, i chwalebnie niskie statystyki kar za przestępstwa kryminalne uległy pogorszeniu na skutek prześlizgnięcia się przez sito selekcji osobników zdemoralizowanych. Trudno jednak obarczać dzisiaj ogół ochotników z Wehrmachtu winą za czyny jednostek.

### Huzarskie pętle i orły

Najbardziej charakterystycznym elementem sylwetki dziewiętnastowiecznego huzara były pętle zdobiące gors jego kurtki mundurowej. W 10. pułku – jak już wspomniano – szamerowano je barwą złotą. W roku 1944 postanowiono pętle zachować, w formie rzecz jasna nieco skromniejszej, dostosowanej do wyglądu munduru wojskowego połowy XX wieku. Oznaką „złotych” huzarów miały być noszone na kołnierzach błękitne proporczyki z umieszczonymi na nich złotymi pętlami oraz takiegoż koloru pętle noszone na beretach. Złote miały być ponadto orły do czapek, a także guziki oficerskich kurtek i płaszczy wyjściowych oraz dystynkcje. Pomysłodawcą oznak był organizator i dowódca pułku, mjr Antoni Smodlibowski, oficer, który przy-

wiązywał ogromną wagę do prezencji swoich huzarów. Z jednej strony zainicjował wprowadzenie elementów umundurowania niespotykanych poza jego pułkiem, z drugiej zaś zwracał uwagę na respektowanie obowiązujących w nim przepisów. Piętnował m.in. używanie niejednorodnych orłów i oznak stopni, na co w większości 2. Korpusu nie zwracano w ogóle uwagi. Pojawienie się huzara bez orła bądź pętli na berecie było uznawane za niedopuszczalne. Wszystkie metalowe elementy na mundurze musiały być wypolerowane do połysku.

W monografii 10. Pułku Huzarów została opublikowana pochodząca od mjr. Smodlibowskiego informacja o tym, że osobiście zamówił on w Rzymie w 1944 roku pierwszą serię orłów przeznaczonych dla 10. Pułku Huzarów. Orły zostały odlane z mosiądzu i pokryte złotem, identycznie jak wykonane w tej samej firmie pętle huzarskie. Jeszcze w trakcie formowania pułku okazało się, że orłów jest zbyt mało (przypuszczać można, że przygotowano około pięciuset sztuk), co spowodowało konieczność zamówienia kolejnej partii. Druga seria orłów dla huzarów została wybita z blachy mosiężnej i również pozłożona. Nie jest znana dokładna data zamówienia drugiej serii, niemniej zdjęcia archiwalne pozwalają przypuszczać, że stało się to nie później niż w maju 1945 roku. Charakterystyczną cechą orłów obu serii było mocowanie dwiema pionowo umieszczonymi omegami. W taki sam sposób zresztą mocowano inne oznaki noszone w pułku huzarów.

Analiza zdjęć z epoki wykazuje, że w 10. Pułku Huzarów noszono rzeczywiście wyłącznie małe orły metalowe – nie spotyka się godeł wz. 39 ani haftowanych.

Pułkownik Bohdan Mincer utrzymywał w późniejszej korespondencji, że „w bardzo licznych wypadkach żołnierze 10-go Huzarów nie nosili specjalnego orła (pomimo że taki był), ale zwykłego orła »fasowanego« wykonanego z mosiądzu, którego dopó-

ty czyścili, dopóki nie zesła powłoka srebrna lub oksydowana i orzeł nie stał się »złotym«. Pewne jest to, że cienka warstwa pozłoty zniknęła i z orłów zamówionych specjalnie dla pułku w Rzymie, wobec czego huzarzy polerowali je bez końca, aż do zatraty szczegółów rysunku.

### Z Włoch do Egiptu i z powrotem

Formowanie pułku było okresem burzliwym. Ochotnicy napływali przede wszystkim z obozu przejściowego Bazy 2. Korpusu zlokalizowanego w miejscowości Jolanta. W kronice oddziału zapisano: „W Jolancie wrzała praca jak w ulu. Trzeba było te przybawające codziennie setki prze-

de wszystkim odwszawić, przebrać no i odkarmić trochę. Cuda się tam działy w tym obozie. Ktoś nagle swego ojca spotkał, ktoś brata, inny syna. Bywały też wypadki, że ktoś kogoś spotkał, co się u Niemców Polski wypierał. Z takim załatwiono się szybko i tylko sterzące skały mogłyby coś na ten temat powiedzieć. Po kilku dniach następował tzw. »przetarg«, na którym decydowano, kto jakie barwy pułkowe będzie nosił. To też nic dziwnego, że na ten przetarg stawał każdy wygolony, wyczyszczony i z wysoko zadartą głową, aby się sprzedać jak najdrożej.



► Huzar ze złotym orłem i pętlą huzarską na berecie

Ideąłem było się dostać do 10 Pułku Huzarów, to też każdy ochotnik musiał wytrzymać długie i badawcze spojrzenie pułkownika, który każdego przez okulary oglądał i przeprowadzał selekcję [pisownia oryginalna].”

Sformowany we Włoszech 10. Pułk Huzarów, liczący 570 oficerów i szeregowych, został w styczniu 1945 roku przetransportowany do Egiptu, aby odbyć szkolenie pancerne w Royal Armoured School w Heliopolis pod

Kairem. Po wstępnym przeszkoleniu specjalistów pułk został skierowany na ćwiczenia pod El Alamein, gdzie cele poligonowe stanowiły wraki czołgów, stojące na sławnym pobojuwisku od 1942 roku.

W tym czasie zakończyła się wojna w Europie. Przeszkoleni „złoci” huzarzy wrócili jesienią do południowych Włoch, lecz w walce nie mieli już wziąć udziału.

Egipt, w porównaniu z wyniszczonymi wojną Włochami, obfitował we wszelkie dobra. Żołnierze 2. Korpusu podróżujący między Egiptem bądź Palestyną a Europą przewozili szeroki wachlarz towarów, ale najbardziej rozpowszechnionym wśród nich było złoto. Różnica kursu kruszcu była ponad czterokrotna; złoty suweren, zwany przez Polaków kasztanem na cześć umieszczonego na rewersie konia św. Jerzego, był wart na Środkowym Wschodzie 5 funtów, a we Włoszech – 22 funty. Przewóz monet był zakazany, wobec czego niektórzy spośród huzarów zamawiali w Egipcie orły i pętle odlewane ze złota. Taka „lekka kontrabanda” była dość dochodowa jak na portfel szeregowego, a w praktyce nie do wykrycia przez służby brytyjskie. Legenda o złotych orłach jest tak mocno zakorzeniona, że wielu kolekcjonerów po dziś dzień z nadzieją ogląda każdego huzarskiego orła pod lupą i waży go czujnie w dłoniach. 🇵🇱

**Tomasz Zawistowski** – autor pięciu tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1946*

# Wojsko Polskie kontra Wehrmacht

Michał Mackiewicz

**We wrześniu 1939 roku Wojsko Polskie nie miało najmniejszych szans na skuteczne przeciwstawienie się Wehrmachtowi. Wbrew utartym stereotypom, nie wynikało to z rzekomego zacofania armii, która w latach trzydziestych przeszła przecież istotny proces modernizacyjny i prezentowała niezły europejski poziom. Po prostu nasycenie nowoczesnymi środkami walki było u Niemców nieporównanie większe. No i mieli blitzkrieg...**

**C**zynnikami decydującymi okazały się nowoczesna doktryna wojenna, doskonała logistyka oraz perfekcyjna koordynacja działań rozmaitych kategorii broni. Niemiecy teoretycy opracowali rewolucyjną strategię, którą armia umiejętnie zastosowała w praktyce. Najbardziej spektakularne sukcesy odniosły formacje pancerne i lotnictwo, ale trzonem sił zbrojnych obu armii pozostawały dywizje piechoty.

## Pułki i bataliony

Szeregowi żołnierze byli uzbrojeni w zasadzie identycznie – w karabiny i karabinki Mausera oparte na doskonałym, sprawdzonym systemie 98. Każdy piechur miał na pasie głównym parę trójkomorowych ładownic – Niemiec z sześćdziesięcioma, a polski żołnierz z dziewięćdziesięcioma nabojami kal. 7,92 mm. Tak więc o wartości bojowej decydowało indywidualne wyszkolenie piechura, przede wszystkim strzeleckie; warto dodać, że w WP stało ono na bardzo wysokim poziomie. Niemniej straty pochodzące od ognia broni indywidualnej stanowiły nieznaczny procent – o sile pododdziałów decydowały karabiny maszynowe oraz artyleria; tutaj niemiecka przewaga była wi-

doczna już na szczeblu batalionu. Nasz batalion liniowy z dywizji piechoty na stopie wojennej, liczący ok. 940 żołnierzy i oficerów, posiadał: 27 erkaemów Browning wz. 28, 12 cekaemów Browning wz. 30, 9 granatników wz. 36 kal. 46 mm, 2 moździerz Stokces-Brandt wz. 31 kal. 81 mm i 9 karabinów przeciwpancernych wz. 35 kal. 7,92 mm. Wszystkie wymienione typy uzbrojenia produkowano w Polsce. Były to konstrukcje solidne, nieodlagające od europejskich standardów, a nawet pod pewnymi względami przewyższające je (np. granatnik wz. 36). Batalion niemiecki, nieco mniejszy od polskiego i liczący 820 żołnierzy i oficerów, dysponował zbliżoną liczbą karabinów maszynowych i granatników, ale miał więcej moździerzy kal. 81 mm – 6. Dużym atutem wro-

ga była broń maszynowa – karabiny MG 34 – pierwsze uniwersalne kamey, mogące spełniać funkcję lekkich (dwójnog) i ciężkich (trójnożna podstawa o doskonałej stabilizacji). Zasilanie z nabojujowej taśmy na 250 nabojujów lub magazynka siedemdziesięciopięcionabojujowego zapewniało niemieckiemu MG 34 przewagę nad polskim browniingiem wz. 28, który był dostosowany do pudełkowego magazynka mieszczącego zaledwie 20 nabojujów.

Gdy porównujemy coraz wyższe szczeble organizacyjne, przewaga Niemców staje się jeszcze wyraźniejsza. Polski pułk piechoty, liczący ok. 3,2 tys. żołnierzy i oficerów, dysponował 125 erkaemami i cekaemami, 27 granatnikami, 6 moździerzami, 29 karabinami przeciwpancernymi, 9 armatami przeciwpancernymi wz. 36 kal. 37 mm i 2 armatami polowymi wz. 02/26 kal. 75 mm. Polskie pepance, czyli licencyjne szwedzkie boforsy, miały w momencie wybuchu wojny znakomite parametry i okazały się bez wāt-



pienia jednym z najefektywniejszych rodzajów broni, zdolnych do zwalczania właściwie wszystkich pojazdów pancernych wroga. Było ich niestety tylko ok. 1,2 tys., zbyt mało, biorąc pod uwagę obronną strategię i zdecydowaną przewagę Niemców w broni pancernej. Natomiast armata wz. 02/26 to słynna eksrosyjska, szybkostrzelna *putiłówka* z okresu I wojny światowej, którą w latach dwudziestych zmodernizowano w Zakładach Starachowickich, zmieniając kaliber z 76 na standardowy u nas 75 mm. Armaty te zwano w Polsce popularnie prawosławnymi.

Niemiecki, także trzybatalionowy pułk piechoty liczył 3049 żołnierzy i oficerów i był wyposażony w 137 erkaemów i cekaemów, 27 granatników, 18 moździerzy oraz 8 dział piechoty – 6 lekkich kal. 75 mm i 2 ciężkie kal. 150 mm; zwłaszcza to drugie, strzelające pociskiem o masie 38 kg, nie miało pod względem kalibru odpowiednika w żadnej innej armii. Działa te dawały niemieckiemu pułkowi znaczną przewagę ogniową i pozwalały na wykonywanie samodzielnych zadań, bez potrzeby wzywania wsparcia w postaci artylerii dywizyjnej. Ponadto w kompanii przeciwpancernej, całkowicie zresztą zmotoryzowanej, znajdowało się 12 armat przeciwpancernych Pak 36 kal. 37 mm.



Fot. Michał Mackiewicz

► Polska dalekonośna „stopiątka” wyprodukowana w Starachowicach; ta jedyna na świecie tak doskonale zachowana armata wz. 29 znajduje się w kolekcji petersburskiego Muzeum Artylerii, Wojsk Inżynieryjnych i Łączności

### Działa, czołgi, samoloty

Dywizje zarówno polska, jak i niemiecka miały w swoim składzie organiczny pułk artylerii. Nasz pułk artylerii lekkiej liczył 24 armaty wz. 97 kal. 75 mm i 12 haubic wz. 14/19 kal. 100 mm. Armata polowa wz. 97, będąca ongiś konstrukcją rewolucyjną (pierwszy udany oporopowrotnik hydrauliczno-pneumatyczny), wciąż była bronią efektywną, służącą zarówno do wspierania piechoty, jak i – w wielu przypadkach – do zwalczania czołgów (ogień na wprost). Dodatkowe wsparcie zapewniał dywizjon artylerii ciężkiej, dysponujący 3 armatami wz. 13 lub wz. 29 kal. 105 mm oraz 3 haubicami wz. 17 kal. 155 mm. Niemcy z kolei zdecydowali się zastąpić armaty w całości haubicami, sądząc, jak się okazało słusznie, że będą przydatniejsze w ataku. W pułku było 36 lekkich haubic kal. 105 mm i 12 ciężkich haubic kal. 150 mm.

Podsumowując: przewidywany na rok 1939 etat wojenny polskiej dywizji piechoty (numery od 1 do 30) przewidywał 515 oficerów, 15 977 podoficerów i szeregowców, 92 karabiny przeciwpancerne, około 460 kaemów (ckm i rkm), 81 granatników, 20 moździerzy, 27 działek przeciwpancernych, 4 działka przeciwlotnicze (plot) kal. 40 mm

(o ciągu motorowym), 30 armat kal. 75 mm i 12 haubic kal. 100 mm (lub 18 „siedemdziesiątek piątek” i 24 „setki”), 3 armaty kal. 105 mm i 3 haubice kal. 155 mm. Niektóre dywizje otrzymały dodatkowo kompanie czołgów rozpoznawczych, liczące trzynaście tankietek. Z kolei niemiecka dywizja tzw. pierwszej fali liczyła ok. 17 tys. ludzi i miała 516 karabinów maszynowych (głównie uniwersalne MG 34), 90 rusznic ppanc., 93 granatniki 50 mm, 54 moździerze 81 mm, 12 działek plot kal. 20 mm, 75 armat przeciwpancernych kal. 37 mm, 20 armat kal. 75 mm, sześć armat kal. 150 mm, 36 haubic kal. 105 mm, 12 haubic kal. 150 mm. Atutem niemieckiej dywizji była znaczna, w porównaniu z polską, mechanizacja. Otóż dysponowała ona w przybliżeniu tysiącem samochodów i ponad 500 motocyklami, mając jednocześnie ponad 5 tys. koni. Niezwykle istotne okazało się zmotoryzowanie licznej broni przeciwpancernej (armaty 37 mm), którą można było szybko przerzucać na zagrożone odcinki. Takie nasycenie pancernymi stwarzało poważny problem dla lekkich polskich wozów bojowych. W naszej dywizji z kolei było prawie 7 tys. koni i mniej niż 100 samochodów, co oczywiście znacznie ograni-



Fot. Michał Mackiewicz

► Niemiecka lekka haubica kal. 105 mm; znaczna przewaga w artylerii, zwłaszcza stromotorowej, i możliwość szybkiej koncentracji ognia na wybranych odcinkach frontu były jednym z głównych atutów Wehrmachtu w wojnie z Polską; eksponat ze zbiorów holenderskiego Muzeum Wojny w Overloon



Fot. Michał Mackiewicz

czało jej wartość bojową, zwłaszcza wobec wojny manewrowej, jaką narzucili nam Niemcy.

Przewaga niemiecka w broni pancernej i lotnictwie była bezdyskusyjna. Wehrmacht rzucił do walki siedem dywizji pancernych, w tym dwie tzw. lekkie – w sumie ok. 2,6 tys. czołgów (nie licząc samochodów pancernych). Co prawda *gros* wozów stanowiły tankietki PzKpfw I oraz lekkie PzKpfw II, lecz rozczłonkowana, rozmieszczona na całej linii frontu polska broń pancerna nie była w stanie toczyć równorzędnej walki z potężnymi, jak na warunki 1939 roku, klinami pancernymi. To właśnie zmasowanie – koncentracja związków szybkich, pancernych na najważniejszych kierunkach uderzeń – zapewniło Niemcom sukces już w pierwszych dniach wojny. Liczebność naszej broni pancernej nie była teoretycznie zła, dysponowaliśmy mniej więcej ośmiuset wozami bojowymi, jednak-

że tylko około dwustu maszyn – czołgi lekkie – można uznać za w pełni wartościowe; tymczasem Niemcy mieli ponad dwukrotnie więcej samych czołgów średnich i ciężkich. Najnowocześniejszym wozem bojowym Wojska Polskiego był czołg 7TP, wzorowany na brytyjskim Vickersie E i wyposażony przez nas (jako jeden z pierwszych na świecie wozów bojowych) w wysokoprężny silnik oraz licencyjne działo przeciwpancerne kal. 37 mm Bofors. Dwa bataliony 7TP, przydzielone do armii „Prusy”, zmarnowały w większości jednak swój potencjał, nie odnosząc znaczących sukcesów. Trzeci batalion, wyposażony we francuskie Renault R-35, nie wziął w zasadzie udziału w walce.



Fot. Michał Mackiewicz

► PZL P.11c z krakowskiego Muzeum Lotnictwa, nasz podstawowy myśliwiec w 1939 roku; krakowska „11” jest jedyną zachowaną na świecie; we wrześniu 1939 roku samolot należał do 121. Eskadry Myśliwskiej, działającej w ramach Armii „Kraków”

Stosunkowo efektywnym pojazdem okazał się także czołg rozpoznawczy TKS, uzbrojony w najcięższy karabin maszynowy kal. 20 mm, jednak zaledwie nieco ponad dwadzieścia takich pojazdów, do tego przydzielonych do różnych formacji, nie mogło w żaden sposób wpłynąć na obraz walki – nawet na szczeblu taktycznym.

### *Nec Hercules contra... blitzkrieg*

Szybkie postępy Wehrmachtu na lądzie były możliwe także dzięki całkowitemu niemalże panowaniu w powietrzu Luftwaffe. Niemcy rzucili przeciwko Polsce ponad 2,4 tys. samolotów, którym mogliśmy przeciwstawić ok. pięciuset własnych maszyn (tylko trzysta przedstawiało realną siłę bojową). Rewelacyjne w pierwszej połowie lat trzydziestych samoloty myśliwskie PZL P.11 były w chwili wybuchu wojny przestarzałe i nie mogły skutecznie przeciwdziałać liczniejszemu maszynom wroga. Zwłaszcza że było ich ledwie nieco ponad sto w linii. Tym bardziej to przykre, że program budowy następcy „jedenastki” został częściowo zarzucony i nie zdążono już tych prac nadrobić. Królem walki manewrowej był w owym czasie niemiecki Messerschmitt Bf 109, a spustoszenie w naszych szeregach czynił bombowiec nurkujący Ju 87 Stuka, sposobny do precyzyjnych, punktowych ataków. Najgroźniejszym przeciwnikiem

► Niemiecki PzKpfw I; choć doskonale wpisywał się w koncepcję blitzkriegu, jego parametry pozostawiały wiele do życzenia, miał cienki pancerz i słabe uzbrojenie – dwa karabiny maszynowe; egzemplarz ze zbiorów szwedzkiego Muzeum Broni Pancernej Arsenalen



dla niemieckich samolotów była polska obrona przeciwlotnicza – zwłaszcza armaty wz. 36 kal. 40 mm i wz. 38 kal. 75 mm. Te pierwsze, produkowane na licencji Boforsa, okazały się znakomitą, szybkostrzelną bronią (zwano je zenitówkami); znajdowały się na uzbrojeniu m.in. dywizji piechoty. Z kolei „siedemdziesiątkapiątka” została opracowana w Polsce, a produkowały ją zakłady w Starachowicach. Odnaczała się doskonałymi osiągnięciami balistycznymi i kilkoma oryginalnymi rozwiązaniami (wykorzystanie całej masy działa do stabilizacji w czasie strzelania). Choć efektywne, nasze armaty przeciwlotnicze były nieliczne. Boforsów mieliśmy ok. 350, natomiast „75” – ledwie ponad 50. Mimo że artyleria plot odpowiadała za największą liczbę zestrzeleń, nie mogła zapobiec dezorganizacji polskiego zaplecza i linii zaopatrzeniowych, co okazało się niezwykle istotnym czynnikiem, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę niewielką ilość amunicji artyleryjskiej i materiałów pędnych znajdujących się w jednostkach. Problem z ich uzupełnieniem powodował bardzo szybki spadek wartości bojowej naszych oddziałów.

Absolutnie nieporównywalny był potencjał wrogich flot, chociaż w dwudziestoleciu Polska przeznaczyła na Marynarkę Wojenną niemałe pieniądze. Okręty – całkiem nowoczesne – budowaliśmy jednak w zagranicznych stocznicach, bo nasz przemysł w tej dziedzinie dopiero raczkował. Takie rozwiązanie było uzasadnione, bo pierwotnie zakładano, że głównym naszym przeciwnikiem będzie Zwią-

► Polski czołg rozpoznawczy TKS uzbrojony w karabin maszynowy wz. 25 Hotchkiss kal. 7,92 mm; wozy tego typu stanowiły podstawę arsenału naszej broni pancernej; eksponat ze zbiorów MWP w Warszawie



Fot. Michał Mackiewicz

► Niemiecki messerschmitt Bf 109, jeden z najlepszych samolotów myśliwskich początkowego okresu II wojny światowej; nasze lecące PZL P.11 nie mogły się z nim równać osiągnięciom; eksponat Muzeum Lotnictwa w Gatow

zek Radziecki, a nasz kraj będzie z nim walczył w ścisłym współdziałaniu z sojusznikami (otrzymując dostawy sprzętu wojennego drogą morską). Tak czy inaczej, niemieckiej przewagi w żadnym wypadku nie mieliśmy szans zniwelować.

77 lat temu przyszło nam walczyć w skrajnie niekorzystnych warunkach, i to przeciwko dwóm agresorom. Byliśmy pierwszym krajem, który doświadczył na sobie nowej, wysoce efektywnej doktryny wojennej – blitzkriegu. Jak się miało niebawem okazać, nikt przez długi czas nie potrafił znaleźć

odpowiedniego sposobu na Niemców. W dwudziestoleciu nie ustrześliśmy się błędów, i to zarówno w planowaniu operacyjnym, jak i polityce zbrojeniowej (*vide* lotnictwo), ale nawet gdyby ich nie popełniono, obraz wojny w 1939 roku nie uległby istotnej zmianie. Na początku II wojny światowej niemiecki Wehrmacht był po prostu nie do pokonania. ■

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Fot. MWP

# Dwa brzegi – jeden przyczółek

Sylvia i Andrzej Szafrąscy



W Kazimierzu kończy się festiwal „Dwa Brzegi”. Deszcz leje, ale jak to w sezonie, na ciasnych uliczkach miasteczka tłumy. Trudno sobie wyobrazić, że okolica tętniąca dziś życiem i tak chętnie odwiedzana przez turystów jest świadkiem krwawej historii sprzed kilkudziesięciu lat.

Fot. Sylvia Szafrąska

**T**ym razem ze względu na pogodę ludzi i tak trochę mniej niż rok temu – przekonuje Krzysztof Findziński, autor wystawy „Przyczółek – береговой плацдарм – Landekopf 2016. Janowiec 1944–1945”. Z Findzińskim jedziemy z Kazimierza Dolnego przez Puławy do Janowca. Po drodze mijamy Parchackie Góry, gdzie podczas walk o przyczółek janowiecko-puławski mieścił się sowiecki szpital wojskowy, zbombardowany przez Niemców. Już za Wisłą wylaniają się wsie, w których autor wystawy spotykał się z ludźmi pamiętającymi krwawe zmagania z czasów II wojny światowej.

Wspomnienia tych osób układają się w chronologiczny ciąg wydarzeń. Przybycie żołnierzy Wehrmachtu, początek budowy umocnień, wysiedlenie części mieszkańców. Potem ogień dział, krycie się po piwnicach i ziemiankach, walki piechoty, pierwsze spotkania z czerwonoarmistami. – Te wydarzenia pozostają wciąż żywe w ich pamięci, stąd tak duże zainteresowanie miejscowej ludności wystawą. Spisujemy ich relacje, część z nich została zamieszczona na planszach, znajdują się również w katalogu – tłumaczy w trakcie jazdy pan Krzysztof.

Zapytany, jak mu się udało dotrzeć do świadków, jak to wszystko się za-

częło, odpowiada z uśmiechem: – Różnie. Jeden prawie wjechał we mnie traktorem, kiedy z wykrywaczem metalu chodziłem po polu.

Dojeżdżamy do Janowca. Niedaleko zamku – miejsca walk i centralnego punktu przyczółka – stoją drewniany osiemnastowieczny dwór przeniesiony ze wsi Moniaki oraz dziewiętnastowieczna Stodoła z Wylągów, w której odbywają się koncerty i spektakle teatralne, a do 13 listopada można oglądać instalację autorstwa Krzysztofa Findzińskiego. Tu dołącza do nas Filip Jaroszyński, kustosz Muzeum Nadwiślańskiego.

## Stodoła z łodzi desantowej

Razem oglądaliśmy ekspozycję. W czerwonych skrzyniach wypełnionych nadwiślańskim piaskiem leżą m.in. hełmy podziurawione kulami i odłamkami. Są łuski po nabojach, porzuczone bagnety, powyginane w dziwaczne kształty pociski dział i katusze. Obok tych typowo wojskowych elementów znajdują się przedmioty codziennego użytku: puszki po norweskich rybach, menażki, łyżki, butelki po alkoholu, są nawet tuba pasty do zębów i środek na insekty. Te przedmioty z okresu wojny przekazali mieszkańcy Janowca i okolic. Są też eksponaty, jak np. fragment gąsienicy czołgowej z widocznym uszkodzeniem po najechnaniu na minę, pochodząca ze zbiorów autora wystawy. W centralnym punkcie znajduje się polatana łódź desantowa, wykonana ze sklejki i drewna. Zachowała się, bo rozebrana – z braku innego budulca – przez lata była elementem wzniesionej tuż po wojnie gospodarskiej stodoły. Innym darem są stare drewniane drzwi z framugą, z domu uszkodzonego przez czołg. W prawym rogu stodoły mieszczącej wystawę stoją zabytkowe kościelne ławki, w których pewnie niejeden mieszkaniec Janowca modlił



Fot. Andrzej Michalik

▶ Wernisaż wystawy; przed stodołą, w której mieści się ekspozycja, autor – Krzysztof Findziński – opowiada zebranim gościom o wydarzeniach, które rozegrały się w Janowcu w latach 1944–1945

się o zdrowie i życie dla siebie i bliskich w tych ciężkich czasach.

Do więźby dachowej podwieszono duże portrety poległych żołnierzy ra-

dzieckich, niemieckich i ich rówieśników z Janowca. Są również fotografie żyjących świadków ówczesnych wydarzeń. Niektórych już od dawna nie ma wśród nas, inni dzisiaj mogli się podzielić swą historią. Wśród portretów znajduje się również zdjęcie ostatniego właściciela zamku w Janowcu. – Jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku zamek należał do prywatnej osoby, inżyniera Leona Kozłowskiego – opowiada Filip Jaroszyński. – Kozłowski kupił go w 1931 roku. Po wojnie okazało się, że zamek wraz z parkiem mają zbyt małą powierzchnię, by zostać przejęte przez władze w ramach reformy rolnej. Dlatego był to jedyny prywatny zamek w komunistycznej Polsce. Dopiero w 1975 roku skarb państwa odkupił zamek od Kozłowskiego z przeznaczeniem na muzeum – dodaje kustosz.

### Zachęta do badań

Trzyjęzyczny tytuł wystawy podkreśla uniwersalne przesłanie, że wojna jest ▶

W okolicy Kazimierza Dolnego, znajdującego się od września 1939 roku pod okupacją niemiecką, ofensywa sowiecka dotarła 27 lipca 1944 roku. Dzień później pierwsze oddziały sowieckiej 69. Armii 1. Frontu Białoruskiego sforsowały Wisłę. Początkowo Sowiecom udało się uchwycić trzy niewielkie przyczółki na zachodnim brzegu rzeki. W toku kolejnych walk, prowadzonych do 28 sierpnia, jeden z przyczółków został utracony, a dwa pozostałe połączone w jeden o głębokości ok. 10 km i długości 25–30 km. Kolejne 4,5 miesiąca zmagania to swoista wojna pozycyjna, podczas której jedna strona się umacniała, a druga „rozpoznawała walkę”, ale przede wszystkim powiększała swe siły, przygotowując się do generalnego ataku. Na przyczółku, naprzeciw linii zajętych przez Sowiec, Niemcy wybudowali umocnienia składające się z pięciu do siedmiu linii okopów, z bunkrami ziemno-drewnianymi i betonowymi, stanowiskami dla ciężkich karabinów maszynowych, dział i czołgów. Przedpole zostało zaminowane i zabezpieczone zasiekami z drutu kolczastego. Dopiero 14 stycznia 1945 roku, w ramach wielkiej operacji wiślańsko-odrzańskiej, z przyczółka janowiecko-puławskiego wyszło natarcie Armii Czerwonej, które skierowało się na Radom, a potem Łódź i Kalisz. Straty Armii Czerwonej podczas walk o przyczółek szacuje się na 3 tys., straty niemieckie zaś – na kilkuset żołnierzy.

Fot. Andrzej Michalik



Fot. Sylwia Szafrąńska

► Na pierwszym planie fragment łodzi desantowej, do więźby dachowej zostały podwieszane portrety poległych Rosjan, mieszkańców Janowca i żołnierzy niemieckich



Fot. Sylwia Szafrąńska

► Instalacja wewnątrz dziewiętnastowiecznej stodoły; na czerwonym tle wybijają się artefakty: helmy, bagnety, a także przedmioty codziennego użytku

Fot. Sylwia Szafrąńska



koszmarem dla wszystkich osób biorących w niej udział; dla walczących stron, ale przede wszystkim dla mieszkańców terenów, przez które toczy się jej walec.

Ta niewielka ekspozycja to jednak spory kawałek historii Janowca i okolic, wygrzebany dosłownie z ziemi i z pamięci, ocalony od zapomnienia. Skromna świeczka zapalona na postumencie pomaga się skupić, wyciszyć na chwilę. Instalacja ma, w zamyśle autora, przywrócić lokalną pamięć i zachęcić – zarówno miejscowych pasjonatów historii, jak i naukowców – do szerszych i bardziej pogłębionych badań. Jak mówi Krzysztof Findziński, wystawa jest początkiem.

Na koniec warto zwrócić uwagę, że jest to już druga, po instalacji „1914 – Lazaret pamięci. Ciemność. Dunkelheit. Mpak” (zob. „Pamięć.pl” nr 10/2014) wystawa tego artysty poświęcona trzem narodom biorącym udział w konfliktach zbrojnych na ziemiach polskich. 🇵🇱

Sylvia Szafrńska – grafik,  
pracownik Instytutu Pamięci  
Narodowej  
Andrzej Szafrński  
– dziennikarz



Fot. Sylvia Szafrńska

### INFORMACJE O WYSTAWIE

Tytuł: „Przyczółek – береговой плацдарм – Landekopf 2016. Janowiec 1944–1945”

Czas trwania: 23 lipca – 13 listopada 2016

Miejsce: Zamek w Janowcu, oddział Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym / Stodoła z Wylągów; ul. Lubelska 20, 24–123 Janowiec

Godziny otwarcia: 10:00–17:00 / codziennie

Autor wystawy: Krzysztof Findziński

Współpraca organizacyjna: Filip Jaroszyński (MNKD)

Oprawa graficzna: Marcin Koc

Wystawa została zorganizowana w ramach programu „Patriotyzm Jutra”, realizowanego przez Muzeum Historii Polski.

Wystawa powstała z pomocą i dzięki zaangażowaniu dyrekcji i pracowników Muzeum Nadwiślańskiego oraz lokalnych pasjonatów historii, zwłaszcza Leszka Kwaska – prezesa Towarzystwa Przyjaciół Janowca, Filipa Jaroszyńskiego – kustosa Muzeum Nadwiślańskiego, Marcina Kuźmy – kolekcjonera i znawcy najnowszych dziejów regionu oraz Antoniego Jakubowskiego – mieszkańca Oblas.



Fot. Sylvia Szafrńska

Walki na przyczółku janowiecko-puławskim są mniej znane od bojów na położonym na północ przyczółku waresko-magnuszewskim (m.in. bitwa pod Studziankami), ponieważ nie uczestniczyły w nich jednostki 1. Armii Wojska Polskiego. Wprawdzie oddziały tej armii – 1. i 2. Dywizja Piechoty – sforsowały Wisłę na północ od Janowca, między Dęblinem a Puławami, jednak nieprzygotowana i nieudolnie prowadzona operacja zakończyła się wycofaniem na prawy brzeg. Straty polskich oddziałów wyniosły 873 żołnierzy.

W kwietniu 1942 roku Niemcy zlikwidowali getto w Kazimierzu, gdzie przed wojną zamieszkiwało

SS. W egzekucji w Zwoleniu zginął m.in. Andrzej Gaciar, przedwojenny

# Odważne zaufanie

Andrzej Zawistowski

Krótko po stanie wojennym przyznanie się przed ankierem do popierania podziemia solidarnościowego wymagało sporej odwagi.



Centrum Badania Opinii Społecznej

**D**la każdej gazety, stacji telewizyjnej, portalu internetowego jednym z najciekawszych rodzajów newsów są wyniki badań opinii publicznej. Poczynając od preferencji wyborczych, przez opinie na tematy społeczne, po poziom wiedzy o wydarzeniach historycznych – każdy wynik sondażu jest powszechnie komentowany i analizowany. W PRL było nieco inaczej.

W Polsce Ludowej badania opinii publicznej znajdowały się pod specjalnym nadzorem władz, co nie dziwi w kraju wszechobecnej cenzury. Pierwsza pracownia tego typu powstała w 1958 roku i z czasem przybrała nazwę Ośrodka Badań Opinii Publicznej. OBOP pracował przede wszystkim na rzecz ówczesnych telewizji i radia. Władze, choć korzystały z jego pracy, często – zwłaszcza na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – podważały jego kompetencje. Dlatego też w czasie stanu wojennego, przy wsparciu

m.in. wicepremiera Mieczysława Rakowskiego i rzecznika rządu Jerzego Urbana, rząd powołał własną pracownię – Centrum Badań Opinii Społecznej. Na jej czele postawiono zaufanego gen. Wojciecha Jaruzelskiego – socjologa i oficera politycznego, płk. Stanisława Kwiatkowskiego. Po co władzy były sondaże? Przede wszystkim w dwóch celach: aby próbować przewidywać wzrost niezadowolenia społecznego i – co nie mniej ważne – aby przez odpowiednio dobrane wyniki manipulować społeczeństwem.

Opracowania i analizy OBOP, a przede wszystkim CBOS często jednak, zamiast na łamach gazet, lądowały na biurkach najwyższych przedstawicieli władzy, opatrzone gryfem „poufne”. Ich wyniki były zbyt niewygodne dla władz, a niekiedy wręcz niebezpieczne. Zamykano więc te raporty w teczkach i ustawiano na półkach archiwalnych. Miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Od tego numeru owe „za-



Fot. PAP/Grzegorz Rogiński

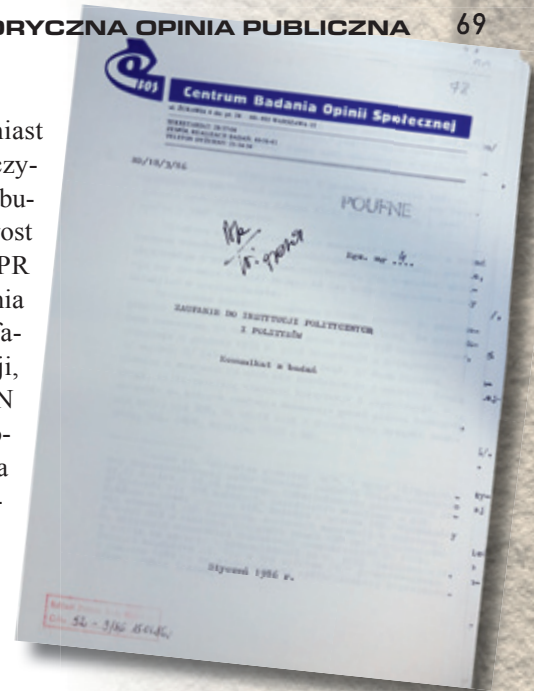
► Komunistów nie dziwiło wysokie zaufanie Polaków do Kościoła, a podobne wskaźniki w odniesieniu do wojska, rządu i Rady Państwa mogły ich wręcz cieszyć, jednak za niebezpieczne uznali dwudziestoprocentowe poparcie dla opozycji; na zdjęciu przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, premier Wojciech Jaruzelski, papież Jan Paweł II i prymas Polski Józef Glemp; Warszawa, 17 czerwca 1983 roku

legle” sondaże będzie publikować „Pamięć.pl”. Oczywiście do ich wyników – tak zresztą jak i do współczesnych – trzeba podchodzić ostrożnie. Od ankietowanego niemałej odwagi wymagało przyznanie się obcej osobie do niechęci wobec władzy czy popierania opozycji. I choć rzeczywistość dawno się zmieniła, wyniki sprzed lat wciąż wywołują zainteresowanie. Nie mniejsze niż badania współczesne.

Publikowane w tym numerze badania zostały przeprowadzone w 1985 roku – kolejnym roku „normalizacji” po stanie wojennym. Jeszcze rok wcześniej PRL – wbrew realiom – świętowała sukcesy swojego czterdziestolecia. Jednocześnie doszło do porwania przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki. W początkach 1985 roku odbył się ich błyskawiczny proces, starano się bowiem szybko wyciszyć sprawę. W październiku przeprowadzono wybory do jednej z najbardziej fasadowych ówczesnych instytucji – Sejmu PRL. Ważniejsze sprawy – także dla ówczesnej Polski – działy się jednak poza krajem. Wiosną 1985 roku doszło do pokoleniowej zmiany w Związku Sowieckim – w marcu zmarł Konstantin Czernienko (trzeci z rządu sekretarz generalny KC KPZR, który zmarł w trakcie pełnienia swojej funkcji), a zastąpił go młodszy o 20 lat Michaił Gorbaczow. Kilka miesięcy później spotkał się on z prezydentem USA Ronaldem Reaganem. Było to pierwsze spotkanie przywódców ZSRR i USA od sześciu lat.

Na pierwszy rzut oka sondaż z 1985 roku nie powinien niepokoić władz. Wysokie notowania rządu i wojska powinny wręcz cieszyć. Dlaczego więc trafił do zamknięte-

go archiwum zamiast na łamy prasy? Oczywiście niepokój wzbudził dość duży wzrost nieufności do PZPR i MO. Bez znaczenia było poparcie dla fasadowych instytucji, takich jak np. PRON czy sejm. Ich rzekome dobre notowania to rezultat zmasowanej propagandy. Największym zaufaniem Polaków cieszyły się Kościół katolicki oraz wojsko. Największą nieufnością zaś – opozycja. Dla władz nie miało jednak znaczenia, że ponad 40 proc. respondentów negatywnie się do niej odniosło. Wszak jasne było, że trzeba znacznej odwagi, by przyznać się do popierania podziemia zwalczanego przez organy represji PRL. I właśnie owe 20 proc. odważnego poparcia dla bezwzględnie niszczonej od czterech lat Solidarności naprawdę zaniepokoiło władzę. Tego nie można było ujawnić. ■



dr Andrzej Zawistowski – pracownik Biura Badań Historycznych IPN, adiunkt w Katedrze Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

### Czerwiec–grudzień 1985 roku: zaufanie do instytucji, organizacji i ugrupowań politycznych

	Zaufanie (w proc.)		Nieufność (w proc.)	
	czerwiec 1985	grudzień 1985	czerwiec 1985	grudzień 1985
wojsko	74,3	81,0	13,3	11,4
Kościół katolicki	80,0	80,3	8,1	9,6
sejm	79,1	79,3	8,1	9,3
rząd	75,5	77,1	12,9	13,2
Rada Państwa <sup>1</sup>	74,0	76,1	8,7	8,7
związki zawodowe <sup>2</sup>	61,9	58,3	16,7	23,1
Zjednoczone Stronnictwo Ludowe <sup>3</sup>	62,4	56,6	11,0	11,5
Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego <sup>4</sup>	58,2	53,3	16,7	22,1
Milicja Obywatelska	57,8	53,3	22,2	31,2
Polska Zjednoczona Partia Robotnicza	66,2	52,6	18,3	28,2
Stronnictwo Demokratyczne <sup>5</sup>	55,6	50,1	13,1	12,2
opozycja polityczna <sup>6</sup>	20,4	20,5	40,9	45,7

<sup>1</sup> W PRL pełniła funkcję zbiorowej głowy państwa; <sup>2</sup> związki zawodowe utworzone przez władze po delegalizacji Solidarności; <sup>3</sup> kontrolowana przez władze partia chłopska; <sup>4</sup> utworzona przez PZPR fasadowa organizacja popierająca stan wojenny i politykę Jaruzelskiego; <sup>5</sup> kontrolowana przez władze niewielka partia inteligencka; <sup>6</sup> pozostający w konspiracji szeroki ruch społeczny związany z Solidarnością. Badanie przeprowadziło Centrum Badań Opinii Społecznej na reprezentatywnej grupie 1479 dorosłych Polaków.

# Twarze ofiar totalitaryzmów

Żeby przemyśleć ludobójczą politykę nazistowskich Niemiec i sowieckiej Rosji, należy zdać sobie sprawę z tego, co zniszczono i kogo mordowano. Dlatego w repozytorium Zapisyterroru.pl nie zamieszczamy zdjęć sprawców, tylko twarze ofiar z okresu, kiedy nikt nie przetestował na nich polityki rasy panów i bolszewickiej sprawiedliwości – mówi **Magdalena Gawin**, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, inicjatorka utworzenia Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami, w rozmowie z Maciejem Foksem

**W rozmowie publikowanej kilka miesięcy temu na naszych łamach ówczesny wiceprezes IPN, dr Paweł Ukielski, zapowiadał powstanie platformy cyfrowej projektu „Zapisy terroru” na jesień. Udało się wcześniej, z mocnym uderzeniem.**

Udało się, choć było ciężko. Na początku nie było siedziby, potem sprzętu ani mebli. Do ośrodka przychodziło się z własnym kubkiem z kawą albo butelką wody mineralnej i własnym komputerem. Biurka były pożyczone, krzesła też. Na początku nie było dosłownie niczego. Te pionierskie czasy, szczerze powiedziawszy, jeszcze nie minęły, bo w ośrodku trwa remont. Tak naprawdę to pracownicy ośrodka – Anka Gutkowska, Karolina Błaszczuk, Wojtek Kozłowski, Ania Rutkowska, Kasia Homan i wiele innych osób – robili wszystko naraz: praca koncepcyjna, wypracowywanie standardów repozytorium, *research* w archiwach, rekrutowanie i szkolenie ludzi, kalendarz zadań, spotkania, omawianie kampanii informacyjnej, negocjowanie z mediami. Ale ci młodzi mieli zapał, wiedzieli, że robią coś ważnego i trwałego. Dzięki temu repozytorium mogło ruszyć już 5 sierpnia, w 72. rocznicę ludobójstwa na warszawskiej Woli. Wszystkim pracownikom jestem bardzo wdzięczna. Nie mogę nie wspomnieć o Łukaszu Michalskim, który był dobrym duchem przedsięwzięcia i pomagał we wszystkim.

## Ile stron pracownicy musieli przejrzeć, żeby wyselekcjonować świadectwa?

Dwadzieścia tysięcy stron na dobry początek. Strona po stronie przeglądali akta poszczególnych procesów przed Główną Komisją Badania Zbrodni Niemieckich/Hitlerowskich w Polsce. Potem czytanie, przepisywanie, porównywanie powtórzeń, praca z tłumaczeniami, tagowanie, żmudna praca z informatykami. Dzięki temu świadectwa są dostępne w internecie i czyta się je łatwo. Pod koniec listopada pierwsze pięćset świadectw będzie już w wersji angielskiej. Dojdą strona i tagi po angielsku.

## Co sprawiło problem?

Tuż po wojnie prawie nie było maszyn do pisania, pisano więc ręcznie. Proszę zajrzeć, jak napisane

są niektóre zeznania. Ostrzegałam, że będzie jeszcze gorzej, bo na prowincji nie było nawet dobrego papieru i spisywano zeznania na papierze cienkim jak bibułka. Należało też wypracować zasady, konwencję, w jakiej zeznania upowszechniamy. Bo mam wrażenie, że w Polsce ciągle nie przepracowaliśmy problemu, w jaki sposób należy ukazywać cierpienie. Nieustannie widuję w prasie najtragiczniejsze wydarzenia ilustrowane twarzami morderców.

## Trudno uciec od problemu sprawców.

Nie o to chodzi, ośrodek od niczego nie ucieka. Przeciwnie – na podstawie zeznań i wypracowanej metodologii będzie sprawców identyfikował. Ale cierpienie jest nasze, nie sprawców. Nie powinno się w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego na pierwszej stronie eksponować wizerunków esesmanów, ani też wyłącznie stosu trupów na gruzach Warszawy.

## Tylko co?

Współczucie rodzi się z kontrastu. Dlatego na stronie repozytorium jest piękne zdjęcie prof. Kazimierza Kostaneckiego sprzed wojny, jak z wnukiem karmi gołębie. To zasłużony profesor medycyny, w swoim życiu wykształcił pokolenia lekarzy, dzięki niemu kobiety od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku





**dr hab. Magdalena Gawin (ur. 1972)**

– absolwentka Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego, pracowała w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk; autorka m.in. publikacji *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego 1880–1952* (2003), *Bilet do nowoczesności. O kulturze w XIX–XX wieku* (2014), *Spór o równouprawnienie kobiet 1864–1919* (2015); od 2015 roku wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego

mogły wstępować na wydział medyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zginął w Sachsenhausen, aresztowany w ramach Sonderaktion Krakau jako przedstawiciel elity inteligentkiej. Żeby przemyśleć eksterminacyjną, ludobójczą politykę nazistowskich Niemiec i sowieckiej Rosji, należy zdać sobie sprawę z tego, co zniszczono i kogo mordowano. Dlatego nie znajdzie pan zdjęć sprawców, tylko twarze ofiar z okresu, kiedy nikt nie przetestował na nich polityki rasy panów i bolszewickiej sprawiedliwości. Kostanecki, Kusociński, Starzyński, polscy sportowcy, aktorzy, artyści. Decyzja, że nie pokazujemy sfory esesmanów, była przemyślana. Mamy mówić o sobie, o Polakach, o polskich obywatelach. Tak samo ośrodek będzie prezentował świadectwa dotyczące okupacji sowieckiej. Oryginały świadectw dotyczące okupacji sowieckiej z lat 1939–1941 zostały złożone w Instytucie Hoovera, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych przekazano je do Archiwum Akt Nowych w formie mikrofilmów. Nie są jeszcze odpowiednio zinwentaryzowane ani opisane. Korzystało z nich dotąd w ogóle bardzo niewiele osób, a zachodni historycy prawie w ogóle. Te świadectwa zbierano jeszcze w czasie wojny, po podpisaniu układu Sikorski–Majski; zeznawali żołnierze, ludność cywilna, dzieci. W taki sposób zbudujemy jedno z największych archiwów dotyczących losów ludności cywilnej pod dwiema okupacjami: sowiecką i niemiecką.

**W jaki sposób użytkownicy będą mogli przeszukiwać zasoby i co w nich już mogą znaleźć?**

Można wpisać nazwę miejscowości, ulicy, nazwisko świadka, miejsca zamieszkania, jednostki wojskowe, takie terminy jak: masowe egzekucje, tortury, bicie etc. Świadectwa porządkują się same. Są dwie wersje, oryginalna i przepisana, w listopadzie będzie trzecia – angielska.

**Zapisyterroru.pl to tylko fragment działań Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami. Jak dziś wygląda Państwa oferta?**

Fragment, ale ważny, pochłaniający mnóstwo wysiłku. Odwiedzający repozytorium widzą efekt pracy. Od października ruszają kursy pisarskie dla doktorantów historii. 7 listopada ośrodek organizuje międzynarodową konferencję poświęconą ludobójstwu na Woli i problemowi nieukarania sprawców.

W planach mamy warsztaty pisania scenariuszy, pokazy filmowe dotyczące kultury XX wieku, prelekcje. Cały czas poszerza się repozytorium o kolejne świadectwa, zimą będzie już duży zbiór z Kielc i Radomia. Kierownictwo ośrodka uznało, że inauguracja świadectw z poszczególnych rejonów będzie się odbywała w poszczególnych miastach, których dotyczą. Tak żeby do projektów wciągać ludzi z mniejszych miejscowości. Żeby oni sami wiedzieli o własnym mieście więcej. To zakorzenia. Od wiosny będziemy mieć studentów z Yale do czytania i poprawiania wersji angielskich, teraz to robią zaprzyjaźnieni z ośrodkiem native speakerzy. Jeden z nich powiedział: „To niewiarygodne, że Polska się po czymś takim podniosła”. A ja dodam, że nie tylko się podniosła, lecz także stworzyła Solidarność! Bo Polacy mają w sobie ogromną żywotność. I bardzo wiele wbrew wszelkim przeciwnościom udało się im osiągnąć. Warszawa i setki innych miast zostały odbudowane rękami mieszkańców. Po wojnie, po stalinizmie trzeba było odbijać się od zera i szukać dziur w systemie, aż do jego obalenia.

**Uzupełnieniem zbiorów jest akcja „Podziel się pamięcią”.**

Chodzi w niej o to, żeby świadectwa uzupełniać fotografiami miejsc sprzed wojny i z czasu wojny, zdjęciami sytuacyjnymi i portretami ludzi, którzy zeznawali lub zostali opisani w świadectwach. Pracownicy już badają archiwa Telewizji Polskiej, są tam np. wypowiedzi Wandy Lurie i innych ocalałych. Wszystkie takie pamiątki pracownicy ośrodka będą dołączali do świadectw.

**Na koniec zapytam o negocjacje z Austrią w sprawie terenu po byłym obozie koncentracyjnym w Gusen. Przypomnijmy czytelnikom: wobec informacji o ingerencji w teren poobozowy aż 27 tys. osób podpisało list protestacyjny w tej sprawie.**

Rozmowy idą bardzo ciężko, ale widzimy też pozytywne zmiany. Na początku października dzięki współpracy ambasady polskiej, MSZ i MKiDN jadą tam na wizytę studyjną dziennikarze. Mamy też i inne plany, ale proszę nie ciągnąć mnie za język. Ważne, żeby się udało. I żeby po stronie austriackiej zrozumiano, że Polska robi to dla upamiętnienia ofiar dwudziestowiecznych totalitaryzmów. Trzeba się nastawić na długofalową, ciężką pracę nad odbudowaniem pamięci i szacunku dla tego miejsca. 🇵🇱

**Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda**

**Pileckiego** został utworzony w kwietniu 2016 roku i działa pod nadzorem ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Bada, dokumentuje i popularyzuje – również za granicą – wiedzę o zbrodniach nazistowskich i komunistycznych. Gromadzi, ewidencjonuje, digitalizuje, opracowuje, przechowuje, zabezpiecza i udostępnia dotyczące ich materiały. Współpracuje m.in. z Instytutem Pamięci Narodowej.

# Wiwisekcja wielkiego zaniedbania

**B**ył jedynym generałem SS, który po wojnie objął w RFN urząd publiczny na szczeblu landu. Heinz Reinefarth (1903–1979), brutalny pacyfikator Powstania Warszawskiego, nie tylko nigdy nie stanął przed sądem, lecz także – mimo nazistowskiej przeszłości – cieszył się szacunkiem lokalnej społeczności w północnych Niemczech. Był burmistrzem kurortu Westerland na wyspie Sylt (1951–1963) i deputowanym do regionalnego parlamentu w Kilonii (1958–1962).

Pierwsza biografia tego zbrodniarza – *Kat Warszawy* Szweda Niclasa Sennertega (2003, wyd. polskie 2009) – miała charakter popularnonaukowy. *Sprawa Reinefartha*, która ostatnio trafiła do polskich księgarń, to solidna książka naukowa, przygotowana na podstawie pracy doktorskiej. „To nie jest na pewno lektura dla miłośników taniej sensacji. Wymaga ona od czytelnika dużej koncentracji, ale trud uważnego prześledzenia wywodów autora z pewnością się opłaci” – trafnie pisze w posłowie prof. Eugeniusz Cezary Król.

U Sennertega punkt ciężkości to lata II wojny światowej. Autor *Sprawy Reinefartha*, młody szwajcarski historyk i socjolog Philipp Marti, poszedł w inną stronę. Powstaniu Warszawskiemu poświęcił ledwie kilkanaście stron (choć wielokrotnie powraca do niego w kolejnych rozdziałach). Drobiazgowo, ale bez ingerowania w prywatność tytułowego antybohatera, zbadal za to okres powojenny w życiu Reinefartha: od internowania przez Amerykanów w roku 1945, przez skandaliczne postępowanie denazyfikacyjne, aż po dwa prokuratorskie postępowania przygotowawcze i wstępne śledztwo sądowe, które nie zdołały doprowadzić zbrodniarza na ławę oskarżonych. Powstało w ten sposób – jak to ujął Marti – „bardzo szeroko pojęte treściowe studium biograficzne”, które jest także uniwersalną opowieścią o kulawych zachodniemieckich rozliczeniach z nazistowską przeszłością.

Reinefarth, z wykształcenia prawnik, do NSDAP i SS wstąpił w 1932 roku, krótko przed przejściem władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera. W latach II wojny światowej błyskawicznie piął się po szczeblach nazistowskiej hierarchii. We wrześniu 1939 roku walczył jeszcze jako zwykły strzelec rezerwy, kilka miesięcy później w Belgii – jako podoficer, a na froncie wschodnim – już jako oficer. W 1942 roku mianowano go brigadeführerem SS i generałem majorem policji. Dwa lata później został wyższym dowódcą SS i policji w tzw. Kraju Warty. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, decyzją szefa SS Heinricha Himmlera, został skierowany do Warszawy – z zadaniem wymordowania tamtejszej ludności cywilnej. „Na Woli oddziały Reinefartha, wypełniając dosłownie rozkaz Himmlera, mordowały wszystkich, którzy im się nawinęli pod lufę: małe dzieci, kobiety, starcy tak samo ginęli w masowych egzekucjach, jak całe załogi szpitali wraz z pacjentami, czy księża, którzy razem z wiernymi chowali się w kościołach” – pisze Marti. Wymownym

dopelnieniem tego obrazu jest wzmianka o dwóch paczuszkach zdobyczej herbaty, które kat Warszawy wysłał szefowi SS z płonącego miasta.

Jak to się stało, że okrutny zbrodniarz uniknął kary? Autor wskazuje wielu winnych: Amerykanów, którzy w drugiej połowie lat czterdziestych uparcie odmawiali Polakom ekstradycji Reinefartha; zachodniemieckich prokuratorów i sędziów, którym „nazbyt często brakowało woli konsekwentnego wykorzystania ustawowych możliwości” i „którzy wbrew lepszej wiedzy brali za dobrą monetę zeznania składane przez świadków na własną korzyść”; w mniejszym stopniu również władze PRL, niezainteresowane autentycznym przepracowaniem prawnym Powstania Warszawskiego.

W rezultacie tej obstrukcji, opieszałości i zaniechań człowiek odpowiedzialny za rzeź Woli i inne zbrodnie wojenne mógł otrzymać zwrot wydatków poniesionych na obronę i do swoich ostatnich dni prowadzić kancelarię adwokacką. Z czasem zmuszono go tylko do wycofania się ze świata polityki i nie pozwolono mu na powrót do zawodu notariusza. „Gdybyśmy rozgoryczenie, jakie u schyłku życia pewnie odczuwał z tego powodu, nazwali stosowną karą, byłoby to wyrazem cynicznego poczucia sprawiedliwości w obliczu jego odpowiedzialności za zamordowanie tysięcy ludzi” – nie ma jednak złudzeń szwajcarski historyk.

„Tym, co od razu przykuwa uwagę w książce Philippa Martiego, jest niesłychana wprost skrupulatność autora w przedstawianiu swoich hipotez i dowodów potwierdzających ich prawdziwość” – podkreśla w posłowie prof. Król. W zebranych na końcu książki przypisach, zajmujących notabene ponad sto stron, znajdziemy cytaty zarówno z „Trybuny Ludu”, jak i prasy lokalnej wydawanej na Sylcie. Od rodziny Reinefartha Marti nie uzyskał pomocy. Podstawę źródłową książki stanowią obszerne materiały z Archiwum Kraju Związkowego Szlezwik-Holsztyn w Szlezwiku i Archiwum Syltu w Westerlandzie. Autor zajrzał też do innych archiwów w Niemczech, USA, Czechach i Polsce. Szkoda jedynie, że materiały z zasobu IPN, dokumentujące m.in. starania o ekstradycję Reinefartha, wykorzystał dość pobieżnie. Być może na przeszkodzie stanęła tu bariera językowa.

*Sprawa Reinefartha* nie jest płomienną mową oskarżycielską. Autor rzadko i bardzo dyskretnie zaznacza własne zdanie. Nie pozostawia jednak wątpliwości, że stoi po stronie prawdy i ofiar. Inaczej niż wyborcy Reinefartha z wyspy Sylt, którym w czasach cudu gospodarczego RFN burmistrz jawił się jako „człowiek honoru o wielkomieszczańskich manierach, [...] wykształcony, układny” i potrafiący „wzbudzać zaufanie”. Dziś, jeśli nadal tak myślą, są na szczęście poza – jak to określił Marti – „rozrachunkowym mainstreamem”. Od dwóch lat dwujęzyczna tablica na ścianie ratusza w Westerlandzie przypomina o zbrodniach Reinefartha. Książka Martiego, w Niemczech wydana w kwietniu 2014 roku, niewątpliwie się do tego przyczyniła. ❀

Filip Gańczak



Philipp Marti, *Sprawa Reinefartha. Kat Powstania Warszawskiego czy szacowny obywatel*, Świat Książki, Warszawa 2016, 494 s. + wkl. zdj.



■ Andrzej Boboli, *„Przewodnia siła stolicy”*. Komitet Warszawski Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 1975–1990, IPN, Warszawa 2016, 400 s.



■ „Czasy Pismo”, IPN, Katowice 2016, nr 1 (9), 208 s.



■ *Drugi obieg w PRL na tle samizdatu w państwach bloku sowieckiego po 1956 roku*, red. P. Gasztold-Seń, N. Jarska, J. Olaszek, IPN, Warszawa 2016, 614 s.



■ Jarosław Dulewicz, *Miasta w ruchu. Codziennosc w uprzemysławianych ośrodkach miejskich w Polsce w latach siedemdziesiątych XX wieku*, IPN, Warszawa 2016, 328 s.



■ Łukasz Kamiński, Maciej Korcuć, *Przewodnik po historii Polski 1966–2016*, IPN, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa 2016, 118 s.



■ *Konspiracja antykomunistyczna i podziemie zbrojne w Wielkopolsce w latach 1945–1956*, red. A. Łuczak, A. Pietrowicz, wyd. II popr. i uzupełn., IPN, Poznań 2016, 536 s.



■ Jerzy Łazor, *Brama na Bliski Wschód. Polsko-palestyńskie stosunki gospodarcze w okresie międzywojennym*, IPN, Warszawa 2016, 286 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ Anna Marcinkiewicz-Kaczmarczyk, *Kobiety w obronie Warszawy. Ochotnicza Legia Kobiet (1918–1922) i Wojskowa Służba Kobiet ZWZ-AK (1939–1945)*, IPN, Warszawa 2016, 432 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ Anna Moroz, *Między pamięcią a historią. Konflikt pamięci zbiorowych Polaków i Białorusinów na przykładzie postaci Romualda Rajsa „Burego”*, IPN, Warszawa 2016, 258 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Dariusz Nawrot, Józef Wiesław Dyskant, *Amor patriae nostra lex. Rzecz o komandorze Stanisławie Mieszkowskim*, IPN, Gdańsk 2016, 112 s. + 28 s. wkł. ilustr.



■ *Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku*, t. 3: *Rolnicza „Solidarność” w Polsce 1980–1989*, red. A. Kaczorowski, T. Kozłowski, J. Olaszek, IPN, Warszawa 2015, 244 s.



■ Eugeniusz Piotrowski, *Nie umiem się nisko kłaniać. Zapiski wrocławskiego lekarza z lat 1944–1945, 1957, 1972–1990*, wstęp i oprac. G. Wołk, IPN, Warszawa 2016, 536 s.



Patryk Pleskot, *Ślepa (czerwona) uliczka. Stołeczne struktury Ministerstwa Informacji i Propagandy (1944–1947)*, IPN, Warszawa 2016, 306 s.



■ Michał Trębacz, *Izrael Lichtenstein. Biografia żydowskiego socjalisty*, IPN, Łódź 2016, 250 s.



■ Karolina Wichowska, *‘The soldiers’ field’*, IPN, Warszawa 2016, 176 s.



■ *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1980–1989*, red. E. Wojcieszek, IPN, Poznań – Warszawa 2016, 168 s.



■ *„Wszystko marność oprócz kochania Boga”. Siostry od aniołów w sowieckich więzieniach i łagrach. Wybór źródeł, wstęp i oprac. I. Lewandowska, współpraca A. Bronakowska*, IPN, Białystok 2016, 354 s.



■ *Życie na przekór. Młodzieżowa kontestacja systemu w ostatniej dekadzie PRL (1980–1989) – nowe tropy i pytania badawcze*, red. B. Noszczak, IPN, Warszawa 2016, 496 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:  
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,  
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 06  
i w księgarniach IPN: ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,  
al. Grunwaldzka 216, 80-266 Gdańsk.

#### Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

#### Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;  
faks 22 581 89 77  
pocztą zwykłą na adres IPN  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztyaj.pl](http://www.ipn.pocztyaj.pl)

Tylko w **pamięć.pl** 10 unikatowych kart do gry  
Tymi kartami możesz od razu zagrać!

# ZNAJZNAK SPORT



Wiek graczy: **10+** Czas gry: **10 MIN** Liczba graczy: **2-8\***

## Gra uczy rozpoznawania symboli polskiego sportu z okresu 1918-1945

Każda para kart ma zawsze jeden wspólny znak.  
Należy go jak najszybciej znaleźć i prawidłowo nazwać.

Zobacz inne gry edukacyjne IPN na  
[IPN.GOV.PL/GRY](http://IPN.GOV.PL/GRY)

**1** Gracze siedzą obok siebie. Każdy z graczy dostaje pięć kart i trzyma je w ręku ułożone w stos awersem do góry.



**2** Następnie wykładają równocześnie na stół kartę ze spodu stosu. Na dwóch kartach leżących na stole gracze szukają symbolu wspólnego dla obu kart.



**3** Ten, kto pierwszy znajdzie wspólny symbol, mówi „stop!”, wskazuje go na swojej karcie i podaje nazwę.



**4** Po nazwaniu symbolu (bądź powiedzeniu „nie wiem?”) gracz odwraca swoją kartę i odczytuje z rewersu na głos nazwę wspólnego symbolu wypisaną tłustym drukiem.



**5** Jeżeli graczowi nie udało się poprawnie nazwać symbolu (bądź powiedział „nie wiem?”), zabiera ze stołu swoją kartę i kładzie na wierzch swojego stosu kart, awersiem do góry. Następnie ze spodu swojego stosu dokłada nową kartę i gra toczy się dalej.



**6** Jeżeli gracz poprawnie nazwał symbol, kartę oddaje przeciwnikowi, który kładzie ją na wierzch swojego stosu, awersiem do góry. Następnie gracz, który poprawnie nazwał symbol, dokłada nową kartę ze spodu swojego stosu i gra toczy się dalej.



**7** Rozgrywka kończy się, gdy któryś z graczy nie będzie miał kart w ręku i jako pierwszy wskaże na ostatniej karcie wspólny symbol.



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

Dodatek można połączyć z pełną wersją gry!  
**Znajznak – Sport do kupienia w punktach sprzedaży IPN  
i dobrych sklepach z grami planszowymi**

\*1 Dotyczy pełnej wersji gry (wydania w pudełku). Dodatek do pamięć.pl jest przeznaczony dla 2 graczy.